

Robert James Waller

Muzyka pogranicza

Border music

Przełożyła: Małgorzata Kicana

Wydanie oryginalne: 1995

Wydanie polskie: 1999

TMN

*Odległemu gwizdowi pociągów
i pasażerom, którzy zostali na stacji*

*Zaśpiewajmy tę ostatnią starą piosenkę
Dziewczętom z lata;
Zapalmy tanie cygara
I kupmy używane ubrania.
Zróbmy to raz jeszcze,
Zanim księżyc obejdzie szlak dokoła
I pobiegnie wraz z nami
Drogami wiodącymi przez zachodni Teksas*

*„Ostatni walc dla Teksas Jacka”
(„Poobiednie piosenki”
Bobby’ego McGregora)*

1

Północna Minnesota 1986 - jakże byli wolni

Kiedy tamten bezimienny łachudra zerwał skąpe majteczki Lindy Lobo zamiast wetknąć za nie pieniądze, jak powinien był zrobić, Teksas Jack Carmine wyszedł z siebie i rąbnął go kijem bilardowym. Cztery godziny później i dwieście mil dalej, w Chislom, Jack kupił kawę i słodkie bułeczki dla siebie i Lindy. Potem pojechali do Ely, a następnie na południe skrótem przez lasy państwowe; oczywiście nie jechali zbyt szybko - Jack nie żyłował swego chevy'ego rocznik '82 S-10 i pozwalał mu na spokojną prędkość marszową.

Dzień podobny był do samego Jacka Carmine'a: jak jedna z tych prac, które zaczynają się w połowie jesieni i trwają aż do jej końca, niepewne, gdzie wcześniej zdażały. Zaczął się żółtoszarym wschodem słońca, z trudem dociągnął do sześćdziesięciu stopni w południe i zatrzymał się na nich aż do wieczora, gdy nocny chłód znowu opadł na ziemię. Z małego magnetofonu leżącego na tablicy rozdzielczej dobiegały dźwięki ulubionych piosenek Jacka, tych, które nazywał swymi „przyśpiewkami na drogę”. Magnetofon wygrał w pokera nie wiedząc, że nie pasuje do przeznaczonego nań miejsca w jego półciężarówce. Mimo to magnetofon działał bez zarzutu, a muzykę słyszeć było doskonale z dwóch niedużych głośniczków, niedbale przytwierdzonych na tylnym siedzeniu rzemiennymi sznurówkami, by nie poleciały do przodu, gdy gwałtownie da po hamulcach.

Tamtego dnia i o tamtej godzinie w życiu Jacka Carmine'a i Lindy Lobo wszystko szło jak z płatka i jakieś dwa susy temu przekroczyło tabliczkę „okay”. Linda... Linda... Jakże ona się wtedy nazywała? Niektórzy to wiedzą, inni nie. Zawsze niepokoiło to Bobby'ego McGregora, starego kompana Jacka; szczerze mówiąc, sama Linda także go niepokoiła. Bobby nieraz się nad tym zastanawiał: Adkins? Archer... może Archer? Nie, coś na A, ale jeszcze jakoś inaczej.

- To nie ma znaczenia; z czasem staje się coraz mniej ważne, a i tak już zapomniałem. - Tak powiedział Jack Bobby'emu, kiedy rozmawiali ostatnio, kilka lat temu.

Bobby mu nie wierzył. Jack znał jej nazwisko, lecz nie wyjawiał go ani Bobby'emu, ani nikomu innemu, kto go o to pytał. Wymienił je tylko raz, spokojnie i zwyczajnie, lecz nie powtórzył go już nigdy więcej, zwłaszcza kiedy Bobby pytał wprost.

- Słuchaj, stary - powiedział - znam cię i wiem, że pewnie napiszesz o tym w jakiejś piosence i zarobisz na tym kupę szmalu. Nie ma sprawy, guzik mnie to obchodzi. Pisz, co ci się żywnie podoba, ale ja ci nie powiem jej prawdziwego nazwiska. - W tym momencie uśmiechnął się dziwnie, tak jakoś krzywo; Bobby wiedział, że pod takim uśmiechem Jack zazwyczaj skrywa wyjątkowo przejmujący ból. - Poza tym jeżeli chodzi o grzebanie w przeszłości, wolę się skupić raczej na melodii niż na słowach. Nawet gdybym je pamiętał, to uważam, że każdy facet powinien mieć swoje sekrety. Jak nie ma sekretów, nie ma tajemnicy; a jak nie ma tajemnicy, nie warto pamiętać życia. No, a jeśli nie warto go pamiętać, to też nie warto żyć.

Tak czy inaczej, Jack i Linda zmierzali w ogólnym kierunku jeziora Superior; pogoda była dobra, jechali więc z opuszczonymi szybami. Zaczęli pić piwo wczesnym przedpołudniem; Linda wyciągała butelki o długich szybkach z przenośnego pojemnika z lodem, na którym opierała stopy. Jack trzymał otwartą butelkę między udami, opierał się o drzwi i stukał w bok pikapa w rytm muzyki. Cały czas prowadził jedną ręką i klepał blachę w takt uderzeń perkusji; kiedy Jimmy Buffett zaczął śpiewać „Zjadłem ostatnie mango w Paryżu...”, Jack zdjął prawą dłoń z kierownicy, pogłośnił maksymalnie muzykę i jechał, trąbiąc radośnie, śpiewając i uderzając rytmicznie w drzwi samochodu.

Linda roześmiała się i wyciągnawszy długą, długą - nawet dłuższą niż długa - lewą nogę, usiłowała prowadzić pikapa obcasem swego starego kowbojskiego buta, Nie bardzo jej to wychodziło - wkrótce samochód zjechał na drugą stronę szosy i zbliżył się do rowu po przeciwnej stronie, który był właściwie tylko lekkim wgłębieniem w trawie.

Jack także wybuchnął śmiechem, nadepnął na hamulec i zatrzymał chevroleta na poboczu drogi. Zgasił silnik, stanął na stopniu przy drzwiczkach i przekrzykując głos Jimmy'ego Buffetta płynący z magnetofonu, wrzasnął za słowami piosenki w kierunku lasu:

- Hej tam, usłyszcie mnie! Zjadłem ostatnie mango wszędzie...

Linda także wysiadła i zaczęła tańczyć fandango, posuwając się w poprzek drogi w kierunku niedużej dolinki, dokładnie w przeciwną stronę, niż wskazywała strzałka pokazująca drogę na kemping. Jack wdrapał się na maskę półciężarówki, a głos Jimmy'ego Buffetta wzlatywał ku południowemu słońcu i może nawet go dosięgał: „...popłynąłem pierwszym parowcem do Chin”. Linda potrząsała biodrami, wyginając się mocno do tyłu, aż jej włosy przypominające kolorem mokry asfalt nieomal dotykały ziemi. Nie była oszałamiającą pięknoscią, lecz w swoim rodzaju całkiem ładną kobietą. Na jej widok człowiekowi od razu przychodziły do głowy paskudne myśli - albo może raczej piękne, w zależności od tego, jak się patrzy na świat. Paskudne czy piękne, na pewno były to myśli kosmate.

Bobby McGregor widział ją z bliska tylko dwa razy, plus jeszcze przy jednej okazji, lecz wtedy tylko zerknął. Pamięta jednak, że za każdym razem myślał sobie, że jeżeli tylko istnieje na świecie kobieta, która ruszy z tobą w trasę i nigdy nie będzie mieć tego dość ani nigdy nie zacznie narzekać, to jest nią właśnie Linda. Póki wszystkie dobre, trafne określenia nie

zniknęły z języka, pewnie mówiono o niej, że ma „wysokie zawieszenie” - tyłeczek twardy i zgrabnie umieszczony ponad długimi nogami. Bobby pamięta także jej ładne piersi - duże i krągłe, jak przypuszczał - wymierzone prosto w ciebie, jeśli się im przyglądałeś, co robił Bobby przy ich pierwszym spotkaniu, dopóki żona go na tym nie złapała i nie musiał się skupić na czymś innym. Nigdy jej nie zapomniał i myślał o niej od czasu do czasu... no, może trochę częściej. Linda... Linda bez nazwiska, z ciałem, dla którego przemierzyłbyś wiele kilometrów autostrad. Rzeczywistość rzadko kiedy przynosi z sobą obietnice wyobraźni, ale jeżeli chodzi o nią, Bobby McGregor nigdy nie miał wątpliwości, że tak by było. Nie miał wątpliwości, ale i nie miał szansy, by się przekonać. Wtedy była z Jackiem Carmine'em.

Jimmy Buffett: śpiewa głośno o jedzeniu ostatnich mango, o ostatnich samolotach do domu i o dziewczętach z Trzeciego Świata, które wesprą cię w trudnych chwilach.

- Wszystko w porządku?

- W jak najlepszym, panie władzo. Wszystko jest wprost wspaniale - odparł Jack.

W powietrzu unosiła się woń iglaków, a na autostradzie za samochodem policjanta przysiadł jakiś duży ptak. Zaczął dziobać i ciągnąć coś, co już dawno temu rozjechały i rozgniotły koła samochodów, lecz znieruchomiał nagle i spojrzał w kierunku Jacka, jakby Jack mógł być jego następną przekąską na twardej drodze wiodącej do smutnookiego końca. Ptaszysko wcale się nie spieszyło; prędzej czy później i tak wszystko kończy na zakrwawionej ulicy.

- Skąd jesteście? - zapytał policjant, zerkając na tablicę rejestracyjną pikapa.

Jack wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Z Alpine w Teksasie. Przyjechałem tu kłaść wodociągi, a teraz wracam. Razem z panią jedziemy do domu okrężną drogą... trochę zwiedzamy, oglądamy widoczki i takie tam...

Trudno powiedzieć, czy policjant zareagował krzywym uśmiechem, czy zrobił niedowierzającą minę. Słyszał, że Teksaszczyki są szajbnięci, i doszedł do wniosku, że spotkał właśnie typowy egzemplarz, więc może lepiej będzie pozostawić sprawy ich własnemu biegowi i nie robić zamieszania. Zerknął na zegarek. Tego wieczora jego najstarszy syn grał jako quarterback w drużynie futbolowej Two Harbors. Jeżeli nie chce spóźnić się na mecz, powinien ruszać. Tu, tak czy inaczej, nie dzieje się nic złego, nic, co by zagrażało porządkowi.

- W takim razie nie szalejcie i jedźcie ostrożnie.

- Jasna sprawa, panie władzo, jasna sprawa. Już wkrótce pojedziemy na południe do Alpine - powiedział Jack.

Stróż prawa pojechał swoją drogą, lecz magiczna chwila przysła. Wsiadłszy z powrotem do półciężarówki, Jack i Linda pojechali dalej przez ciepłe popołudnie, którego zalety Jack potrafił doceniać od dziecka, a Linda dopiero się tego uczyła. Jakaś milę później Jack uniósł się z siedzenia i sięgnąwszy do kieszeni dzinsów, wyciągnął z niej stanik Lindy.

- Ostrożnie z tym towarem, panie szanowny. Nie mam drugiego na zmianę, oprócz dwóch

striptizerskich kitek w torebce, a z nimi nie zajdę daleko w szacownym towarzystwie.

Wyciągnęła dwie następne butelki piwa, a Jack zawiesił stanik na wstecznym lusterku i przez chwilę obserwował, jak się kołysze.

- Jeżeli już mowa o kitkach, to podobają mi się znacznie bardziej niż mój biret z ukończenia liceum Hibbing wiszący w pokoju nad lustrem - mruknął. - Znajdziemy dla ciebie jakieś przyzwoite ubranie w pierwszym mieście, do którego dojedziemy. A biorąc pod uwagę fakt, że wyjechaliśmy... skąd to myśmy uciekli, wzniecając fontanny żużlu na parkingu, a ty wskakiwałaś do samochodu, trzymając buty i ciuchy w obu rękach?

- Dillon.

- A biorąc pod uwagę fakt, że wyjechaliśmy z Dillon w Minnesocie jednaście godzin temu, jakby nas wszystkie diabły goniły, radzimy sobie całkiem nieźle.

Linda oparła prawą stopę o wspornik drzwi tuż obok opuszczonej szyby i zaczęła lekko przytupywać, a Kenny Baker grał na skrzypkach „High Country”. Już wkrótce wrócili do upojnego stanu sprzed najazdu stróża prawa, sprzed ustalenia reguł gry i sprzed tych wszystkich rzeczy, dzięki którym ludzkie życie jest zorganizowane. Linda pociągnęła długi łyk z butelki i zerknęła na Jacka Carmine’a.

- Ciekawa jestem, jak się czuje ten facet, któremu przyłożyłeś kijem.

- Pewnie fatalnie. Coś mi się zdaje, że nie powinienem był tego robić, ale czasem trudno mi być rozsądnym i odpowiedzialnym facetem. Nigdy nie uderzaj nikogo gołymi pięściami. Tak robią tylko w filmach i wyjątkowo podłych spelunach w Teksasie. To zupełnie niszczy ręce i nie można pracować. Nie można pracować, nie ma za co kupić jedzenia. Nie masz co jeść, nie masz sił pracować. Nie masz sił pracować, nie możesz kupić piwa. Nie pijesz piwa, nie możesz tańczyć. Tak to się właśnie kręci... a skoro mówimy o kręceniu... może przewiniemy taśmę z powrotem do tej piosenki Jimmy’ego Buffetta o ostatnim samolocie, co? Chciałbym jeszcze raz tego posłuchać, ale głośno.

- Chce mi się siusiu - odparła Linda.

Jack zwolnił i zatrzymał się na poboczu.

- Uważaj na łosie, o tej porze roku chodzą strasznie napalone. Jak cię zobaczą z gołym tyłkiem, przygnają do ciebie, nie zważając na kolczaste krzaki. A tym razem nie mam przy sobie kija bilardowego. - Uderzał dłonią o kierownicę, nieomal w rytm muzyki.

- Miewałam już gorsze doświadczenia - odpowiedziała Linda. - Generalnie rzecz biorąc, wolę napalonego łosia od niejednego faceta. Przynajmniej wiesz, o co mu tak naprawdę chodzi.

- Pewnie masz rację - rzekł Jack. - Może i ja powinienem iść sobie w las, skoro już jesteśmy przy zaspokajaniu prymitywnych potrzeb? Obiecuję, że pójde w swoją stronę i nie będę cię podglądać.

- Jak sobie chcesz. Mnie to nie przeszkadza. - Podeszła w górę łagodnego zbocza porośniętego krzakami i dodała przez ramię: - Lepiej sam uważaj na łosie, bo nie jestem

przekonana, czy rozróżniają płęć osobników ludzkiego gatunku, a nawet jeżeli, może je to nic a nic nie obchodzić. Czytałam kiedyś artykuł o orangutanach na Borneo czy gdzieś tam, które usiłują gwałcić zarówno kobiety, jak i mężczyzn, jeżeli tylko dostaną ich w swoje łapy.

- Żartujesz! - odparł Jack, odchodząc na bok.

- Tak tam było napisane. - Jej głos dochodził do niego gdzieś spośród drzew. - Tak przy okazji, to jak się nazywasz?

Jack siusiał na pień zwałonego drzewa, usiłując napisać pierwszą literę swego imienia tym, czym właśnie się zajmował.

- Jack Carmine.

- Wydawało mi się, że mówiłeś, że Eric Jakiśtam. - Już skończyła i szła z powrotem do drogi; słyszał szelest liści pod jej butami. Właśnie dorabiał kreseczkę nad J.

- To było zeszłej nocy, kiedy jeszcze nie wiedziałem, czy się przypadkiem nie rozmyślisz i nie wydasz mnie w ręce jakiejś grupy pościgowej, którą zdołają skrzyknąć wasi policjanci. Nie wiem, czemu nie potrafiłem przestać myśleć o Eryku Czerwonym* [przyp.: Wódz normański, który w 982 wypłynął z Islandii na poszukiwanie legendarnego kraju na zachodzie i wraz z drużyną wikingów dotarł do Grenlandii, którą próbował skolonizować (przyp. red.)], więc powiedziałem, że nazywam się Eric Redder. - Zapiął spodnie i wrócił do samochodu. Linda siedziała już w środku, opierając się o drzwi z założonymi na piersi ramionami, i wyglądała przez otwarte okno.

- Kto to jest Eryk Czerwony?

Jack zapalił silnik i ruszyli w drogę.

- Norweski żeglarz, który żył jakieś tysiąc lat temu. O ile dobrze pamiętam, odkrył Grenlandię. Mój nauczyciel historii z liceum w Alpine był strasznie napalony na starego Eryka i stale o nim gadał. Pomyślałem sobie, że mieszkańcy północnych stanów znają pewnie legendy o swych protoplastach i nie będą zbytnio naciskać, jeżeli skojarzą mnie z jednym z nich. Poza tym uważałem, że wreszcie udało mi się znaleźć sensowne zastosowanie moich wiadomości z historii. Ponieważ teraz już wytrzeźwiałem, rozumiem bezsensowność takiego myślenia... Jednak wtedy wydawało mi się, że to wcale sprytny pomysł.

- Dlaczego rąbnąłeś w łeb faceta, który usiłował zerwać ze mnie majtki na scenie? Nie on pierwszy tego próbował.

- Po prostu wydało mi się to cholernie niewłaściwe... Powiedz mi, jak doszło do tego, że tańczyłaś praktycznie naga w takim miejscu jak bar Rainbow, co?

- Lepsze to niż praca przy taśmie w fabryce produkującej konserwy drobiowe, a to właśnie robiłam, póki się nie załapałam do baru Rainbow. Dostawałam pięć pięćdziesiąt za godzinę w Northern Food Processors, pracując w mniej więcej czterdziestoośmiostopniowym upale i w zawrotnym tempie, zbliżając się do syndromu tunelu górniczego. Nadzorca miał zwyczaj przychodzić do taśmy, kiedy miałam ręce unurzane w kurczących wnętrznościach, głaskać mnie po siedzeniu, bo wiedział, że nie mam jak się bronić. Pewnego dnia szepnął mi

do ucha: „Powinnaś pojechać do baru Rainbow, gdy mają wieczór amatorski, i pokazać im, jak to się robi”. Kiedy następnym razem się do mnie dobierał, jakieś dwa miesiące temu, cisnęłam mu całą garść zimnych kurzych bebeczków prosto w twarz. Potem pojechałam do Rainbow, ale nie zawracałam sobie głowy żadnym tam wieczorkiem amatorskim... Właściciel sam wyglądał jak torba drobiowych podrobów, jak gość z naprawdę fatalnego filmu... „klisza” tak to się chyba nazywa - paskudnie gruby, cały czas palił cygaro i miał ogromny sygnet na małym palcu. Odchylił się na fotelu w swym gabinecie i powiedział: „Jeżeli mam cię puścić na scenę, muszę zobaczyć, jak wyglądasz tam pod spodem; rozbieraj się”. Więc się rozebrałam. „Wcale niezłe cycki i nóżki, kochanie... buzia też niczego sobie; obróć się kilka razy”. A kiedy to zrobiłam, on zaczął się jakby ciut ślinić i dodał: „Wcale niezłe jak na starszą babkę, wcale niezłe”. I wtedy powiedział, że zatrudnia mnie za siedemdziesiąt pięć dolarów za wieczór, a do moich obowiązków miały należeć, jak to ujął, „trzy występy tańca egzotycznego co wieczór; początek szychty o jedenastej”. Doszłam do wniosku, że dziewczyna musi jakoś zarabiać na utrzymanie, więc właśnie wtedy postanowiłam popróbować swoich sił w lokalu sprzedającym „dzin-i-dziewczynki”. A on dodał: „Świetnie, nazwiemy cię Linda... Linda i jak dalej?... Linda Lobo. To będzie ładnie wyglądać w ogłoszeniach w gazecie”.

- Może to głupie pytanie, ale skąd wiedziałaś, co robić... na scenie, znaczy... - Jack właśnie wprowadził pikapa w długi, łagodny zakręt dokoła niewielkiego jeziora po lewej stronie; pożółkłe liście unosiły się na gładkiej, brązowej tafli wody. Cztery łanie i para roczniaków piły z jeziora jakieś pięćdziesiąt jardów od szosy i podniosły głowy obserwowały dwoje wędrowców przejeżdżających obok w półciężarówce chevy z pogiętymi zderzakami.

- Jak to sam ująłeś, głupie pytanie. Po pierwsze, bywalcy baru Rainbow byli znacznie bardziej zainteresowani ilością niż jakością. Jeżeli do tej pory nie zauważyłeś, uświadomiam cię, że mam całkiem sporo tego pierwszego, a o to właśnie wszystkim chodziło. Poza tym wcale nie potrzebowałam żadnego szkolenia; każda kobieta wie, jak się potrząsa cyckami i biodrami, i potrafi to zrobić dobrze, jeżeli tylko chce. Matka natura dała nam tę umiejętność, byśmy przyciągały do siebie was, wspaniałe istoty zwane mężczyznami. Ja tylko starałam się udawać, że jestem napalona i... wiesz... że właśnie to robię.

- Robisz to - mruknął Jack, a całą jego twarz rozjaśnił nikły uśmiezek. - Chcesz powiedzieć, robisz to z mężczyzną?

- Mężczyzną, inną kobietą, łosiem, wszystko jedno. Nad tym nie trzeba się zbyt wiele zastanawiać, Teksas Jacku. Po prostu udajesz, że to robisz.

Merle Haggard właśnie zaczęła śpiewać „Bardzo szczycę się tym, czym jestem”, a podźwięk elektrycznych basów omal nie rozsadził maleńkich głośniczków.

Cały czas kartkuję książki telefoniczne,

*Szukając nazwiska mego tatka
W każdym napotkanym mieście...*

Linda wyjęła paczkę papierosów z kieszonki flanelowej koszuli na piersi Jacka. Postukała jednym w deskę rozdzielczą, zapaliła go i odchyliła się z powrotem na fotelu.

- Pewna starsza pani imieniem Carma nauczyła mnie kręcić pędzelkami... wiesz, tymi przyczepianymi do sutków.

- Widziałem, jak to robisz. Strasznie szybko... pamiętam, że się zastanawiałem, jak udaje ci się to tak błyskawicznie. Ta twoja przyjaciółka, która cię tego nauczyła... czy jej imię pisze się przez C, czy przez K?

- C. Czemu pytasz?

- Tak się zastanawiałem. A co się stało z twoim nadzorcą z fabryki? Czy pojawił się kiedykolwiek w barze Rainbow, by na ciebie popatrzeć?

- Jasne. To jego zaprawiłeś kijem wczoraj wieczorem, gdy usiłował poszerzyć sobie pole widzenia, zrywając ze mnie majteczki.

- Daj spokój... to naprawdę był on?

- Taa. Floyd Rattler. Stary Pustogłowy Floyd, jak nazywałyśmy go w fabryce.

- Zdaje się, że przeze mnie straciłaś pracę w barze. Przykro mi z tego powodu.

- Żadna wielka starta; zawsze twierdziłam, że to tylko czasowe zajęcie, dopóki nie trafi się coś lepszego. Tak czy inaczej, zastanawiali się nad zmianą repertuaru na bardziej wyrafinowany; striptiz karliczek czy kobiece zapasy w błocie, czy może kobiety w toplesie, taplające się w owsiance... chodziło o jakiś występ w tym rodzaju... a może o wszystkie te trzy rodzaje razem wzięte.

Jack Carmine zapalił papierosa i potrząsnął głową; usiłował wyobrazić sobie, jaka kombinacja wyszłaby z połączenia na wpół nagich kobiet, karliczek i owsianki: 1. karliczka relacjonująca mecz zapasów w błocie między dwiema kobietami; 2. na wpół nagie kobiety szarżujące na karliczkę jedzącą owsiankę; 3. karliczka w bikini...

Merle coraz głębiej zakopywał się w swych basach.

- Zawsze bardzo lubiłam tę piosenkę - odezwała się Linda. - Jest taka trochę smutna... facet przeszukuje książki telefoniczne bez względu na to, do jakiego miasta dojechał, i usiłuje znaleźć swego tatę. Masz może gdzieś na tych taśmach „Pancho i Lefty’ego”? Tę też zawsze lubiłam.

- Ja także. Zdaje się, że będzie tu już gdzieś niedługo. Zajrzyj do schowka i sprawdź, czy jest tam mapa Minnesoty. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

Rozłożyła mapę i zaczęła się w nią wpatrywać; Jack zerknął na Linde Lobo. Długie włosy miała splątane i potargane przez wiatr, lecz nadal mu się podobała - i wcale nie dlatego, że była doskonała, bynajmniej, ale miała wysokie kości policzkowe i ładne wargi, czym przypominała mu nieco Barbarę Hershey w najlepszych dniach, w czasach, gdy grała w

„Boxcar Bertha” i innych antyspołecznych kawałkach, które Jack tak lubił. Linda trzymała papierosa w lewej ręce, wpatrywała się z uwagą w mapę i jednocześnie stuknęła lekko nogą w pojemnik z piwem.

- Przed nami jest jezioro Superior; tam kończy się droga 61, najpierw biegnie wzdłuż brzegu, a potem nagle się urywa. Jeżeli nadepniesz nieco na gaz, przygrzejemy prosto w wodę. Jeśli przed jeziorem skręcisz w prawo, dojedziemy do Silver Bay, a jeżeli w lewo, do miejscowości o nazwie Little Marais. A tak przy okazji, dokąd jedziemy?

- Nie mam pojęcia. Dokądś, jak mi się zdaje. Generalnie zmierzam do Teksasu, lecz po drodze chcę jeszcze odwiedzić mego wuja Vaughana Rhomera w Iowa. Odwiedzam go, gdy tylko nadarzy mi się okazja... To jeden z najlepszych ludzi, jakich znam. Chcesz pojechać do Teksasu?

- Tak po prostu... pojechać z tobą do Teksasu? Dopiero parę mil temu powiedziałeś mi, jak się naprawdę nazywasz. Choć z drugiej strony, akurat teraz nie mam za wiele innych możliwości. Zobaczmy, jak się sprawy będą miały za jakiś czas. Może cię poproszę, żebyś mnie wyrzucił po drodze w Altoona w Iowie, jeżeli nie będziesz mieć nic przeciwko. Mam tam rodzinę. Nie nadłożysz w ten sposób za dużo drogi, jeśli naprawdę jedziesz do Teksasu i jeśli ja dobrze zapamiętałam mapy. - Wyjrzała przez okno. - Cały czas chodzi mi po głowie, że powinnam jakoś ułożyć sobie życie... wiesz, zrobić coś ze sobą. Jak na razie samo mi się nie chciało ułożyć.

Jack podrapał się po policzku.

- Z mojego doświadczenia wynika, że sprawy układają się same, jeżeli zostawi się je w spokoju przez wystarczająco długi czas... Oczywiście, ostateczny rezultat może ci się wcale nie spodobać, ale zawsze jest to jakiś sposób na życie.

Gumowe opony mruczały w takt uderzeń fal jeziora Superior; droga dobiegała końca, a paździenik szykował się do tego samego.

Na skrzyżowaniu dróg Jack wyjął z kieszeni ćwierćdolarówkę i pokazał ją Lindzie.

- Ty wybierasz - powiedział.

- Jeżeli wypadnie reszka, skręcamy w prawo. - Zdjęła stanik z lusterka i wsadziła do torebki.

Moneta obróciła się w powietrzu; Jack złapał ją w locie i przybił na ręce.

- Orzełek. - Skręcił w lewo, zostawiając za sobą słońce nisko zawieszony nad horyzontem. - Hej, mamy już Merle i Williego z tą piosenką, o której mówiłaś.

Jack i Linda zaczęli na refren, a potem zaczęli śpiewać jednocześnie, jakby się wcześniej zmówili. Obrócili się do siebie i wybuchnęli śmiechem, po czym dalej śpiewali na całe gardło o bandytach, dalekiej drodze, o zawiedzionych starych przyjaciółach i o ucieczce do miejsc, w których nikt cię nigdy nie znajdzie.

Dziesięć mil dalej wyłoniło się przed nimi Little Marais, mała miejscina składająca się głównie ze sklepu monopolowego i staroświeckiego sklepu wielobranżowego. Linda i Jack

weszli tam. Jack kupił bochenek chleba, poprosił sprzedawczynię, by odkroiła spory kawałek ostrego żółtego sera, i powodowany impulsem zdjął z półki słoik miodu, czując, że może się przydać, choć jeszcze nie wiedział, do czego.

- Widzisz coś jeszcze, na co miałabyś ochotę? - zapytał Linde. Była w głębi, więc nie usłyszała jego pytania. Przeszedł pomiędzy półkami z towarem i zerknął na Linde; stała obok długiego wieszaka z ubraniami i przeglądała szmatki.

Podeszła do niego z czterema niedużymi paczuszkami w rękach.

- Znalazłaś coś, co ci się przyda? - spytał.

- Taa. - Wyszczrzyła zęby w uśmiechu; poszła w stronę kasy, machając przed sobą dwoma zapakowanymi w plastik biustonoszami. - Jestem zaskoczona, że mieli mój rozmiar. Widać w tych stronach mieszkają wcale potężnie zbudowane kobitki. Wzięłam też sobie kilka rzeczy do zakrycia dolnych partii.

- Widziałaś tam jakieś swetry lub zakiety? Będziesz potrzebować czegoś cieplejszego, noce robią się coraz zimniejsze.

- Mamy dzinsowe kurtki i swetry na wyprzedaży, tam, w rogu - odezwała się kobieta stojąca za ladą.

Jack i Linda poszli we wskazanym kierunku, lecz wszystkie ubrania były w męskich rozmiarach; Linda przepychała kurtki na wieszaku, dopóki nie znalazła najmniejszej bluzy Leviego. Jack przeglądał stos swetrów leżący na stole; wyciągnął czarny golf i rozpostarł przed sobą.

- Może to by na ciebie pasowało.

Wzięła sweter i przyłożywszy do siebie, zerknęła w dół.

- Będzie. Od razu włożę kurtkę; już mi chłodno.

- Coś jeszcze? - zapytała właścicielka. Zerknęła na przód koszuli Lindy, a potem na zapakowane staniki. Najwyższa pora, pomyślała; nadal nie potrafiła zrozumieć bezwstydnego i dumnego z siebie pokolenia, które deptało jej po piętach.

Linda wzięła jeszcze pastę i szczoteczkę do zębów, dezodorant i parę skarpetek. Stała i przyglądała się wystawionym na ladzie maszynkom do golenia i nożykom.

- Używasz tego? - spytała.

- Jasna sprawa, psze pani, kiedy tylko najdzie mnie ochota na golenie, a ona przychodzi i odchodzi, jak zechce.

- Pożyczę twoich; nie ma sensu mieć podwójnego zapasu wszystkiego. - Wróciła między półki po tubkę szamponu i kilka sztuk przyborów do makijażu, po czym położyła to wszystko na ladzie.

Kobieta podliczyła towary, a Jack wyciągnął z kieszeni dzinsów plik banknotów spięty klipssem. Klips był z uczciwego srebra, wysadzany turkusikami, a jego pochodzenie było nieco tajemnicze. Pewnego poranka po prostu pojawił się w kieszeni Jacka, kiedy ten przedzierał się na północ przez granicę w Ojinaga w siedemdziesiątym ósmym roku. Jack

wyjął ze zwiłta trzy dwudziestki i zapłacił; Linda włożyła kurtkę i zapięła na wszystkie guziki, po czym przeszli do sklepu z alkoholami.

- Brydzień - odezwał się staruszek, gdy tylko przebrzmiał głos dzwonka nad drzwiami.

- Brydzień także i tobie - odrzekł Jack Carmine. - Potrzebujemy piwa.

- Zimne stoi tam, w chłodziarce - staruszek skinął głową. - A ciepłe jest zaraz obok, przy ścianie.

Jack wziął trzy sześciopaki zimnego mooseheada i zaniósł do kasy, przyciskając brodą górne opakowanie.

- Jakoś tu dziwnie spokojnie - mruknął, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Wszystko tu spokojnie po Świącie Pracy* [przyp.: Święto Pracy - pierwszy poniedziałek września (przyp. tłum.)]. Mnie się to osobiście podoba... Kiedy zmyją się już letni wczasowicze, przyjeżdżają ludzie nieco lepszej klasy. O tej porze roku spotyka się tu tylko towar z wysokich półek.

- Taa, takich jak my - mruknęła Linda pod nosem. Jack uśmiechnął się, lecz staruszek, zajęty podliczaniem należności, nie dosłyszał.

- Masz ochotę na orzeszki? - Jack wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu.

- Jasne.

- Weźmiemy pięć paczek tych mieszanych orzechów i dwie paczki kotletów wołowych.

Staruszek ściągnął pakunki z półek i podsumował należność.

- Jest się tu gdzie zatrzymać na noc? - spytał Jack, podając mu banknoty i kilka miedziaków.

- Najlepszy jest Western, niedaleko w górę drogi. Zaraz obok rzeki Onion. Za wcześniej jeszcze na narty, więc pewnie będą mieć sporo wolnych pokoi.

Kiedy wrócili do pikapa i ruszyli na północ, Jack zaczął nucić pod nosem jakąś piosenkę, a Linda otworzyła dwa piwa i torebkę orzeszków. Zmrok nadchodził szybkimi krokami.

- Mam trochę pieniędzy w banku w Dillon. Oddam ci moją część pieniędzy za zakupy, jak tylko je podejmę - powiedziała, wrzucając do ust kilka orzeszków i popijając je długim haustem piwa.

- Nie musisz się o to martwić. Zanim zatrzymałem się w Dillon, podjąłem pieniądze za prawie pół roku roboty. Kazałem im przetrzymać większość moich letnich zarobków, żeby ich nie przepuścić.

- No cóż... jednak się martwię. Więc oddam ci pieniądze, gdy tylko będę mogła. Jestem przyzwyczajona do płacenia za siebie.

- Okay, jeżeli tak chcesz.

Motel Cliffside stał tuż nad brzegiem jeziora, miał balkoniki wychodzące na stromy brzeg i parking zastawiony samochodami.

- Chcesz, żebym sprawdziła, czy mają wolne pokoje? - spytała Linda.

- Doskonale.

Po minucie wyszła z biura.

- Jest tak: facet ma dwa pokoje. Jeden ma dwa podwójne łóżka za czterdzieści sześć pięćdziesiąt, ale bez widoku na jezioro. Drugi ma królewskie łożo i widok na wodę, ale kosztuje pięćdziesiąt cztery dolary.

- Chcesz mieć własny pokój? - Jack spojrzał na nią.

- Nie ma sensu przepuszczać takich pieniędzy. Wydajesz mi się w porządku. Chyba się dogadamy. - Uśmiechnęła się. - Spędziłam w swoim życiu kilka nocy w podobnych miejscach z gośćmi, których nie znałam nawet w połowie tak dobrze jak ciebie. Poza tym chyba mogę zaufać facetowi, który usiłował rozwalić drugiemu łeb, by bronić mego honoru, mimo że nic na sobie nie miałam.

- W takim razie zaszalejmy i weźmy pokój z widokiem na jezioro. - Wyciągnął pieniądze i podał jej parę dwudziestek. - Zapytaj też o coś do jedzenia.

- Chcesz tu zostać jedną noc, dwie czy więcej? Pewnie będzie chciał wiedzieć.

- Powiedz, że jedną. Nigdy nie potrafiłem planować na dłuższą metę, a z wiekiem przychodzi mi to coraz gorzej.

Linda skinęła głową i poszła z powrotem do biura. Otworzyła drzwi, zerknęła przez ramię na Jacka i zakołysała głową na boki, jakby w rytm jakiejś ukrytej piosenki, którą tylko ona słyszała.

Za jednym zamachem zanieśli swoje pakunki do pokoju. Jack miał stary granatowy worek na ubranie, który położył na pojemniku z piwem. Linda niosła brązową papierową torbę ze swymi rzeczami.

Pociągnęła za sznurek przy zasłonach i ich oczom ukazało się jezioro Superior, trzydzieści stóp w dół zbocza.

- Hej, ładnie tu. Jest balkonik i wszystko, jak ten facet obiecał - odezwała się, rozsuwając szklane drzwi.

Jack wyszedł na balkon i oparł się o balustradę z giętego żelaza. Wysokie na dwie stopy fale rozbijały się o kamienie na brzegu. Po lewej stronie widać było grupkę drzew kurczowo trzymających się czerwono-żółtych wspomnień jesieni; liście trzepotały na wietrze wiejącym od wody. Stali tak przez kilka minut bez słowa, wpatrzeni w wąski pobłysk słońca biegnący po jeziorze gdzieś od strony Duluth.

- Jezu słodki, muszę się wykapać - rzekła Linda. - Gdzie masz maszynkę do golenia? - I poszła do łazienki z piwem, swoją brązową torbę i maszynką do golenia Jacka.

Jakieś piętnaście minut później w pokoju zaczęło ładnie pachnieć, jak zawsze, gdy podróżuje się z kobietą. Jack siedział na brzegu żelaznej balustradki i mijał nogą w powietrzu. Kiedy potarł policzek, poczuł pod dłonią nowe kłujące szczecinki trzydniowego zarostu. Młoda para ubrana w idealne L. L. Beany wyszła na swój balkon dwa pokoje dalej; facet zerknął na Jacka i skinął mu głową.

- Brywieczór - odezwał się Jack, usiłując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz czuł się

młody. Dawno temu. Bardzo dawno.

Wrócił do pokoju w chwili, gdy Linda wyszła z łazienki owinięta w ogromny ręcznik, z mniejszym zamotanym na głowie, jak to kobiety zawsze robią, gdy umyją włosy. Jack zastanawiał się, ile ona może mieć lat. Pewnie ze trzydzieści kilka, ale trzyma się wcale nieźle. Dokładnie tak samo, jak ręcznik trzyma się na jej wspaniałych piersiach, palce lizać! Nogi nie były tak długie, na jakie wyglądały w dżinsach i kowbojkach, lecz i tak dostatecznie długie; długie i doskonałe, albo jeszcze ciut lepsze. Zawsze uderzało go, że kobiety wydają się większe, gdy są ubrane, natomiast nago są nie tylko mniejsze, ale i nie tak wspaniałe.

Linda włączyła radjko przy łóżku i kręciła gałką, dopóki nie znalazła stacji z muzyką country. Teraz Jack poszedł do łazienki, ogolił się i włożył pod prysznic. Linda zapukała do drzwi.

- Wejdz! - zawołał przekrzykując lejącą z kranu wodę.

- Mogę umyć zęby, kiedy ty tam siedzisz?

- Jasne. - Para wylatywała nad górną krawędzią zasłonki, woda kasała go w szyję, a mydło spływało po ciele. Nagle Jack Carmine poczuł się nieco młodszy. Nieco.

- Co to jest, co tutaj leży?

- Co?

- Takie coś z paskiem i kieszenią na suwak.

- Pas z kieszenią, w którym noszę grubszą gotówkę, to znaczy poza tą, którą już wysłałem przelewem do mojego banku w Alpine. Kilka lat temu wyciągnęli mi z kieszeni siedemset dolarów w Vegas... zaraz potem kupiłem ten pas. Nie lubię wozić ze sobą czeków; wolę gotówkę.

Ledwie usłyszał trzask drzwi, gdy wyszła z łazienki. Zaczesał mokre włosy do tyłu i owinał biodra ręcznikiem. Linda leżała na łóżku i z brodą wspartą na splecionych dłoniach wyglądała przez szklane drzwi.

- Czy ten facet mówił coś o restauracji?

- Podobno jest tu jedna w motelu i parę jakieś czterdzieści mil stąd w Grand Marais. - Powiedziała roztargnionym głosem, świadczącym o tym, że jej myśli błądzą zupełnie gdzie indziej; powoli machała zwieszonymi z łóżka nogami.

Jack Carmine zbliżał się do późnych lat średnich swego życia. Stał teraz oparty o framugę drzwi balkonowych, ramiona założył na piersi, a nogi skrzyżował. Wszystko tu pasowało do siebie - ręcznik na biodrach w motelowym pokoju nad brzegiem jeziora Superior, dzielenie pokoju z kobietą, o której absolutnie nic się nie wie. Pasowało idealnie, wszystko, i kobieta, i sytuacja. Pasowało do życia mężczyzny, który nigdy nie mógł się zdecydować, co będzie robić za chwilę, ani też mu na tym nie zależało.

- Większość ludzi nie robi takich rzeczy - powiedziała, wynurzając się z miejsca, do którego zawiodły ją myśli.

- Jakich znowu rzeczy?

- Nie wybiegają tylnymi drzwiami z miejsca zwanego barem Rainbow w Dillon, w Minnesocie, z kimś, kogo zupełnie nie znają, nie wskakują do samochodu i nie jadą przez cały dzień po to, by skończyć w motelowym pokoju bez żadnej szmatki na grzbiecie.

- To prawda. Gdybyś o tym przeczytała w książce, nigdy byś w to nie uwierzyła. Ten kraj zszedłby na psy, gdyby wszyscy się tak zachowywali.

Cały czas wyglądała przez okno na jezioro Superior.

- Czasem... po prostu musisz jechać, wyrwać się z miejsca, w którym właśnie jesteś. Złapać ostatni samolot, jak w tej piosence, wiesz, o co mi chodzi?

- Pewnie. Pomyśl tylko o tych wszystkich głupich draniach, którzy w tej właśnie chwili wdychają nawzajem swoje spaliny w miejskich korkach albo wloką się rozklekotaną kolejką do miasta. Nieraz o tym myślę i przysięgam sobie, że sam nigdy tak nisko nie upadnę. Podjąłem tę decyzję trzydzieści lat temu. Myślisz, że mają lepiej niż my ze swymi hipotekami, planami emerytalnymi i polisami ubezpieczeniowymi? Do diabła, nie, chyba że zaraz się pochorujemy, zestarzejemy albo będziemy gwałtownie potrzebować dachu nad głową.

- Naprawdę nazywasz się Jack Carmine?

- Taa.

- I naprawdę mieszkasz w Alpine w Teksasie, tak?

- Kiedy już tam jestem, to tak. Ale rzadko tam bywam, najwyżej zimą.

- Jack Carmine z Alpine... czy tak o tobie mówią? Śmieją się z ciebie?

- Kiedyś tak, teraz już coraz rzadziej. Czasem przedstawiam się jako Jack Carpine z Almine, żeby było śmieszniej. Masz ochotę na piwo?

- Pewnie. Strasznie moczę łóżko tym ręcznikiem. Poradzisz sobie, jeżeli go zdejmę?

- Taa, jeśli tylko zmobilizuję resztki opanowania, którego i tak nigdy nie miałem za wiele. Ale będziesz musiała przeżyć, że od czasu do czasu zerknę w twoją stronę. Co jakieś czternaście sekund.

Przekręciła się na chwilę na plecy, pokazując mu brzusek, po czym zsunęła się z ręcznika.

- Sam wyglądasz wcale nieźle w ręczniku, Jacku Carmine. Jakim cudem udaje ci się pozostać takim szczupłym, skoro wlewasz w siebie tyle piwa?

- Dzięki ciężkiej pracy i dobrym genom. Zdaje się, że głównie dzięki temu drugiemu. - Nie potrafił opanować łomotania serca. Linda znowu leżała na brzuchu, ramionami obejmowała poduszkę, na której położyła głowę, i spoglądała na niego. Ładne, gładkie ciało, czyste i ładnie pachnące, zgrabny tyłeczek i piersi przyciśnięte do materaca. - Lepiej będzie, jak usiądę... to znaczy, jeżeli tobie to nie przeszkadza. Mam mały kłopot z utrzymaniem pewnych spraw pod kontrolą. Nie zrozum mnie źle; ja nie startuję do ciebie, tylko mówię, jak jest. Z byciem mężczyzną wiążą się czasem sprawy, na które nie masz wpływu; pewne partie twojego ciała żyją własnym życiem.

- O to się nie martw. Wiem coś niecoś na ten temat. Nie ma się czego wstydzić. - Poklepała łóżko obok siebie. - Usiądź tu, jeśli masz ochotę, ja się wcale nie boję. Wiesz, co dziewczyny w szkole średniej zwykły mawiać o chłopakach? - Zdusiła chichot, wciskając twarz w poduszkę.

- Prawie boję się zapytać. Tak czy siak, wal.

- Jeżeli go nie widziałaś, nie wiesz z czym masz do czynienia. Jeżeli już go zobaczyłaś, wiesz, że nie ma się czego obawiać. Straszne, co? Wtedy uważaliśmy, że to wcale mądre.

- Gdzieś tu kryje się okruszek mądrości, choć na razie nie mam zamiaru się nad tym zastanawiać.

Pół godziny później oboje leżeli w łóżku na brzuchach, oddaleni od siebie o jakieś dwie stopy. Dziesięć minut wcześniej Jack rzucił ręcznik w kierunku drzwi do łazienki.

- Wiesz - odezwała się - jest coś naprawdę miłego w takim leżeniu i rozmawianiu z mężczyzną... chodzi mi o to, że oboje niby jesteśmy nadzy, ale jakoś wcale nie uderza nam to do głowy. Większości facetów nie byłoby na to stać, naprawdę cię doceniam. Można by to chyba nazwać zażyłością bez intymności, co? Przeżyłeś już wcześniej coś podobnego?

Jack postukiwał szyjką butelki o deskę w głowach łóżka i obserwował tę czynność z jakimś przedziwnym, nieomal natchnionym napięciem.

- No, cóż... dla podtrzymania rozmowy powiedzmy, że tak. Cała sztuczka polega na tym, by przetrwać ten pierwszy szturm hormonów i adrenaliny i wyciszyć się. Jak mówiłaś, skąd jesteś?

- Z Altoona w Iowie. Zaraz obok Des Moines. Pracowałam przy taśmie w American Battery, dopóki się nie zwinęli i nie przenieśli do Dallas po tygodniowym wymówieniu. Potrzebowałam pieniędzy, a usłyszałam gdzieś, że fabryka w Dillon zatrudnia nowych pracowników.

- A twoje nazwisko, to znaczy, jeśli nie masz nic przeciwko powiedzeniu mi tego?

Odpowiedziała na jego pytanie i przekręciła się na plecy; leżała, wpatrując się w sufit. Jej piersi były dokładnie tak duże i ładne, jak to zapamiętał, gdy przyglądał się jej tańczącej w barze Rainbow poprzedniej nocy i na szosie kilka godzin wcześniej tego dnia. Dwa razy zamrugła oczyma i cały czas wpatrywała się w sufit, który miał jakieś przedziwne wzorki z błyszczących szkiełek. Z radia płynęła jedna z tych piosenek nie do powtórzenia czy zapamiętania, doskonała do tańca, lecz właściwie niewarta większej uwagi.

- Co zostawiłaś w Dillon?

- Niewiele. Czynsz zapłaciłam, więc z właścicielem mieszkania jestem kwita. Kilka sztuk ubrania, głównie dżinsów i ciuchów do roboty. No i jedną całkiem przyzwoitą sukienkę, którą kupiłam pod wpływem jakiegoś dzikiego impulsu zeszłego lata... kosztowała sześćdziesiąt dwa dolary na wyprzedaży.

- Coś ci powiem - odrzekł Jack, szczerząc zęby w uśmiechu. - Kupię ci ładną sukienkę, naprawdę ładną, i wszystko, co do niej potrzeba. Jeżeli zostaniesz ze mną przez jakiś czas

albo nawet jeżeli nie będziesz miała na to ochoty, nieważne... znajdziemy jakiś sklep w Duluth albo Minneapolis czy gdzieś tam po drodze i wykwipujemy cię jak damę.

Przekręciła głowę na poduszce i uśmiechnęła się do niego łagodnie.

- Nie musisz tego robić.

- Wiem, że nie muszę, ale chcę. Chcę patrzeć, jak przymierzasz sukienki. Jest coś seksownego w tym, jak kobieta przymierza nowe ciuchy... więc i tak nie stracę tych pieniędzy. Myślę, że to dlatego, że kobietom sprawia to taką przyjemność... Miło jest choćby na nie patrzeć.

Położyła mu dłoń na plecach, na wysokości krzyża, zauważyła małą, brzydką bliznę na prawym ramieniu.

- Jacku Carmine, równy z ciebie gość. Ale gdzieś ty się nauczył tyle o kobietach?

- Wystarczy tylko unieść głowę i zwracać uwagę na pewne rzeczy, a wiedza przychodzi sama. Po prostu wiem to i owo, to wszystko. Nie jesteś głodna?

- Jestem. Chcesz zajrzeć do restauracji tu, w motelu, czy pojechać gdzieś dalej?

- Głosuję za pojechaniem do Grand Marais. Jakoś restauracje w motelach zawsze wydają mi się takie same. Mam wrażenie, że taki kuchcik i dwie kelnerki podążają za mną przez cały kraj i zatrudniają się tam, gdzie ja się zatrzymuję na posiłek. Wystarczy, że podniosę oczy znad karty dań, którą, mógłbym przysiąc, już wcześniej widziałem, i widzę małą kelnerczkę w biało-czarnym mundurku z różową chusteczką w kieszonce, i znowu dałbym sobie głowę uciąć, że już ją wcześniej spotkałem.

Linda wstała z łóżka i poszła do łazienki, zabierając po drodze dzinsy i nowy sweter. Jack lubił patrzeć na odchodzące kobiety.

„Jest w tym coś dobrego, sam nie wiem co” - wyznał raz Bobby’emu McGregorowi. Kilka lat później Bobby napisał o tym piosenkę.

Poznali się z Bobbym w Sajgonie, gdy wszystko waliło się człowiekowi na łeb i szło w diabły; Jack nie zastanawiał się za bardzo nad sensem życia. Powiedział, że refleksja gwałci duszę, a jeszcze gorsze rzeczy wyczynia w sercu. Powiedział też, że zabiera mu wszystkie dobre, ciepłe uczucia i zastępuje je czymś, co wcale mu się nie podoba. Dodał jeszcze, że wszystko, co warte poznania w jego życiu, wzięło się z ciężkiej pracy, a nie czczych rozmyślań.

Bobby spytał go kiedyś o filozofię życiową.

- Moje co? - odparł Jack.

- No, wiesz... jak postrzegasz ludzkość w tym bagnie i swoje miejsce w świecie?

Siedzieli przy długim drewnianym barze w Shreveport; włączyli się wówczas bez celu, czekając na rozwój wypadków, jak często im się zdarzało, póki Bobby się mniej więcej nie ustatkował.

Jack przyglądał się butelkom z alkoholami ustawionym równiutko po drugiej stronie baru, a potem zaczął oddzierać etykietkę ze swej butelki piwa. Oddzierał jeden cieniutki

paseczek papieru po drugim w ogromnym skupieniu.

- Najpierw przetrwanie, potem prokreacja.

- Co takiego?

- To, co właśnie powiedziałem.

- Chcesz powiedzieć, że to wszystko? - Bobby wyszczerzył zęby; zamówił jeszcze dwa piwa lone star i przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał od Jacka. - Nic więcej?

- Tylko to. Wszystko sprowadza się do przetrwania, a kiedy to już jest zaklepane, do zapewnienia dobrej zabawy naszej płci przeciwnej. Tę drugą część przekształciliśmy w formę sztuki w letnie noce, takie jak dzisiejsza, ale tak naprawdę to wszystko sprowadza się do tego samego... tego samego. Przychodzimy, robimy swoje i odchodzimy... nic więcej; i to by było wszystko w kwestii, jak dalece poważnie powinniśmy się traktować.

- A co ze wspaniałymi rzeczami, jakie stworzyliśmy, z raketami lecącymi na księżyc, z Michałem Aniołem, Picassem i całym tym chlaniem?

- Barachło. Może nawet wcale dobre miejscami i wspaniałe jako sposób ucieczki od wszystkiego, co ciągnie nas do dna, ale i tak barachło. Zapytałeś, jak widzę ludzkość w tym bagnie, więc ci powiedziałem. Ludzie usiłują zrobić z siebie coś wspaniałego, dominującego, lepszego od psów, krokodyli, ryb i kwiatów. Ale gdy się nad tym tak naprawdę dobrze zastanowić, wcale nie jesteśmy lepsi. Wszyscy jesteśmy tylko garścią prochu i jedziemy na tym samym wózku - psy, krokodyle, ryby i kwiaty - donikąd, i to jest właśnie sedno sprawy. Wierz, w co chcesz, Bobby, a ja właśnie tak to widzę.

Jack wygrzebał kilka monet z kieszeni džinsów i podszedł tanecznym krokiem do szafy grającej po przeciwnej stronie parkietu. Wsadził do niej cztery ćwierćdolarówki i wybrał piosenki, po czym podszedł do stolika, przy którym siedziały trzy kobiety.

Dwadzieścia sekund później tańczył z jedną z nich w rytm „San Antonio Rose”. Kiedy przesuwali się obok baru, Jack wyszczerzył do Bobby’ego zęby w szerokim uśmiechu.

- Zdaje się, że przetrwanie mam tego wieczora zapewnione, więc popracuję nad drugim priorytetem Jacka Carmine’a.

Poprowadził partnerkę przez środek parkietu, jak zawsze lekko nie nadążając za muzyką, lecz dziewczyna nadrabiała te straty; spoglądała mu w twarz skrytą w cieniu stetsona i śmiała się z tego, co do niej mówił. Kobiety lubiły Teksas Jacka Carmine’a, tak jak ludzie lubią słońce i lekki deszczyk na twarzy. Zdawało się, że szybuje na wietrze, ale nie pozwalała mu sobą pomiatać, i kobiety to wyczuwały. Ponadto on je szczerze lubił, nie tylko jeśli chodzi o łóżko, ale w ogóle. Uwielbiał na nie patrzeć, rozmawiać z nimi, tańczyć i one się na to łąpały. Lubily go, bo on je lubił za to, czym są.

Linda wyszła z łazienki; ładnie wyglądała. Dżinsy miała nieco zakurzone, lecz nowy sweter pasował na nią prawie idealnie, może był nieco za luźny, ale tylko odrobinę. Długie włosy związała na karku różową wstążką, którą wyjęła z torebki.

Jack zasznurował buty. Włożył czystą flanelową koszulę, tym razem w białą-niebieską

krate, i inne spodnie.

- Jesteś gotowa, tańcząca damo?

- Widziałeś tu gdzieś jakąś szmatkę do polerowania butów?

Jack zajął do szafy, znalazł szmatkę i podał jej. Oparła stopę o stojak na walizki, przetręła but, potem drugi. Wreszcie stanęła ze złączonymi stopami i przyjrzała im się krytycznie.

- Trochę to żalosne, nie?

- Jak dla mnie w sam raz. - Wciągnął skórzaną kurtkę, która pamiętała lepsze czasy. - Wyglądasz doskonale, pod każdym względem.

- Dzięki. Miło to usłyszeć raz na jakiś czas, nieważne, czy tak jest, czy nie.

- Dziś wieczorem tak jest i tylko to się liczy.

Kiedy wyszli z pokoju, na niebie wisiał ogromny księżyc, któremu brakowało tylko trzech dni do pełni, a temperatura opadała bardzo szybko. Jack zaczął śpiewać.

- Zapchane taksówki przy krawężnikach i stuk starych kul bilardowych; słowa o miłości i namiętności, wypisane na ścianach kredowych...

Pikap potoczył się na północ wzdłuż brzegu wielkiej wody, którą Indianie nazywają Gitchee Gume. Po niespełna godzinie wjechali do Grand Marais.

- Facet z motelu powiedział, że mają tu niezłą pizzerię i jakiś zajazd przydrożny czy coś w tym stylu. Miało to się nazywać Harbor's Edge, czy Harbor Coast... nie pamiętam - rzekła Linda.

- To chyba tam, Harbor Light. Zajrzymy?

- Jasne.

Jack skręcił na parking. Otworzył drzwiczki, lecz zatrzymał się w pół ruchu i zamarł.

- Słyszysz to, co ja? - spytał. - Tam gra jakiś zespół. Nie sądzisz, że to wcale dobry znak? Tyle że grają właśnie jedną z tych nowych piosenek, które przypominają mi nowe samochody... trudno je rozróżnić. Podobały mi się pletwy przy tylnych światłach... i wolę stare piosenki.

Linda uśmiechnęła się do niego; ramię w ramię podeszli do drzwi Harbor Light.

- Kiedy już jesteśmy przy tym temacie, to ile masz lat, Jacku Carmine?

- Zastanówmy się... W tej chwili czterdzieści sześć i... oho! Czterdzieści siedem skończę jutro rano. - Otworzył drzwi i przytrzymał, by mogła przejść.

- Teksas Jack zamienia się w Urodzinowego Jacka, co? Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałeś?

Jack zaczął poruszać biodrami i ramionami, jakby w tańcu.

- Bo nie myślałem o tym aż do chwili, gdy mnie zapytałaś. Taak, dziś wieczorem zamierzam tańczyć tango, jeść mango i złapać ostatni odlatujący samolot... Jak na razie dotarłem pierwszą klasą tylko do Grand Marais... ale to i tak coś.

Podeszła do nich hostessa przyciskająca do piersi kilka kart dań. Jack uśmiechnął się do

niej szeroko.

- Poprosimy o najlepszy stolik, jaki macie. Jutro są moje urodziny, a skoro już sobie o tym przypomniałem, mogę stracić panowanie nad sobą.

Dziewczyna znowu się uśmiechnęła i poprowadziła ich do restauracji; posadziła ich przy ładnym stoliku nieopodal okna wychodzącego na kępkę gnących się na wietrze choinek i położyła przed nimi karty dań.

- Czy podać państwu coś z baru?

Jack zerknął na Linde.

- Szkocką z lodem - powiedziała.

- Dajcie najlepszą szkocką, jaką macie.

- Mamy J and B.

- Okay. A dla mnie dwa mooseheady.

- Dwa?

- Tak, psze pani, dwa. Wkrótce muszę złapać ostatni samolot i potrzeba mi czegoś na rozluźnienie.

- Ale tu w okolicy nie ma żadnego lotniska - odparła hostessa.

- Ależ jest, tylko że ja jestem jedynym człowiekiem, który je widzi... samolot odlatuje z niego już niedługo z niegrzecznym chłopcem na pokładzie. - Jack rozprostował dłoń i przeciągnął nią po blacie stolika.

Dziewczyna uniosła oczy do sufitu z „jeszcze jeden pijaczyna” wypisanym na twarzy.

- Kelnerka za chwilę poda państwu drinki. - I odeszła.

- Chyba mnie nie polubiła. - Jack wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Może nie jest przyzwyczajona do szalonych kowbojów, Jack. Oswoi się. Zanim noc dobiegnie końca, będzie cię błagać o rękę. Wierz mi.

Podeszła kelnerka z drinkami.

- Dziś wieczór szef kuchni poleca smażonego polaka.

Jack spojrział na Linde, a potem znowu na kelnerkę.

- Polaka? Jezu, czy tu się serwuje pokawałkowanych ludzi? Dobry Panie, bywało się w dzikich miastach, ale to tu przekracza wszystko. Dziś wieczór smażeńi Polacy, a jutro gotowani Tekszańczycy na lunch.

Kelnerka spiekła raka.

- Nie, to znaczy... to taka ryba. Nigdy nie potrafię tego poprawnie wymówić.

Linda popatrzyła na nią z łagodnym uśmiechem.

- A... chodzi o pollaka, tak?

- Tak.

- Kto tu dziś gra? - spytał Jack.

- Zardzewiałe Cadillaki. Są naprawdę fajni... w każdym razie mnie się podobają.

Zerknął na Linde.

- Na co masz ochotę, tańcząca damo?

Wyglądała naprawdę ładnie. Lekko umalowała twarz, czarne lśniące włosy związała z tyłu różową wstążką. Trudno było uwierzyć, że zeszłej nocy kołysała piersiami i kręciła wściekle pomarańczowymi kitkami przyczepionymi do sutków w numerze, którego nauczyła ją Carma.

- Jeżeli martwisz się o cenę, to daruj sobie. Lubisz homary?

- Uwielbiam, choć jadłam je zaledwie kilka razy w życiu. Jesteś pewien?

Wpatrywał się w kartę i jednocześnie mówił do kelnerki.

- Tu jest napisane, że macie homary po cenie rynkowej, czyli po cenie ustalonej przez chłopców z Maine, którzy trzymają homary w ogromnych stawach, by podbić cenę. Idioci mają nadzieję, że homary z wiekiem będą tak samo zyskiwać na wartości jak wino. Farmerzy usiłowali zrobić coś podobnego od lat, ale są za głupi albo zbyt uparci, by się porządnie zorganizować. - Dziewczyna robiła się coraz bardziej zdenerwowana; czekała z notesikiem i ołówkiem w pogotowiu. - W takim razie prosimy o dwa duże stare homary po cenie rynkowej.

- Nie ma już pieczonych ziemniaków; są natomiast frytki i pieczone słodkie bulwy.

- Ja proszę o słodkie bulwy - odparła Linda. - I włoski sos do sałatki.

- Dla mnie to samo. - Jack uśmiechnął się.

- Dwa razy homar z bulwami i włoskim sosem do sałatki. Zaraz przyniosę sałatki.

- Dobrze się bawisz? - spytał Jack, gdy dziewczyna odeszła.

- Jak na razie świetnie. - Linda uśmiechnęła się do niego. Wystukiwała nożem rytm piosenki granej przez Zardzewiałe Cadillacy w innej części budynku. - Czy tak właśnie spędzasz życie? Jeżdżąc po kraju swym pikapem i jedząc homary?

- Czasem tak, a czasem nie. Zależy od aktualnego stanu mojego nastroju i portfela. Jeszcze nigdy nie rozwiązałem żadnego problemu jeżdżeniem po kraju. Z drugiej strony, jeżeli to nie rozwiązuje problemów, to nie mam pojęcia, co może je rozwiązywać. - Rozejrzał się po salce i zauważył krokwie na suficie. - Coś mi się zdaje, że to stary budynek... podoba mi się tu. W ogóle lubię stare rzeczy, takie, na których czas odcisnął swe piętno.

Linda zerknęła na sufit, nie przestając postukiwać nożem o stół.

- Pasują do nas, co?

- Do mnie, do ciebie nie. Ty nie jesteś jeszcze stara. A te głębokie bruzdy na moich policzkach nie są tylko efektem działania silnego wiatru i palącego słońca.

- No, cóż... mam trzydzieści siedem lat i zaczynam się już troszkę sypać. Zwłaszcza psychicznie. Ale zauważyłam też lekkie niedociągnięcia tu i ówdzie, wystarczająco dużo, by wiedzieć, że moja kariera striptizerki nie potrwa długo... - Rozcapierzyła palce i przyjrzała im się uważnie. - Poza paznokciami, które wyglądają o niebo lepiej, odkąd rzuciłam pracę w fabryce.

- Nie zauważyłem żadnych niedociągnięć, a przyglądałem ci się naprawdę uważnie przez

ostatnie kilka godzin. Poza tym lubię myśleć, że patyna czasu ma swój urok. - Jack uśmiechnął się. - Zatańczymy po homarze czy jesteś zbyt zmęczona?

- Jasne, że zatańczymy. - Linda uniosła drinka, a Jack stuknął butelką moosheada o jej szklaneczkę. Dodała: - Wypijmy za coś, co jest lepsze od mojego kręcenia kitkami w barze Rainbow w Dillon przed tymi wszystkimi otwartymi gębami i zaślinionymi brodami. Ten świat jest wyjątkowo smutny, Jacku Carmine, skoro mężczyźni są tak napaleni, że muszą płacić żywą gotówką, by zobaczyć, jak naga kobieta płąsa przed nimi. Ja tylko zarabiałam na życie, ale oni żyli we śnie, który i tak nigdy by się nie ziścił.

- No dobra, wypijmy za coś lepszego niż to, ale z czasem spróbujemy to jakoś poprawić. Muszę jednak powiedzieć, z odrobiną smutku i szczerości, że mogłabyś zostać prawdziwą mistrzynią świata w kręceniu tymi pędzelkami, gdybyś tylko została w biznesie dostatecznie długo.

- No cóż... miło mi to słyszeć... przynajmniej tak mi się zdaje. Prawdopodobnie to nie to samo, co bycie sławną skrzypaczką, ale talent Bóg daje w różnych formach i trzeba się starać jak najlepiej rozporządzać tym, co się ma. - Nagle wybuchnęła śmiechem.

- Podziel się ze mną tym żartem - rzekł Jack.

- Właśnie sobie pomyślałam, że publiczność wszystkich tych meczy futbolowych pewnie wyszłaby z siebie, gdyby zamienić pokazy żonglowania batutą w przerwach na pokazy kręcenia kitkami u cycków.

- Do licha, mam jeszcze lepszy pomysł. Wystarczyłoby, żebyście wraz z Carmą i kilkoma innymi dziewczętami stanęły na środku boiska; ludzie przyjeżdżaliby z całego kraju i nikt nawet słowem nie wspominałby o futbolu. Zresztą pewnie sama jedna dałabyś radę udźwignąć to przedstawienie. Może chcesz, żebym zaczął pracować jako twój agent? Już rozumiesz, co chodzi mi po głowie? Pięćdziesiąt tysięcy ludzi, po dziesięć dolarów od łebka, robiących „meksykańską falę” na stadionie, jedzących hot dogi i oglądających pannę Linde Lobo, wirującą pędzelkami. Mógłbym stać tam obok ciebie na murawie, uzbrojony w kij bilardowy numer dwadzieścia, i robić za twojego goryla. Po pierwszym przedstawieniu moglibyśmy przejść na emeryturę.

Linda wyobraziła sobie Jacka wymachującego kijem bilardowym, podczas gdy tysiące fanów szarżuje na boisko, i roześmiała się jeszcze głośniej.

- No cóż... to prawdopodobnie bardziej nęcąca wizja dla ciebie niż dla mnie. Ale i tak miałyby więcej sensu niż oglądanie zgrai ogromnych facetów, usiłujących jednocześnie dobrać się do jednej małej piłki i pozabijać nawzajem.

W tej chwili przyniesiono im homary, z lekko podwiniętymi ogonami i wściekle pomarańczowe w kolorze. Kiedy kelnerka postawiła między nimi dwie filiżanki płynnego masła nad maleńkimi świeczuszkami i odeszła, Linda rzekła:

- Jakie to ładne. I jednocześnie wyjątkowo eleganckie... w każdym razie bardziej, niż jestem do tego przyzwyczajona. - Uśmiechnęła się do Teksas Jacka Carmine'a zza płomieni

świec i Jack poczuł się szczęśliwy, ponieważ ona była szczęśliwa.

Kiedy już zjedli i kelnerka sprzątnęła talerze, Jack odchylił się na krześle.

- No i jak ci się podobał homar? - zapytał.

- Czułam się tak, jakbym po raz kolejny oglądała „Życie bogatych i sławnych”, tylko że tym razem to ja grałam główną rolę. To było naprawdę bardzo smaczne, Jack. Cieszę się, że zaproponowałeś właśnie homary. Ojej, tylko popatrz, co tu niosą! Założę się, że to dla ciebie.

- Wskazała palcem w stronę kuchni.

Kelnerka niosła małe ciasto z pojedynczą świeczką wetkniętą w lukier; przemaszerowała prosto do ich stolika.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin od Harbor Light. Powinnam zaśpiewać piosenkę, ale nie potrafię śpiewać... mimo to zaśpiewam, jeżeli pan chce posłuchać.

Jack zerknął na jej tabliczkę z imieniem.

- Pam, każdy potrafi pięknie śpiewać, jeżeli tylko włoży w to serce. Jakoś tak się na świecie porobiło, że ludzie są zimni i nie potrafią zapalić się do niczego; może dlatego uważają, że nie potrafią śpiewać. Nie martw się, ja sam mogę odśpiewać piosenkę, ale pod warunkiem, że ty będziesz mi nucić do wtóru. Zgoda?

Skinęła głową.

Jack zaczął śpiewać chropawym barytonem:

- Sto lat, sto lat, niech... - lecz urwał i spojrzał na kelnerkę. - No dalej, Pam, obiecałaś nucić ze mną...

Dziewczyna zaczerwieniła się i zanuciła cicho razem z Jackiem; stała przy stoliku ze splecionymi dłońmi przyciśniętymi do brzucha. Linda z uśmiechem przyłączyła się do nich. Kiedy skończyli, Jack umoczył palce w szklance wody i zgasił płomień palcami.

- Mój dziadzio zawsze tak właśnie gasił świeczki na torcie. „Ogień gaś wodą, Jack - zwykł mawiać. - Oddech oszczędzaj do biegania, bo do tego może ci się przydać”. Kiedy zbliżył się do siedemdziesiątki, strasznie dużo czasu zajmowało mu zgaszenie wszystkich świeczek i pamiętam, że za każdym razem nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie skończy i będziemy mogli zacząć jeść ciasto.

Czworo ludzi siedzących przy stoliku obok zaczęło bić brawo; Jack odwrócił się do nich i uklonił.

- Macie ochotę na trochę ciasta? Pokroję je cieniutko, żeby starczyło dla wszystkich.

Ale tamci odmówili, powiedzieli, że właśnie czekają na steki, lecz bardzo dziękują za zaproszenie. Więc Jack pokroił ciasto na trzy części, nalegając, by Pam wzięła swoją na później i zjadła, kiedy tylko znajdzie chwilę czasu.

Potem zapłacił rachunek i poszli korytarzem w stronę, skąd dobiegała muzyka. Na końcu korytarza mieścił się zatłoczony bar, za nim zaś znajdowały się drzwi wiodące do sali tanecznej tego dość uniwersalnego kompleksu rozrywkowego mieszczącego się w północnych lasach. Ponad Zardzewiałymi Cadillacami wisiał czerwono-niebiesko-biały

transparent:

Wszystkiego najlepszego

z okazji rocznicy

Dla Państwa Thornvaldów

Jack przepchnął się do baru i wziął dwa piwa, po czym poszli do sali tanecznej, która miała jakieś siedemdziesiąt pięć stóp długości i pięćdziesiąt szerokości; stoliki stały wzdłuż ścian, a po przeciwnej stronie drzwi znajdowała się niska estrada. Orkiestra grała właśnie „Ja i Bobby McGee”.

Wolność to jeszcze jedno słowo,

gdy nie ma się nic do stracenia...

- No... to... pokaż... im... jak... się... gra... Leon! - Jack klaskał w dłonie w rytm muzyki. - Czy tańczy pani teksańskiego two-stepa, panno Lindo Lobo?

- Nigdy nie miałam okazji, ale nieraz widziałam w telewizji, jak to się robi. Kto to jest Leon?

- Gitarzysta z zespołu Boba Willsa z dawnych dobrych czasów. Bob zawsze tak mówił, gdy chciał zrobić przerwę na solówkę gitarową. - Wskazał parkiet. - Chcesz spróbować?

Wyciągnęła do niego ramiona, przechyliła głowę i uśmiechnęła się szeroko.

- Naucz mnie, kowboju!

- Widzisz, to idzie mniej więcej tak...

Dwie minuty później Linda Lobo tańczyła teksańskiego two-stepa lepiej, niż Jack robił to kiedykolwiek, nawet w swych najbardziej szalonych snach. Nie znaczy to wcale, że była w tym tak świetna, po prostu Jack robił to tak fatalnie. Ale ich głównym celem była zabawa i mieli dość rozsądku, żeby nie pozwolić, by niedociągnięcia techniczne zepsuły im przyjemność.

Kiedy Cadillacki skończyły „Sobotnią noc w Luizjanie”, flanelowa koszula Jacka była mokra, a pot spływał mu po piersi i czole. Taniec kosztował go sporo wysiłku; Linda była lekko zarumieniona, lecz nie zdradzała oznak zmęczenia.

Okolo jedenastej orkiestra zagrała tusz w stylu country.

- Chcielibyśmy zaprosić tu do nas państwa Thornvaldów, żebyśmy mogli odpowiednio ich uczcić - powiedział do mikrofonu główny gitarzysta. Wszyscy zaczęli bić brawo, a Thornvaldowie weszli na podium.

- Mój Boże, to jest coś, prawda? - mruknął Jack, spoglądając z góry na Lindę, która była o jakieś siedem cali niższa od niego; sam mierzył sześć stóp i jeden cal. - Czterdzieści lat, na

miłość boską... są ze sobą już czterdzieści lat. Do diabła, gdybym zsumował wszystkie lata przeżyte w małżeństwie, nawet drugim czy trzecim, wszystkich moich znajomych, i tak nie uzbierałoby się czterdzieści.

Thonwalodwie byli niscy i przysadziści; stali na scenie objęci i machali radośnie do tłumu. Linda spoglądała na nich z nieco smutną miną. Kiedy uniosła głowę, by popatrzeć na Jacka, zauważył, że ma wilgotne oczy.

- To naprawdę jest coś - powiedziała. - Żeby tyle razem przetrwać, trzeba naprawdę mieć w sobie dużo ciepła i cierpliwości.

- Dużo miłości chyba też, nie sądzisz? - Jack uśmiechał się szeroko, lecz łagodnie.

- Dużo różnych rzeczy, Jack. Wszystkich tych rzeczy, co niektórym z nas jakoś gdzieś pouciekały.

Jack objął ją lekko i delikatnie otarł łzę spływającą po jej lewym policzku. Linda objęła go za szyję i wspiąwszy się na palce pocałowała go, miękko i ciepło, potem się przytuliła i z głową opartą na jego piersi patrzyła, jak Thornwaldowie schodzą z estrady, by poprowadzić rocznicowego walca.

- Chodź - powiedziała cicho, gdy inni też wyszli na parkiet, by dołączyć do Thonwaldów.
- Zatańczmy dla nich.

I zatańczyli wraz z innymi, podczas gdy Zardzewiałe Cadillacy robiły, co mogły, by poprawnie zagrać walca, a Jack robił, co mógł, by jakoś go zatańczyć. Przesuwali się z Lindą po parkiecie, walcując wraz ze wszystkimi, którzy przyszli, by uczcić rocznicę państwa Thonwaldów, a noc i wszystko czułe, cierpliwe, kochające na świecie przesuwało się w przeciwną stronę, wszystko to uciekało od Lindy Lobo i Teksas Jacka Carmine'a.

Później Jack zatańczył z panią Thornvald. Linda widziała ich ponad ramieniem pana Thornvalda, z którym tańczyła, trzymając rękę na ramieniu jego białej koszuli w miejscu, gdzie przecinały ją czerwono-czarne szelki. Pani Thornwald odchyliła głowę do tyłu i roześmiała się z czegoś, co powiedział do niej Jack. On wyszczerzył zęby w uśmiechu i zerknąwszy na Lindę poruszył brwiami, po czym wraz z partnerką wykonał prawie idealny obrót tuż pod sceną. Ona nadal się śmiała.

Kiedy przyprowadził ją z powrotem do miejsca, w którym stała Linda z panem Thornvaldem, pani Thornvald powiedziała do młodszej kobiety:

- Masz tu prawdziwy skarb, kochanie; trzymaj się go, póki możesz. Mówię szczerze; nie tylko wcale nieźle tańczy, ale ma też wspaniałe poczucie humoru, co jest bardzo ważne w małżeństwie; w obecnych czasach bardziej niż kiedykolwiek. Dobrze się stało, że nie spotkałam pana Jacka Carmine'a, gdy byłam młodsza, bo ten tu dżentelmen mógłby mieć poważną konkurencję.

Dżentelmen był łysy, lecz uśmiechał się szeroko; porwał panią Thornvald w ramiona i tanecznym krokiem powiódł na parkiet. Linda objęła Jacka Carmine'a i obserwując tańczącą parę, zauważyła, jak Thornwaldowie uśmiechają się do siebie, a na ich twarzach zobaczyła

wszystkie lata pracy, jakie włożyli w swój związek i w to, by on przetrwał. W świecie, w którym coraz częściej traci się bliskich, państwo Edwardowie Thornvald wygrali główną nagrodę.

Kiedy piosenka dobiegła końca, gitarzysta znowu podszedł do mikrofonu.

- A teraz, kochani, czas na konkurs. Mamy coś specjalnego dla osoby, która jest najdalej od domu. Grand Marais w ogóle się nie liczy. Co prawda to najbardziej odległy zakątek świata, ale i tak większość z was właśnie stąd pochodzi. No dobra... pochwalcie się, skąd jesteście!

- Z Rochester! - zawołał brat pani Thornvald.

- Z St. Paul! - dodała siostra pana Thornwalda.

Perkusista uderzył w talerze i krzyknął:

- Z Oil Trough, w Arkansas!

- Nie jesteś z żadnego cholernego Oil Trough, w Arkansas, Billy! - Gitarzysta obrócił się i spojrzał na perkusistę. - Pochodzisz z przedmieść Ely. Wszyscy to wiedzą, bo cały czas powtarzasz, że Ely jest większe od tego jeziora tu po drugiej stronie drogi! Poza tym cały stan wie, że gdy twój tatuś przedstawiał cię jako swego syna, twoją mamusia odwracała wzrok.

Tłum zaryczał donośnie i zaklaskał. Słyszeli to już wiele razy wcześniej, ale i tak im się podobało.

- O, do diabła! Ja jestem z Alpine w Teksasie! - zawołał Jack.

Perkusista ponownie uderzył w talerz.

- Obce kraje się nie liczą! - powiedział gitarzysta i tłum znowu wybuchnął śmiechem. - Czy ktoś pobije Alpine w stanie Teksas?... Alpine po raz pierwszy... po raz drugi... Właż tu do nas, kowboju, i odbierz swoją nagrodę.

Linda popchnęła go lekko; Jack podał jej swoje piwo i wszedł na podium. Wydawał się bardzo wysoki i szczupły obok niedużego gitarzysty.

- Powiedz kilka słów lokalnym wieśniakom, kowboju.

- Witajcie, lokalne-wieśniaki-z-tych-przez-Boga-zapomnianych-zamarzniętych-lasów-północy. Tak chłodno w południowo-zachodnim Teksasie, jak tu dziś wieczorem, było ostatnio, gdy w poprzedniej erze lód z lodowca ściekał od was do naszej pięknej krainy. A to nawet nie jest jeszcze zima. Rozumiem już, dlaczego nie hodujecie bydła w tych stronach; zachodziłoby się na śmierć, tylko usiłując rozgrzać, a gdyby odwróciło się do was zadami, nawet byście go nie zauważyli.

Tłum zawył radośnie. Ktoś wrzasnął:

- Coś mi się zdaje, że ta mała dama, z którą tańczyłaś cały wieczór, rozgrzewa cię po nocach!

Jack zerknął na koszulę, która przywarła mu do ciała, i odlepił ją dwoma palcami.

- Obawiam się, że dziś wieczorem już nie będzie się chciała do mnie zbliżyć - odparł.

Na to odezwał się znowu gitarzysta:

- Myślę, że powinniśmy zaprosić tu do nas damę pana kowboja i pozwolić, by to ona wręczyła mu nagrodę. Co wy na to? - Znowu brawa i krzyki.

Kiedy gitarzysta pomógł Lindzie wejść na estradę, od strony baru dały się słyszeć przeciągłe gwizdy. Linda zarumieniała się lekko i stała, ściskając w lewej ręce szyjki dwóch butelek piwa.

Jack nachylił się i szepnął jej do ucha:

- Może przyniosłaś ze sobą pędzelki? Moglibyśmy dać tu dziś początek legendzie.

- Skąd pani pochodzi?

- Z Altoona w Iowie - odparła Linda cicho do mikrofonu, który gitarzysta przechylił w jej stronę. Tańczenie nago to jedna sprawa, przemawianie do tłumu okazało się znacznie trudniejsze.

- Z Iowy? - rzekł gitarzysta, a tłum wydał z siebie niskie „buuu”. - Tutaj mówimy o tym stanie jako o bramie do Nebraski, ale dziś wieczorem pozwolimy pani z nami zostać. A teraz stary Gordy ma prezent dla kowboja... niech pani mu go wręczy.

Facet, który grał na basie, wyciągnął zza pleców czapeczkę ze śmigielkiem na czubku i podał Lindzie. Roześmiała się i włożyła ją Jackowi na głowę; potem zakręciła śmigielkiem, a wszyscy na sali zaczęli bić brawo. Odchyliła się i spojrzała na niego z uśmiechem. I... na zawsze... na zawsze...

...na zawsze zapamiętała, jak Teksas Jack Carmine stał tam z długimi brązowymi włosami, siwiejącymi na skroniach, brązowymi oczyma i opaloną twarzą, poprzecinaną głębokimi zmarszczkami, jak uśmiechał się i wyglądał strasznie niemądrze, a śmigielko obracało się na jego czapce.

- To po to, byś w razie czego miał jak wrócić do domu - dodał gitarzysta.

Jack odzyskał panowanie nad sobą, wziął piwo od Lindy i uniósłszy butelkę wysoko nad głową, krzyknął do mikrofonu:

- *Somos pocos, pero estamos locos!* Jest nas niewielu, ale jesteśmy szaleni! - Tłum zaryczał z zachwytem, a Jack pomachał i zszedł z estrady, cały czas szczerząc zęby w uśmiechu. Potem złapał Linde wpół i postawił na parkiecie, a Zardzewiałe Cadillacy zaczęły grać stary przebój Hanka Snowa „Ruszam w drogę”.

*Kiedy osiem kół zdziera asfalt,
znaczy to tyle,
że tatuś nieprędko wróci do domu...*

Jack i Linda tańczyli dalej, a ona od czasu do czasu sięgała do góry i kręciła śmigielkiem Jacka. Choinki kołysały się za oknami, ogromne jezioro, na które wypłynęły łodzie po kruszec, robiło się coraz zimniejsze i bardziej wzburzone, a Teksas Jack Carmine tańczył z

Lindą Lobo, podczas gdy zima rozpoczynała swą wędrówkę na południe od Kanady w stronę Grand Marais w Minnesocie.

Linda odwiozła ich później do motelu. Kiedy wyszli z Harbor Light, Jack rzucił jej kluczyki i powiedział:

- Jeżeli nie masz nic przeciw temu, byłbym wdzięczny, gdybyś ty poprowadziła. Może i jestem szalony, ale na pewno nie głupi, poza tym wypłem o jedno piwo za dużo. Jeżeli jakiś glina nas zatrzyma i zobaczy moją nową czapkę, na pewno nie skończy się na „Ojej, jakież to śliczne...” Potem każe mi zamknąć oczy, stanąć na jednej nodze i liczyć w tył od dziesięciu. Potem następne dwadzieścia lat spędzę na ciężkich robotach, wypełniając dziury w ziemi zostawione po kopalniach kruszcu nieopodal Hibbing.

Włożyła okulary i poprowadziła chevy'ego na południe brzegiem jeziora, przez lekki deszczyk, który złapał ich w dziesięć minut po wyjeździe z Grand Marais. Światła nadjeżdżających z przeciwka ciężarówek mocno raziły ją w oczy, więc jechała wolno, trzymając się pobocza po prawej stronie. Radio grało cichutko, a Jack bawił się pokrętłami.

- Czasem można tu na północy złapać XERF z Del Rio w Teksasie, jeżeli układ planet jest odpowiedni. Ale zdaje się, że dziś w nocy to nam nie wyjdzie. - Odchylił się na siedzeniu, zapalił papierosa i wsłuchując się w szum opon na mokrym asfalcie, spoglądał przez okno na przesuający się obok ciemny las.

- Dziś w nocy nam to nie wyjdzie - powtórzył, mówiąc do lasu i do nikogo w szczególności, mówiąc trochę smutno i cicho, jakby złapanie przygranicznej stacji mogło wypełnić pustkę i dopisać słowa niedokończonej piosenki, której nie mógł sobie przypomnieć. Uniósł rękę i zakręcił śmigiełkiem na czapce, którą nadal miał na głowie. Gdy zwolniło i przestało się obracać, szepnął: - Pokaż im, jak się gra, Leon... na miłość boską.

- Co powiedziałaś? - spytała Linda.

- Nic. Mruczę do siebie, że te północne światła przeszkadzają w złapaniu stacji radiowej z Teksasu.

Wtedy, w lesie

albo w odbiciu w szybie.

Jak zawsze:

nagle.

Jak zawsze:

niespodziewanie

... dzieci.

Na drutach,

koncertowo,

szalenie.

I głuchy łomot

*Obracających się wirników.
I ryk turbiny silnika,
I to samo w twojej głowie.
Skrećanie, potem
obracanie,
i wolne przechodzenie
przez dym -
Stare historie Jacka Carmine'a
z porąbanych na wióry kronik,
opowieści kaliber 50.*

Jack Carmine nie powiedział już nic więcej. Linda także nie odezwała się już ani słowem; pochylona nad kierownicą wiozła ich na południe przez zimny deszcz jesiennej Minnesoty w kierunku pokoiku z jedną szmatką do polerowania butów, która nie mogła dać sobie rady ze starymi kowbojkami, lecz z ładnym balkonikiem wychodzącym na jezioro.

II

Nowy Orlean, 27 października 1993

A jak by to było pójść do łóżka z kobietą tak czarną i zadziwiająco egzotyczną jak ta? Siedziała dwa stoliki dalej w Cafe Beignet. Vaughn Rhomer pił właśnie pierwszą kawę z ekspresu w swoim życiu i bardzo się starał, by nie było to zbyt widoczne. Mimo wszystko było. Potem puścił w ruch wyobraźnię. Naga i rozkrzyżowana na jedwabiu w kolorze kości słoniowej przypominałaby jedenastą figurę z testu Rorschacha* [przyp.: Test psychologiczny (apercepcji tematycznej) składający się z dziesięciu tablic, na których przedstawione są rozmazane kształty (kleksy); zadaniem badanego jest powiedzenie, z czym mu się owe kształty kojarzą (przyp. tłum.)] o wyjątkowo ostrych brzegach. Figura parującej skóry i płynącej krwi w pozycji X. To znaczy, dopóki nie zaczęłaby się poruszać pod jego dotykiem. Dopóki nie zaczęłaby się powoli wyginać, przekreślać i unosić w twoim kierunku, jak sama noc, jakaś długa, wiecznie trwająca noc, od której nigdy nie mógłbyś uciec, nawet gdybyś tego pragnął. Kobieta taka jak ta mogłaby bez trudu zdmuchnąć światło i porwać cię ze sobą w mrok.

Najpierw światło, a później tylko mrok. Vaughn Rhomer miał ochotę na nieco ciemności. W swym życiu widział dostatecznie dużo światła, by mu to wystarczyło na tysiąc żywotów. W Iowie klub rotariański był jasny. Podobnie jak pierwszy kościół luterański. A VFW?... Tego nie był pewien, może zabarwiony nieco na szaro, ale generalnie należący do tej samej kategorii, co rotarianie i kościół. Wcześniej tego samego wieczora odwiedził Marie Laveau dom Voo-doo i radził się panny Blanche, która przytrzymywała medium na krześle. Siedzieli w dusznym małym pokoiku za półkami zastawionymi eliksirami i amuletami, pograżeni w rozmowie o ciemności i dobrych rzeczach, jakie ze sobą niesie, przekrzykując szum wentylatora. Nowy Orlean rozumiał mrok.

Podobnie jak Thomas Martin, podróżnik doskonały, rozumiał wędrowca letnich gościńców. Na 148 stronie drugiego tomu „Podróży” (wydanego przez Empire Publishing LTD. w Londynie w 1932 roku) napisał tak:

W Pieczarach Rokay nie ma światła. Istnieje jednakowoż życie, bardzo ostrożne życie: ślepe ryby, kolonia nietoperzy, szeleszczący dowód bytności czegoś, czego nie sposób zidentyfikować po samym dźwięku. Ale nie ma światła. Jest to miejsce w sercu Ziemi, do którego żaden człowiek nie powinien się samowolnie zapuszczać, i z każdą mijającą sekundą zastanawiam się, co tu robię. Słysząc tu cichy pomruk czegoś, nieomal bezgłosny, lecz stale obecny - to sama Ziemia przemawia. Słowa Ziemi, skryte w tym pomruku niby w mroku, mówią mi: „Wracaj, wędrowcze. Wracaj do światła, Thomasie Martinie, bo to tam żyją ludzie”. Mimo to cały czas słyszę pogłoski o skrytych tu skarbach, diamentach lub pełnych garściach dóbr niewyobrażalnie piękniejszych, ukrytych tu przez wędrujących La-Koos-Koos, kiedy ich zbiory stały się zbyt ciężkie, by nieść je ze sobą w codziennej wędrówce. Gdzieś pod sobą słyszę odgłos spadającej wody, choć drżące światło świecy umieszczonej na moim hełmie jeszcze jej nie odnalazło. Boję się, a jednak nie mogę zawrócić i pozostać człowiekiem, jakim jestem. Coś pcha mnie naprzód, więc idę coraz dalej w głąb, i dalej jeszcze...

Słowa podróżnika wydawały się Vaughnowi Rhomerowi piękne, pokrzepiające i warte zapamiętania. Sześć lat wcześniej ręką zręczną i wprawną przepisał słowa Thomasa Martina dokładnie tak, jak ten je napisał. Człowiek powinien być wierny rzeczom wartościowym i zachowywać je w niezmienionej formie, gdyż tylko wówczas mogą przetrwać karzącą dłoń obecnych czasów. Vaughn Rhomer wierzył w to święcie. Tak więc wspomnienia zostały przepisane do kołonotatnika, czysto i równo, z wielkim szacunkiem dla każdej litery i znaku przestankowego. Na początku planował używanie segregatorów do porządkowania swych notatek, ale potem zdecydował się na kołonotatniki, doszedłszy do wniosku, że rzeczy mają swój własny cykl wydarzania się, w który człowiek nie powinien ingerować.

Po pisaniu następowało powtarzanie. W zimowe wieczory w Iowie Vaughn Rhomer sunął palcem po stroniczkach notatek - słowo po słowie, linijka po linijce - dopóki nie wbił ich sobie do głowy.

Wypowiadał te słowa głośno, tak jak wyobrażał sobie, że wypowiadałby je sam Thomas Martin: „Istnieje jednakowoż życie, bardzo ostrożne życie... ostrożne życie... ostrożne życie...”

Zastukał palcami o marmurowy blat stolika i znowu zerknął na czarną kobietę. Pogoda w Nowym Orleanie była ciepła, jak na koniec października, a drzwi Cafe Beignet otwarte na ulicę. Mardi Gras i inne wiosenne święta były jeszcze daleko. Vaughn Rhomer specjalnie tak zaplanował swój przyjazd, by uniknąć głośnych pochodów z ludźmi wymiotującymi przechodniom na buty i robiącymi sobie nawzajem niewyobrażalne rzeczy na Bourbon Street. Podejrzewał, że były czasy, kiedy wszystko to wyglądało nieco inaczej, kiedy Mardi Gras pokrywała patyna stylowej dekadencji, a wszystko było nęcące dla zmysłów. Ale teraz, podobnie jak prawie wszędzie w Ameryce, dekadencję tak wyolbrzymiono, że zagubił się cały styl.

„Ekstrema prowadzą do unicestwienia, to na środkowych granicach prawda leży”, napisał T.H.K. Masters w swym klasycznym eseju na ten temat. Vaughn Rhomer zapamiętał także i jego słowa. Znajdowały się w czwartym z kolei kołonoatniku, na trzeciej stronie licząc od początku.

Na chodniku przed kafejką Ariendo Vincent grał na saksofonie altowym. Grał sam, a Murzynka słuchała go w skupieniu, kiwając głową do taktu, gdy przeszedł do „Gwiazdy spadają na Alabamę”, jakby coś jej to przypominało. Ariendo Vincent grał tę piosenkę powoli, zaokrąglając każdą nutę, lecz nie przeciągając jej zbyt długo, czasem odtwarzając wiernie muzykę, a czasem ledwie się jej trzymając.

Vaughn Rhomer znał tę melodię. Rythm Kings Arta Whalena grali ją w piątkowe wieczory, dopóki klub VFW nie zaczął zamawiać kapel grających muzykę country. Słowa przewijały mu się w umyśle: „Żyjemy w naszym małym, prywatnym dramacie, całujemy się na polach białych...” Wraz z Marjorie tańczyli raz przy tej melodii, to znaczy za czasów, kiedy jeszcze razem tańczyli... za dawnych, dawnych czasów.

Murzynka uniosła rękę i skinęła na kelnera. Vaughn Rhomer przestraszył się; przez chwilę myślał, że ona chce poprosić o rachunek. Ale gdy tylko kelner podszedł do niej, spokojnie wskazała swój pusty kieliszek po brandy. Ogromny biały szafir, który nosiła na wskazującym palcu, mógłby pochodzić z Pieczar Rokay, pomyślał Vaughn Rhomer. Thomas Martin mógł go stamtąd wynieść i sprzedać jubilerowi w Londynie, gdzie kupił go bogaty turysta, oprawił, a potem umierając, zostawił siostrzenicy; może ona potem popadła w długi i musiała go sprzedać, aż Murzynka znalazła go w jednej z galerii na Royal Street, handlujących starą biżuterią.

- Proszę jeszcze raz to samo. - Mówiąc to uśmiechnęła się do kelnera, a dźwięk jej głosu przypominał zawijas dymu z ogniska w deszczową noc pod koniec jesieni.

Jej skóra była gładka i czysta, a czarny odcień jeszcze ciemniejszy niż u Ariendo Vincenta, pochodzący prosto z Olduvai, bez żadnych skoków w bok w kierunku arabskich handlarzy niewolnikami czy białych właścicieli plantacji. A jednak coś w rysach jej twarzy zadawało kłam pierwszemu wrażeniu; w kształcie nosa i warg kryło się coś dziwnego. Może kaukaskiego. Może wspomnienie po kreolskim dżentelmenie, który spotkał prababkę jej matki w niedzielne popołudnie na Congo Square, na północnym krańcu French Quarter* [przyp.: Dzielnica Nowego Orleanu zamieszkała przez Kreolów (przyp. tłum.)]. Albo, co bardziej prawdopodobne, coś dalej w czasie... może kapitan statku? Rhomer wiedział, że smakowałyby i pachniały Afryką, łańcuchami i długą wędrówką do statków cierpienia, które w dawnych czasach odpływały do krainy bawełny.

Ariendo Vincent przeszedł teraz do piosenki Duke'a Ellingtona; Vaughn Rhomer znał ją z melodii, choć nie z nazwy. Była to naprawdę dobra piosenka, znacznie lepsza niż to, co dobiegało zza opuszczonych szyb przejeżdżającego ulicą samochodu. Tamtego wieczora, kiedy Vaughn Rhomer po raz pierwszy zapuścił się z Thomasem Martinem do Pieczar Rokay,

identyczne dźwięki dochodziły do niego z sypialni syna dwa piętra powyżej w ich domu na Trolley Car Boulevard. Bum, bum, bum... bum, bum - a bum, a bum - Vaughn Rhomer bardziej czuł ten bas, niż słyszał. Najniższe tony sprawiały, że obłuzowane końcówki systemu grzewczego w piwnicy zaczynały brzęczeć. Bez zbytecznego dociekania wiedział, jak wygląda album leżący na łóżku Nathana; satanistyczny: na wpół rozebrani mężczyźni, drapiący pazurami gitary o dziwnych kształtach, odgryzający głowy gawronom albo krępujący drutem kolczastym nagie, wrywające się kobiety. Albo coś jeszcze gorszego.

Tamtego wieczora sześć lat temu, dokładnie w rok po tym, jak jego siostrzeniec Jack wpadł do niego z ciemnowłosą kobietą imieniem Linda, Vaughn Rhomer odłożył swój notatnik i zerknął na prawdziwy wojskowy zegarek (wodoodporny, wytrzymujący ciśnienie do dwudziestu atmosfer) leżący przed nim na stole. Była późna jesień w Iowie, godzina także późna: dwudziesta trzecia z hakiem, czyli jakieś piętnaście po jedenastej wedle określenia cywilów. Jutro znowu od rana musi iść do pracy, ale zwykł słuchać pierwszych porannych wiadomości BBC, które miały się zacząć za dwanaście minut. Fakt, że BBC zawsze było na czasie i śledziło wydarzenia na świecie - stan zdrowia króla Tajlandii, zamieszki w Bombaju czy strajki górników w Rosji - dodawał mu otuchy. Dawno temu zrezygnował z wymagania, by Nathan kładł się spać o przyzwoitej godzinie.

- Tato, jestem w drugiej klasie; zajęcia zaczynają mi się dopiero o dziewiątej, a po lunchu nie mam nic do roboty. Mogę w każdej chwili wrócić do domu i zdrzemnąć się przed pracą. Bez obaw, tato, wyluzuj się.

Jasne, bez obaw, wyluzuj się.

- Nigdy nie byłem w stanie się wyluzować, Nathanie. Jak sądzisz, jak twojej matce i mnie udało się posłać dwóch synów na studia i trzeciego utrzymywać w domu?

Na to krnąbrny nastolatek tylko przewracał oczyma i popadał w milczenie. Słowa ojca były fragmentem męczącej litanii, którą Nathan ledwie znosił.

Przy obiedzie tego samego wieczora Vaughn powiedział:

- Zdejmij czapkę, kiedy siedzisz przy stole, Nathan. Ogrzewanie jest włączone, nie zmarzniesz. - Znowu przewracanie oczyma, a potem niechętnie spojrzenie na dziwaczno starego człowieka, który był menedżerem w jednym z działów sklepu „Najlepsza cena” i zawsze przypominał ludziom, jeśli się pomylili, że jego nazwisko wymawia się z długim „o”. Nathan powoli suwał łyżką po stole i nie zdjął czapeczki Chicago Bulls. Wpatrywał się w łyżkę, jakby uważał ją za talizman, który może wprowadzić go w trans i zabrać w odległe miejsce, gdzie nie ma nudy, która go tu otacza, a ludzie cenią wszystko, co dobre, trwałe i znaczące, dalecy zaś są od wytartej tradycji, którą wraz z rówieśnikami musiał co dzień znosić.

- Nathan, twój ojciec ma rację. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego młodzi ludzie stale noszą teraz czapki. Widziałam już nawet dorosłych mężczyzn siedzących w restauracjach z nakrytą głową. Czasem mam ochotę zapytać ich, co tam tak chowają.

Nie zdejmując czapki i nadal wirując łyżką, Nathan zerknął bez cienia wyrozumiałości na pulchną, siwowłosą kobietę imieniem Marjorie, która twierdziła, że jest jego matką.

- Zdejmij tę cholerną czapkę, Nathan! W tej chwili!

- Vaughn, proszę, nie używaj brzydkich słów - rzekła Marjorie.

Chłopak rzucił poplamioną i przepoconą czapkę na stół, spojrzał na swój talerz pełen warzyw, a potem na sufit.

- Boże, zachowaj nas od głupców takich jak ci - zamruczał pod nosem. Wydawało mu się, że gdzie już wcześniej słyszał te słowa, może na lekcji angielskiego, kiedy w wiosenne przedpołudnie przypadkiem był w szkole. Zamierzał zostać księgowym, a księgowi nie muszą się znać na słowach, tylko na liczbach. Nathan w ten właśnie sposób zawsze tłumaczył swe fatalne oceny z literatury angielskiej.

- Coś ty powiedział? - Rozległ się gwałtowny brzęk, gdy Vaughn upuścił widelec na jasnopomarańczowy talerz, położył oba łokcie na stole i podparł podbródek splecionymi dłońmi.

- Powiedziałem, że nie jestem głodny. Idę do swojego pokoju.

- Najpierw skończ obiad, Nathan - wtrąciła jego matka.

Chłopak wymierzył łyżkę w ojca.

- To, że on pracuje w „Najlepszej cenie”, wcale nie oznacza, że my wszyscy musimy uwielbiać warzywa. Boże, przecież nigdy nie jemy jak prawdziwi ludzie, zawsze tylko warzywa i warzywa... w każdej idiotycznej kombinacji, jaką można wymyślić, plus czasami kotlety sojowe, ryż i całe to małpie żarcie.

- To wcale nie jest małpie żarcie, Nathanie. Jest pożywne i zdrowe. Poza tym nie zapominaj, że twój ojciec jest kierownikiem działu w „Najlepszej cenie”, a nie tylko tam pracuje. Zdobycie tego stanowiska kosztowało go sporo pracy i wysiłku.

- No dobra, to jest kierownikiem. Więc czym ja jestem dzięki temu? Synem selera?

- Nathan! - rzuciła jego matka.

W tym momencie, podobnie jak częstokroć wcześniej i później, Vaughn wyobraził sobie zatrutą strzałę wydmuchniętą z rurki przez wojownika ze szczepu Jhivaro drgającą w gardle Nathana albo może rękojeść rosyjskiego bagnetu wystającą spomiędzy żeber chłopca. Ale tylko przeżuł do końca gotowane na parze brokuły z sosem i rzekł:

- Masz rację, synu; powinieneś pójść do swego pokoju.

Nathan zgarnął ze stołu swą czapkę, włożył ją tyłem do przodu i poszedł na górę równymi krokami, do złudzenia przypominającymi - w tempie i formie - człapanie srebrnogrzbietego goryla. Dziesięć sekund później zaczęło się bum bum. Basy brzmiały dokładnie tak samo, jak kroki Nathana wchodzącego po schodach.

Vaughn pomógł Marjorie posprzątać naczynia, żeby mogła zdążyć na czas do klubu hobbystów. Pewnego wieczora, gdy zebraniu przewodziła Thelma Swan, robili bałwanki z kuleczek prażonej kukurydzy. Jeden taki siedział na stole w kuchni, gdy następnego ranka

Vaughn Rhomer zszedł na śniadanie; rodzinne oczka zdawały się wpatrywać w jego owsiankę.

Vaughn lubił wieczory, w które spotykał się klub hobbystów. Lubiał wszystkie te wieczory, kiedy Marjorie nie było w domu; dzięki temu nie czuł się winien, że cały czas spędza w swoim pokoju. W pokoju, gdzie trzymał swój ekwipunek. W piwnicy domu na Trolley Car Boulevard, gdzie wszystko było możliwe. W swoim pokoju - swoim sanktuarium.

Urządził go w 1981 roku, na dziesięć lat przedtem, nim odwiedził Cafe Beignet; kierowała nim chęć samoobrony, celem zaś było spełnienie marzeń. Swego czasu trzymał swój ekwipunek rozłożony w całym domu, w miejscach, gdzie mógł się nim cieszyć podczas codziennych czynności. Ale Marjorie narzekała stale na „te śmieci wszędzie porozrzucane” i na to, ile pieniędzy na nie wydaje, mimo iż prawie wszystko kupił na wyprzedazach i aukcjach albo wręcz znalazł po drodze podczas swych licznych wypraw na samotne spacerki. Zeszłoroczne wydatki na ten cel nie przekroczyły nawet trzystu dolarów, a i to większość poszła na używane książki.

Marjorie miała dość jego ekwipunku, a on miał z kolei dość jej dziamgotania. A i dzieciaki nigdy nie przestały się z niego natrzasać i zawsze wtykały mu dobrze wymierzoną szpilę, gdy siedział przy stole w kuchni, ćwicząc dziesięć podstawowych kodów Marynarki Królewskiej na swym autentycznym bosmańskim gwizdku, albo gdy podglądał spaniela sąsiadów, Barneya, przez swój mosiężny teleskop.

- Wybieramy się w ten weekend na wycieczkę do Słupów Heraklesa, tato?
- Jak się trzymają nasi na bulwarze, pułkownika Rhomer?
- Hej, tato, powiedz nam jeszcze raz, jak znaleźć wodę na pustyni.

Vaughn Rhomer uśmiechał się i znosił te docinki bardzo długo aż wreszcie powiedział sobie: do diabła z tym wszystkim i nimi wszystkimi, i urządził coś, co Marjorie i jej przyjaciółki nazywał; „pokojem Rhomera” w północno-zachodniej części piwnicy, zaraz za piecem do ogrzewania centralnego. Belki o przekroju dwa cztery poprzybijał do cementowej podłogi, z innych, biegnących z sufitu utworzył szkielet. Gładkie sosnowe deski numer 1 pokryły wewnętrzne i zewnętrzne ściany pokoju, pomiędzy nimi zaś znajdowała się warstwa z włókna szklanego ocieplająca pomieszczenie i tłumiąca dźwięki. W środku północna i zachodnia ściana wypełnione były półkami z książkami od podłogi po sufit; na ścianie wschodniej, na prawo od drzwi, znajdowały się dwuszufladowe szafki na dokumenty, trzy ustawione jedna na drugiej i pokryte dębową bejcą.

Pokój o powierzchni osiem na dwanaście stóp miał dwa źródła światła. Jednym była wisząca u sufitu na pojedynczym czarnym kablu żarówka z metalowym kloszem w kształcie kapelusza kulisa o średnicy osiemnastu cali. Drugie źródło światła przeznaczone było specjalnie do czytania - stara stojąca lampa z żółtym abażurem wykończonym czerwonymi frędzelkami. Jedyne stolik był okrągły, z czterema nóżkami na obwodzie, i przykryty zieloną serwetą. Jedyne sprzątem przeznaczonym do siedzenia było czterdziestoletnie drewniane

krzesło biurowe z odchylanym oparciem. Kołysało się na metalowych sprężynach i miało niedużą poduszeczkę na siedzeniu.

Kombinacja zamka w drzwiach była: dwa w lewo, dziewięć w prawo i dziewiętnaście w lewo - data odkrycia źródła rzeki Varagunzi przez Thomasa Martina. Nikt nie mógł tego zapamiętać. Marjorie, dzieci i nawet kotka Razberry Rhomer - wszyscy byli ciekawi tego pokoju, lecz tylko Vaughn znał kombinację. Czasem wpuszczał do siebie Razberry, która drapała cichutko do drzwi, kiedy wszyscy w domu poszli już spać. Razberry nigdy się z niego nie wyśmiewała. Po prostu wylegiwała się na zielonym materiale na stole, najpierw zajęta swą toaletą, a potem śpiąca i mrużąc, gdy Vaughn czytał lub sortował swój ekwipunek, tylko od czasu do czasu wyciągał rękę, by ją pogłaskać.

Wystarczyło, by otworzył zamek, i już wkraczał do zupełnie innego świata. Świata starożytnych myśli i odległych bębnow, poblasku ognisk, rytmicznych gitar i cygańsko smutnej muzyki granej nieopodal kół kolorowych wozów, które odjadą o świcie. Świata kurzu na twarzy i deszczu na kapeluszu, i statków walczących z falami na trasie do przylądka Horn, gdzie wściekle wiatry w Cieśninie Drake'a potrafiły oślepić dobrego żeglarza, a dobry statek popchnąć do tyłu. Świat, gdzie kryły się:

Jeden plecak francuskiego spadochroniarza, zawierający między innymi rzeczami buteleczki chininy i tabletki oczyszczające wodę, nieprzemakalną pelerynę i płócienny pas na rewolwer.

Jedną strzelbę na czarny proch.

Jeden hełm pokładowy N-1 na złą pogodę marynarki Stanów Zjednoczonych.

Wszystkie sześć tomów „Dzienników” Thomasa Martina (zawierających kompletne sprawozdanie z legendarnych wędrówek Martina z przelomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku).

Jedna lampa naftowa z około 1925 roku, z pełnym zbiorniczkiem, tylko czekająca, aż ktoś ją zapali.

Jeden hamak.

Jedna replika miecza z armii Dżyngis-chana.

Dziela zebrane H. Ridera Haggarda.

Jedno lustro sygnalizacyjne.

Stare radio marki World Traveler, z którego druty anteny biegły do dachu, a z dachu do drzewa o jakieś sto stóp dalej na trawniku za domem.

Jedna dwukwartowa manierka i czerwono-szary koc z wojny meksykańskiej.

Dwie siatki przeciwko moskitom, osłaniające głowę (chciał jedną, lecz w katalogu sprzedawano je parami).

Jeden nóż lotnika z drugiej wojny z ząbkowanym ostrzem i osetką w rękojeści.

Spora kolekcja dzieł Rudyarda Kiplinga.

Dwa puste granaty ręczne.

Jedna maczeta w skórzanej pochwie.

Jeden kompas w metalowej osłonce, z zapasowymi igłami magnetycznymi oraz skalą stopniową i milimetrową. Po drugiej stronie koperty znajdowała się skala centymetrowa.

Jedna para wojskowych, łatwo zawiązywanych butów z doczepianymi antypoślizgowymi podeszwami, plus jedna para lekkich butów z ocieplanymi skórzanymi mankietami i stalowymi częściami podeszwy; w reklamie pisano, że nadają się świetnie dla pracowników zakładów poprawczych i drużyn antyterrorystycznych.

Dwa bandolierzy, każdy z pięćdziesięcioma sztukami ślepaków.

Jeden egzemplarz „Kieszonkowego słownika angielsko-suahili”.

Jedna izraelska maska gazowa, gwarantująca doskonałą ochronę twarzy, oczu i dróg oddechowych przed wszelkiego rodzaju gazami bojowymi.

Jeden plecak wojskowy wydany na nazwisko Vaughna Rhomera w czasie wojny koreańskiej. (Zgłosił się na ochotnika w nadziei, że wyślą go za ocean, lecz całą swą służbę spędził jako kucharz w Fort Leonard Wood w Missouri.)

Dwadzieścia trzy roczniki „National Geographic”, starannie pocięte i poklasyfikowane. Miejskowa bibliotekarka nauczyła go sporządzać odsyłacze, dzięki którym mógł szybko odszukać ulubionych światowej klasy fotografików, takich jak Robert Kincaid czy Jeremiah Slocum.

I znacznie, znacznie więcej. Mnóstwo innych przedmiotów leżało poupychanych w starych drewnianych skrzynkach po owocach i oryginalnych paczkach po detonatorach zostawionych przez armię brytyjską po bitwie pod Verdun podczas pierwszej wojny światowej. Jeżeli trzeba będzie jeszcze raz pójść w bój, ekwipunek jest niezbędny. Trzeba być zawsze przygotowanym na taką ewentualność. Vaughn Rhomer był przygotowany.

Południowa ściana pokoju była jego powierzchnią wystawową; miejscem przeznaczonym dla przedmiotów, które lubił widzieć co dzień. Na przykład plakat zmysłowej Meksykanki w czerwonej spódnicy i niebieskiej bluzce opadającej z ramion, z ciemnymi włosami rozwianymi na wietrze. Siedziała, trzymając strzelbę między nogami, a obok niej stała gitara oparta o glinianą ścianę chaty; dziewczyna patrzyła prosto na niego, nieulekła, o zmysłowych ustach. Znalazł ten plakat na jakiejś ogródkowej wyprzedaży na Oak Park Lane i kupił za pięćdziesiąt centów. W dwóch miejscach był poplamiony jakimś dziwnym zielonym płynem i rogi miał wystrzępione, lecz wyraźnie widać było podpis jakiegoś Marta Gilbert i słowo „Bandida”. Ten plakat zaprowadził go do „Historii wojen przygranicznych” Alonza Pattersona (wydanej w El Paso przez A. G. Witherspoon Publishers w 1937 roku). Na stronie 148 Patterson cytuje niejakiego Howarda Mimsa:

Bardziej baliśmy się kobiet niż mężczyzn. Były bezwzględne, strzelały i śmiały się, unosząc

wysoko nad głowami genitalia zabitych przez siebie mężczyzn. Jeden z naszych towarzyszy, który został wzięty do niewoli i któremu udało się zbiec, opowiadał nam o pięknej kobiecie, która tańczyła przed tysiącem mężczyzn, ubrana tylko w dwa bandolierki skrzyżowane pod wspaniałymi piersiami i nic więcej. W jednej ręce trzymała butelkę tequili, w drugiej karabin i udawała, że kocha się ze strzelbą, a wszyscy się temu przyglądali. Doprowadziło to w końcu mężczyzn do szaleństwa, podbiegli ku niej, porwali ją na ręce i zaczęli nosić jej lśniąca ciało dokoła ogniska, aż wreszcie ruszyli z nim w mroki, tak że już nic nie widziałem z powodu mego niefortunnego miejsca za prymitywną palisadą.

Jakże Vaughn Rhomer chciałby tam być. Wewnątrz palisady albo niosąc kobietę, bez znaczenia. Wystarczyłoby mu samo przebywanie w tamtym miejscu. I walczenie u boku kobiety imieniem Bandida w wojnach przygranicznych, a najbardziej kochanie się z nią w chihuahuańskie noce, kiedy wreszcie walki ustały... dla tego gotów byłby zawrzeć pakt z każdym szatańskim wcieleniem, na jakie by się natknął. Raz, przypadkiem, zostawił tę książkę na stole w kuchni otwartą na stronie z opisem tańca owej kobiety; Nathan zobaczył to i wrzasnął: „Hej, mamó! Tata czyta pornografię!” i Vaughn Rhomer jeszcze raz musiał przywołać maksymę, dzięki której przetrwał niejedną trudną chwilę: życie nigdy nie jest łatwe dla tych, którzy ośmielają się marzyć.

Tuż obok Bandidy wisiała *tornochete*, złowroźnie wyglądająca meksykańska wersja scyzoryka z wygiętym ostrzem, chowającym się w żółto-białej kościanej rękojeści. Znajdowała się w ogromnym pudle pełnym śmieci, który Vaughn Rhomer kupił w 1985 roku, gdy wyprzedawano dobytek starego Kapłana na Fourth Street. Na aukcji ktoś szepnął, że Kapłan był niezłym ekscentrykiem; Vaughn Rhomer bardzo żałował, że nie znał go osobiście. Każdy, kto mieszkał na Fourth Street w Otter Falls i miał w domu *tornochete*, byłby wart poznania. Vaughn jeszcze nigdy nie widział podobnego noża, ale poznał jego nazwę dzięki przewodnikowi „Noże ze wszystkich stron świata”; była tam nawet fotografia.

Nieopodal *tornochete* wisiała para starych ostróg. Obok nich zaś stara, poszarzała i przegniła deska z przymocowaną do niej zapadką. Vaughn Rhomer znalazł ją za domem. Najwyraźniej leżała tam już od wielu lat wśród wysokich chwastów, na pewno od czasów, gdy w 1961 roku wybudowano tam dwupiętrowy biały dom ze spadzistym dachem i mansardowymi oknami po obu stronach. Popytawszy dokoła, dowiedział się, że dom ten zbudowano na łące, na której wcześniej pasły się konie. Ostrogi i deska pasowały do siebie w jakiś szalony, bliżej nieokreślony sposób. Miało to coś wspólnego ze sprzecznościami - najpierw ludzie zmuszają konie do biegania, a potem zamykają je w boksach, by w ogóle nie mogły się poruszać. Miało to też coś wspólnego z tym, jak Vaughn Rhomer czuł się w głębi serca - coś pchało go do działania, podczas gdy zewnętrzne bariery nie pozwalały mu na żaden ruch. Czasami podchodził do przegniłej deski i majstrował przy zapadce, sprawdzając, czy jeszcze działa.

Majstrował i myślał, i często spoglądał na fotografię Jacka Carmine'a w pełnym rynsztunku bojowym, w hełmie ozdobionym gałązkami i liśćmi; miał nadzieję, że wszystko układa mu się pomyślnie, gdziekolwiek jest. Siostrzeniec Jack, który połamał wszystkie zapadki i zamki, jakie kiedykolwiek usiłowały go gdzieś zatrzymać. Jack Carmine, który potrafił żyć słodko i swobodnie w latach, które zostały mu ofiarowane, w latach, które przemijają i nigdy nie wrócą. Kiedy Vaughn Rhomer od czasu do czasu zmieniał wystawę na południowej ścianie, zdjęcie Jacka zawsze pozostawało na swoim miejscu, nieopodał deski i zapadki. A listy, które Jack napisał do niego z dżungli Azji, Vaughn trzymał posegregowane w szufladzie i czytał wszystkie raz do roku, czwartego lipca. Jack Carmine, syn Lorraine, starszej siostry Vaughna Rhomera, Teksas Jack Carmine, ostatnia wolna dusza stworzona przez Boga, zdobywca letnich autostrad, podróżnik w nieznane.

III

Północna Minnesota, 1986

W swe czterdzieste siódme urodziny, siedem lat wcześniej, nim Vaughn Rhomer usiadł w nowoorleańskiej kafejce, tęskniąc do mroku, Jack Carmine obudził się wraz z brzaskiem i spojrzał na śpiącą obok Lindę Lobo. Jej ciemne włosy były rozsypane po poduszce i prześcieradle. Na zewnątrz wył wiatr, tłukąc zimnym deszczem o szyby. Linda chciała zostawić zasłony odsunięte, tak, by móc widzieć jezioro, nie wstając z łóżka.

Jack obrócił się i wyjrzał na dwór; jakże się cieszył, że ostatni fragment rurociągu położyli dwa dni temu. Zdarzało mu się już pracować w podobną pogodę, gdy zima przychodziła niezapowiedziana, i wcale mu się to nie podobało - ziąb i błoto. Leżąc w łóżku, przypomniał sobie, jak dziewięć lat temu pojechał na północ z grupą żniwiarzy i przez wiele miesięcy tłukł się na kombajnie, całą drogę z Teksasu aż do Weyburn w Saskatchewan. Trzydzieści mil poniżej granicy z Kanadą niebo zrobiło się kobaltowo niebieskie i utrzymało się w takim kolorze przez tydzień, aby przejść w szarość, aż wreszcie w czerń. Śnieg zaczął padać, gdy byli w połowie ostatniej roboty. Naciągnął starą skórzaną kamizelkę na baranku, na to jeszcze starszą kurtkę i pchał ogromną pomarańczową maszynę coraz głębiej w śnieg, walący intensywniej z minuty na minutę.

Ranczer, dla którego pracowali, omal nie oszalał ze zmartwienia, a szef brygady co rusz wykrzykiwał przez CB: „Wiley, Bobby, Jack... dawajcie naprzód, chłopaki. Nie stawajcie... pchajcie te cholerne maszyny do przodu... pracujemy do rana!”

Jack posłuchał swego szefa; naciągnął swą czarną baseballową czapeczkę z logo Catsów jeszcze głębiej na oczy i zacisnął zęby. Przed sobą w światłach reflektorów widział widmowy świat, niesamowity, jak ze snu: śnieg syjący się na żółte zboże, Wiley Hobbs na drugiej maszynie po lewej, a Bobby McGregor po prawej nieco z przodu. Tamtej nocy Jack Carmine stłamsił więcej zboża niż zżął, gdyż cały czas się zamartwiał, że może zejść z kursu i przydzwonić w jeden z sąsiednich kombajnów.

Ogromna maszyna dygotała pod nim, a ciężarówki jechały równolegle obok niego i odciągały zboże z jego zbiorników. I tak przez całą noc. Szef brygady bardzo często odzywał się przez radio i cały czas powtarzał to samo: „Nie poddawajcie się, chłopaki! Jak tylko tu

skończymy, ruszamy do Teksasu!”

Godzina za godziną mijały w ciemnościach, a śnieg zawiewał wściekle, żółte zboże poddawało się kombajnowi, muzyka leciała z radia, a spiker co jakiś pół godziny powtarzał, że sprawy na Środkowym Wschodzie idą w diabły, a Guy Lombardo właśnie kopnął w kalendarz. O świcie wyciągnęli kombajny z błota i załadowali na niskie przyczepy, pozostawiając za sobą trzysta niezżętych akrów zboża, przykrytych śniegiem, który nadal sypał.

Teraz Jack Carmine leżał cicho w motelu nad rzeką Onion i patrzył na kark Lindy Lobo. Była to jeszcze jedna z tych rzeczy, które zawsze lubił - patrzeć na kark kobiety, gdy wszystkie długie włosy są z niego odgarnięte i tylko parę kosmyków leży na skórze. Ósmy domysł Jacka Carmine'a: lekka usterka w doskonałym obrazie długich włosów odgarniętych z kobiecego karku ma własną zadziwiającą moc.

Ale musiał nastawić wodę i przerwać na chwilę swe studia; zsunął się po cichu z łóżka i poszedł do łazienki. Jack miał zadziwiającą odporność na kaca i poza tym, że jego pęcherz potrzebował ulgi, a zęby pasty i szczoteczki, był w doskonałej formie.

- To zły znak - powiedział mu kiedyś Bobby McGregor. - Ludzie, którzy nie miewają kaca, łatwiej zostają alkoholikami.

Jack i Bobby podążali na zachód, przez bezkresną prerię w drodze do Kalifornii, aby załapać się do roboty w fabryce samolotów albo czymś w tym rodzaju. To było osiem lat temu i dokładny cel wyprawy umknął Bobby'emu jakiś czas później; ale na pewno miało to coś wspólnego z samolotami, tego jednego był pewien.

Kiedy Bobby powiedział mu o tym interesie z kacem, Jack wyszczerzył zęby w uśmiechu i odparł:

- Powinniśmy wypić za tę odrobinę wiedzy, Bobby McGregorze. Zawsze lubię się dowiedzieć czegoś nowego, pod warunkiem że nie jest to sprzeczne z moim własnym poglądem na życie.

Właśnie wtedy stary Coupe de Ville, zdobiący maskę ich samochodu, wskazał im środek głównej ulicy małego miasteczka o nazwie Salamander. Poszli do baru Leroya, gdzie Jack wypił trzy piwa w dokładnie trzydzieści osiem minut; Bobby zmierzył mu czas. Gdzieś wcześniej po drodze widzieli ogromny billboard „Meksyk cię wzywa”. Bobby nie rozumiał, skąd on się tam wziął, pośrodku pustkowia. Zgadywał, że to demon Jacka umieścił go tam specjalnie, by Jack mógł go zobaczyć, że jest to sposób odciążenia go raz jeszcze od przyzwoitej roboty. Wkrótce potem Jack zaczął gadać o wyjeździe do Meksyku. Z kieszeni dzinsów wyciągnął srebrnego dolara i powiedział:

- Reszka - jedziemy do Meksyku i zabawiamy seniority, Bobby. Orzełek - jedziemy do Kalifornii i harujemy jak woły.

Bobby nigdy tego nie zapomni. Srebrny dolar zakręcił się, odbił dwa razy na blacie baru Leroya, stanął na sztorc, zakołysał się lekko i pozostał w tej pozycji. W świetle Jacka

Carmine'a był to omen, którego nie sposób było zignorować, nie podejmując poważnego ryzyka.

- Zdaje mi się, że on chce nam coś powiedzieć, Bobby. Mówi, że wybór należy do nas i nie możemy go uzależniać od jakiegoś kawałka metalowego śmiecia, wypuszczonego na świat przez mennicę państwową. Ja mówię, że powinniśmy jechać do Meksyku.

- Jack, jestem splukany, muszę się wziąć do roboty - odrzekł Bobby.

Jack wyciągnął swój portfel i przeliczył szybko jego zawartość.

- Mam tu trzysta osiemdziesiąt dwa dolary, Bobby. Dwieście z nich należy do ciebie, możesz z nimi robić, co ci się żywnie podoba.

- Jack, tego nam wystarczy na żarcie i benzynę do Bakersfield.

- No i dobrze. Wysadź mnie na pierwszej autostradzie wiodącej na południe, na którą się natkniemy. Ty weźmiesz samochód i pojedziesz do Bakersfield, a ja ruszam do Meksyku.

Bobby usiłował go od tego odwieść, ale Jack wbił już sobie ten Meksyk do łba na dobre. Nalegał, by Bobby wziął te dwieście dolców, i trzy godziny później Bobby wyrzucił go w Cheyenne, gdzie droga numer 85 biegła na południe.

Zarzuciwszy na ramię stary worek na ubrania, pamiętający jeszcze jego czasy w armii, Jack powiedział:

- Wyślę ci swoją fotkę w otoczeniu pół tuzina czarnookich ślicznotek. To załatwi sprawę Bakersfield i jeszcze tego samego dnia ruszysz na południe.

Jack nigdy nie wysłał tego zdjęcia.

Późnopaździernikowy deszcz odbijający się od szyb w rozsuwanych drzwiach balkonowych brzmiał jak wystrzały z broni automatycznej, gdy Jack wyszedł z łazienki i omal nie wpadł na Lindę Lobo. Lekko machnęła mu ręką, wykrztusiła z siebie krótkie „uhh” i weszła do łazienki. Usłyszał spuszczenie wody w toalecie i szum nowej, wpływającej do zbiorniczka. Linda spędziła w środku dłuższy czas.

Wyszła mając na sobie tylko za duży czarny sweter, który sięgał dostatecznie nisko, by zakryć wszystko, co potrzebowało zakrycia, choć granica była cienka. Rozejrzała się dokoła. Nigdzie nie było Jacka.

Dwie minuty później usłyszała, jak cicho stuka butem o drzwi. Kiedy je otworzyła, zobaczyła go na progu ubranego tylko w dżinsy i skórzaną kurtkę, bez koszuli i kapelusza, ze styropianowymi kubeczkami w dłoniach. Z włosów i ramion skapywała mu woda, a z kubeczków unosiła się para.

- Napijesz się kawy, tańcząca damo? Nie mogłem sobie przypomnieć, czy używasz cukru bądź śmietanki, więc przyniosłem jedno i drugie.

Rzucił torebeczki ze śmietanką i cukrem na stół i wzięwszy ręcznik z łazienki, przejechał nim po włosach.

- Właśnie tego mi było trzeba - odpowiedziała. - Piję czarną, ale i tak bardzo ci dziękuję, że pomyślałeś o innych możliwościach. Jakoś marnie się dziś czuję... może byśmy się trochę

podgrzali?

Oparła się o framugę okna i przyjrzała jezioru Superior, które z każdą chwilą robiło się coraz bardziej wzburzone. Woda miała kolor ciemnej zieleni, lecz miejscami była całkiem czarna.

Jack z napięciem wpatrywał się w zawieszony na ścianie termostat, kręcił małymi pokrętełkami i mrucał cicho:

- Ogrzewanie włączone, dmuchawa też, maksimum komfortu przed nami... jest takie miasto w Teksasie, nazywa się właśnie Komfort... - nadal przyglądał się termostatowi - ...znajduje się w pobliżu innego, które nazywa się Bogactwo. Zawsze wydawało mi się, że to dobre miejsce, by osiąść na emeryturę. To znaczy, jeżeli nazwy miast faktycznie oddają klimat i nastawienie mieszkańców.

- Nie wydajesz mi się typem faceta, który odchodzi na emeryturę, Jack. - Cały czas wyglądała na jezioro.

- To prawda. Tak czy inaczej, nigdy by mnie nie było na to stać. Prawdopodobnie umrę gdzieś w starych butach, prowadząc kombajn albo kładąc gazociąg na jakimś pustkowiu, w dzień przypominający ten. Umrę stojąc prosto i będę mieć tani pochówek... wessie mnie błoto, a szef brygady będzie się drzeć: „Obciągnij palce, do cholery!” i walić mnie po głowie kawałkiem rurki.

Linda roześmiała się. Zerknęła na jego stopy.

- A skoro już mowa o butach, jak to się stało, że nie nosisz kowbojek? Wydawało mi się, że wszyscy Teksaszczyki noszą kowbojskie buty.

- No cóż... te kowbojki na wysokich obcasach są dobre tylko do trzech rzeczy, jeżeli się nad tym tak dobrze zastanowić: do jeżdżenia konno, zapierania się piętami w piachu na korralu albo skakania dokoła, kiedy jesteś napalony i właśnie masz na grzbiecie swoje niedzielne ubranie. Bardzo mi przykro, że obracam w popiół wszystkie mity i legendy, ale ostatni prawdziwy kowboj, jakiego znam, facet imieniem Sam, pracując przy bydle, zazwyczaj ma na nogach tenisówki. Mam jedną parę takich butów, o jakich mówiłaś, ręcznie robionych, ale teraz są w Alpine w Teksasie. Earl i Jęczydusza mają na nie oko i pilnują, by gdzieś nie wyszły pod moją nieobecność. To dlatego nie tańczyłem wczoraj zbyt dobrze; po prostu nie miałem do tego odpowiednich butów.

- Earl i... kto?

- Earl i Jęczydusza. Earl to Meksykoron... a przynajmniej sam tak siebie nazywa - trzy czwarte krwi meksykańskiej i jedna czwarta białej. Zajmuje się moim ranczem, kiedy ja jestem w drodze. Jęczydusza to pies, taki zwyczajny żółty kundel, który wygląda, jakby przypełził z Chihuahua po wyjątkowo złej nocy. Z drugiej strony, jest doskonały przy bydle. Nie mam pojęcia, który z nich jest starszy, Earl czy Jęczydusza? Zdaje mi się, że są mniej więcej w równym wieku.

Linda upiła łyżeczkę kawy i spojrzała na niego brązowymi oczami ponad brzegiem kubka.

- Dlaczego nazwaliście psa Jęczydusza?

- Bo zawsze gdy ktoś szykował się do wyjazdu, wszystko jedno, czy do miasta, czy na księżyc, pies kładł się pod drzwiami, opierał łeb na przednich łapach i zaczynał jęczeć, jak człowiek, z dna serca. Zawsze to robił, więc nazwaliśmy go od dźwięku, jaki wydaje. Zawsze też chyba lubił swoje imię, choć gdy się nad tym zastanowić, to już od dłuższego czasu nikt go nie pytał o zdanie w żadnej kwestii.

Jack włączył telewizor na kanał, w którym ciągle nadawano prognozę pogody i podszedł do Lindy; każde trzymało styropianowy kubeczek w prawej dłoni. Linda wzięła swój do lewej i objęła Jacka w pasie prawą ręką, wsuwając palec w jedną ze szlufek w jego spodniach. Patrzył na deszcz, głaszcząc ją po włosach. Siódmy domysł Jacka Carmine'a: głaskanie włosów kobiety w deszczowy dzień to jakieś 92 procent szczęścia.

Obserwowała jego profil. Jack Carmine - szybki w nogach i lekki w mowie. Choć za jego uśmiechem czaiło się coś jeszcze innego. Coś, o czym nie chciał mówić...

Coś ciemnego z przeszłości.

Albo: nadal w przyszłości.

Albo: żadne z tych.

Albo: wszystko.

Kiedy w charakterystyczny sposób odwracał twarz i wyglądał przez okno, przypominał jej brązową pomarszczoną kopertę, polizaną i zaklejoną, skrywającą w sobie wiele rzeczy. Możliwe, że niebezpiecznych rzeczy, gdyby rozkleić kopertę. Trochę ją to niepokoiło.

Ostatniej nocy, gdy wrócili z Grand Marais, stał i wyglądał przez te same oszklone drzwi. Linda leżała już w łóżku i patrzyła na niego, wykończona brakiem snu i długą podróżą. Nie wykonał żadnego ruchu w jej stronę, nawet jej nie dotknął poza parkietem, ale przyjąłaby go, gdyby tylko tego chciał. Tak czy inaczej, miała na to ochotę - wpłynęła na to i noc, i tańce. Przyjąłaby go jako jakieś zakończenie miłego wieczora, jeżeli nie coś więcej, podobnie jak bywało wcześniej w przypadku innych mężczyzn. Ale byłoby to też coś jeszcze. Lubiła Jacka Carmine'a z Alpine. Był dla niej dobry, wydawał się pełen szacunku i to odróżniało go od innych. Od dawna nikt nie był dla niej dobry i pełen szacunku.

Jednak dopadło ją zmęczenie i gdy już odpływała w krainę, do której miał przyjść sen, usłyszała, jak Jack otwiera drzwi balkonowe, i uniosła się na łokciu. Światła w pokoju były zgaszone, ale doskonale widziała jego postać na balkonie; stał tam, całkiem nagi, w siekącym deszczu i z pochyloną głową. To ją przeraziło, ta zwierzęca cecha w mężczyźnie, i gdyby nie była tak zmęczona, może by uciekła. Ale zważyła to na wszystkie jego demony, które sama rozumiała, i zasnęła.

Jack upił kawy i zerknął na nią; zobaczył, że mu się przygląda. Uśmiechnął się i zacisnął dłoń na jej włosach.

- Niezły tu mamy bajzel - mruknął, odwracając się z powrotem do jeziora.

Po reklamie wycieczek jachtowych, oferujących słońce i więcej jedzenia, niż można by

zjeść w ciągu całego życia, spiker wrócił z prognozą na najbliższe sześć dni i zagroził straszliwymi konsekwencjami wszystkim, którzy byli dostatecznie głupi, by zamieszkać na północ od Iowy.

„Hej, mieszkańcy północnej Minnesoty, lepiej wyciągnijcie szufle i rękawiczki. Śniegu może wam napadać aż dwanaście cali, a pierwsza potężna zamieć tego sezonu właśnie kieruje się w waszą stronę. Za nią nadchodzi gryząco lodowate arktyczne powietrze i silne wiatry. Do niedzieli temperatura spadnie aż do trzydziestu poniżej zera. Z prognozy wynika, że śnieg zacznie padać dziś wczesnym przedpołudniem wzdłuż granicy kanadyjskiej, a potem będzie się przesuwac na południe”.

Jack przekrzywił głowę i zerknął na Lindę, uśmiechając się lekko.

- No cóż... panno Lindo, zdaje mi się, że nadszedł czas, by Teksas Jack ruszył galopem do domu niczym stary kocur, gdy psy depczą mu po piętach, a drzwi garażu właśnie się zamykają. Raz jeszcze powtórzę moje zaproszenie: chcesz wziąć swe szmatki i gałganki, i zabrać się ze mną? Najpierw do Teksasu, a potem może do Meksyku, by powylegiwać się na plaży przez jakiś czas?

- Jestem tylko prostą wiejską dziewczyną i w ciągu ostatnich trzydziestu godzin sprawy nabrały jak dla mnie zawrotnego tempa. Nadal usiłuję to jakoś zrozumieć. Mówisz poważnie... chcesz, żebym z tobą pojechała?

- Taa. Jestem śmiertelnie poważny. Nigdy nie potrafiłem być zbyt uprzejmy i owijać rzeczy w bawełnę. - Odwrócił się do niej i obdarzył ją poważnym, nieco rozmarzonym spojrzeniem, które w nadchodzących dniach miała widywać częściej. - Posunę się trochę dalej i powiem, że bardzo bym chciał, żebyś ze mną pojechała. Moje ranczo w Alpine to nic szczególnego, mamy tylko jednego konia, ale jest tam naprawdę bardzo ładnie... w ascetycznym tego słowa znaczeniu, i znacznie cieplej, niż będzie tu za parę dni. Myślę, że by ci się tam spodobało. Jednak jeżeli coś lub ktoś zatrzymuje cię w północnej krainie, zrozumieć to. Niezbyt by mi się to podobało i byłbym trochę rozczarowany, lecz zrozumiałbym. Nie mam do ciebie żadnych praw własności, tak czy inaczej.

Podeszła do łóżka i usiadła na nim ze złączonymi kolanami i kubkiem w dłoniach. Przyglądała mu się.

- Najpierw muszę ci coś powiedzieć. Musielibyśmy się zatrzymać w Altoona i... - urwała i spojrzała na niego.

Jack postąpił krok w jej stronę i uśmiechnął się.

- Nie ma problemu. Muszę zajrzeć do mego wuja Vaughna Rhomera w Iowie. Tylko na parę chwil. Des Moines leży na południe od miejsciny, w której mieszka, mam rację? Powiedziałaś, że Altoona jest położona nieopodal Des Moines, tak?

- Jack... - Linda Lobo wpatrywała się w swój kubeczek. - Alpine w Teksasie brzmi wspaniale, ale sprawa wygląda tak, bez owijania w bawełnę: mam trzyletnią córeczkę, która mieszka razem z moją matką w Altoona. Musiałyby pojechać z nami... Sara Margaret, nie

moja matka.

Jack myślał, najpierw z poważną miną, potem znowu z uśmiechem.

- No cóż... Jezu Chryste... i co z tego? Nigdy nie myślałem o dziecku, ale co mi tam? W moim pikapie zmieści się i mała, i pieluszki, i zabawki, i zapas na całe życie tych śmiesznych plastikowych gryzaczków, które dzieci tak uwielbiają trzymać w buzi. Twoja matka także może jechać z nami, ale będzie musiała podróżować razem z pieluszkami z tyłu. Albo ona będzie prowadzić, a ja pojedę z tyłu z butelką Wild Turkey i jednym z tych plastikowych gryzaczków wetkniętych między zęby.

Linda opadła do tyłu na łóżko i patrząc w gwiaździsty sufit, wybuchnęła śmiechem. Sweter podjechał jej aż pod pępek, lecz zupełnie nie zwróciła na to uwagi i tylko śmiała się do rozpuku; Jack natomiast zerknął na to z pewnym zainteresowaniem.

- Jacku Carmine - wykrztusiła wreszcie, nadal patrząc w sufit - zupełnie nie znasz się na dzieciach... Sara Margaret dawno już wyrosła z tego wszystkiego, o czym mówisz. Nie masz też pojęcia, w co ładujesz siebie, Earla i Jęczyduszę. Wydajecie mi się trójką zagorzałych starych kawalerów, chowających się tam w Alpine, a teraz zaczniecie na co dzień oglądać damskie ubranka wiszące na sznurze od bielizny i małe rączki majstrujące przy ziemniakach podczas kolacji.

Jack rzucił za siebie pusty kubeczek po kawie; kubeczek uderzył o brzeg kosza na śmieci i odbiwszy się, upadł na podłogę.

- Earl i Jęczydusza nie sprawią najmniejszego problemu. Żyją tam, na prerii, jak para pustelników i od tak dawna nie widzieli żadnej kobiety czy małej dziewczynki, że pomyślą sobie, iż obie przyleciałyście z Plutona albo innej odległej planety. A jeżeli coś im się nie spodoba, dam w skórę Earlowi, a on z kolei da w skórę Jęczyduszy i wszystko wróci do porządku. - Linda usiadła i uśmiechnęła się do niego. Wyjrzał przez okno na zacinający deszcz i dodał: - Tak czy owak, powinniśmy ruszać w drogę. Jeżeli temperatura spadnie jeszcze choćby o dwa stopnie, to gówno zamieni się w lód, a szosa stąd na południe stanie się jednym wielkim lodowiskiem. Pikap nie nadaje się zbyt dobrze do jazdy po lodzie, jest za lekki z tyłu, trochę jak ja.

Dwadzieścia minut później jechali na południe, śpiewając na całe gardło wraz z Kapelą Szeryfa Tuckera:

*To nie będzie pierwsza samotna noc
w życiu tego starego kowboja...*

Czterdzieści mil dalej, w miasteczku o nazwie Castle Danger, zobaczyli szyld z napisem: Najlepsze cynamonowe bułeczki na świecie. Jack zerknął na niego i potrząsnął głową.

- Nie wierzę w to. Rainy Carmine robi najlepsze cynamonowe bułeczki na świecie, a na pewno tu nie pracuje - powiedział; zjechał z autostrady i zatrzymał się przed restauracją.

Linda popatrzyła na niego.

- Muszę się przyzwyczaić do wielu imion... kto to jest Rainy Carmine?

- Rainy to moja matka. Więcej niż przeciętny pokerzysta, światowej klasy wytwórca bułeczek cynamonowych, kiedy tylko miała ochotę na pieczenie, co zdarzało się jej mniej więcej co trzecią środę, i doskonała tancerka. Nauczyła tańczyć mnie i mojego brata zaraz po tym, jak nauczyła nas grać w pokera. Usiłowała nawet nauczyć Earla, ale on nie umiał szybko przebierać nogami, chyba że wszedłszy do obory, zastał tam grzechotnika czającego się pod żłobem. - Jack wyłączył silnik i uśmiechnął się szeroko do Lindy Lobo. - Pobiegnijmy tam i przekonajmy się, czy wszystkie te przechwałki o bułeczkach z cynamonem mają jakiegokolwiek odbicie w rzeczywistości.

Sięgnął pod siedzenie i wyciągnął stamtąd czapeczkę z logo drużyny Minnesota North Stars.

- Weź, żeby ci włosy nie zmokły. Wygrałem ją w bilard w Fergus Falls od faceta, który nazywał się Robak. Nie mam pojęcia, czemu go tak nazywali, ale jakoś nie miałem ochoty się przekonać.

Pobiegli przez gęsty deszcz i zatrzymali się we frontowych drzwiach restauracji. Jack potrząsnął swą skórzaną kurtką, strzepując z niej wodę, i rozejrzał się dokoła. Wewnątrz zgromadził się zwyczajny porannoniedzielny tłumek - głównie mieszkańcy tych ponurych okolic. Kilkoro młodych, lecz większość starych. Przeważnie starzy mężczyźni z dłońmi opuchniętymi i pokrytymi bliznami od ciężkiej pracy przez całe życie w kopalniach kruszcu.

Kuchnia serwowała jajka i parówki, naleśniki i ziemniaki oraz miejscową specjalność, pstrąga z wody.

- Masz ochotę na śniadanie? - spytał Jack, spoglądając na coś, co wydawało się pozostałością po czymś toście leżącą na obrusie. Zebrał okruchy na dłoń i wrzucił je do popielniczki.

- Nie. Zazwyczaj nie jadam śniadań - odparła Linda. - Wystarczy mi dolewka kawy.

Podeszła do nich kelnerka ubrana w dzinsy i sweter, z dzbankiem kawy w ręce.

- Dzień dobry - zagaiła.

- Dzień dobry i tobie - odrzekł Jack, i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Dwie kawy i jedną z tych niezrównanych bułeczek cynamonowych, o których napisano na szyldzie. A jeśli nie będzie tak dobra jak wypieki pani Rainy Carmine, będziecie musieli zdjąć znak. Zgoda?

Kelnerka uśmiechnęła się.

- Bułeczki cynamonowe jeszcze się nie upiekły. Będą za jakieś czterdzieści pięć minut. Kucharz miał dziś z samego rana kłopoty z piecem.

Jack zmarszczył brwi i nadał się.

- Ależ ten świat schodzi na psy... deszcz na drodze i zepsute piece z bułeczkami.

- Chce pan, żebym przyniosła bułeczkę, kiedy się już upieką?

- Zastanowię się nad tym. Muszę jak najszybciej zobaczyć Minnesotę we wstecznym

lusterku, zanim przyleci cały ten śnieg i zmusi mnie do zimowania tutaj.

Kelnerka przeszła do następnego stolika z dzbankiem kawy i spytała, kto ma ochotę na dolewkę. Jack stukał butem o nogę stołową i przyglądał się Lindzie. Dokoła nich słychać było cichy szum rozmów i brzęk filiżanek. Gdzieś z kuchni dobiegł głos kucharza:

- Dwa sadzone na parówkach z biskwitami!

- Podoba mi się twoja czapeczka, skąd ją masz? - Jack uśmiechał się szeroko do Lindy Lobo.

- Dostałam ją od kowboja, który wygrał ją w bilard od faceta imieniem Robak - odparła Linda z uśmiechem.

- Jak to się stało, że ci ją dał, kochanie? - Jack starał się mówić kącikiem ust, udając W. C. Fieldsa; udało mu się to na jakąś tróję z minusem. Przetarł zaparowane okno i wyjrzał na świat.

- Nie mogę sobie przypomnieć - rzekła Linda. - To był jeden z tych dni, gdy budzisz się rano z czapką na głowie i zastanawiasz się: „a skąd to się tu wzięło?” - Zdjęła czapeczkę i przyjrzała się logo. - I masz nadzieję, że nie dostałaś jej od jakiegoś hokeisty, bo kiedy ostatnio się nad tym zastanawiałaś, nie lubiłaś hokeja, że już nie wspomnę o hokeistach. Jak tam pogoda za oknem?

- Zła, a robi się coraz gorsza. Mamy lepsze rzeczy do roboty niż byczenie się w Castle Danger i czekanie, aż bułeczki z cynamonem się dopieką. Moglibyśmy ruszyć w drogę i wydostać się stąd jak najszybciej.

- Jestem z tobą, bandyto... kiedy tylko powiesz, ruszamy. A tak przy okazji, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Prawie zapomniałam.

- Ja także. Dzięki. Czterdzieści siedem lat i świecę jak słońko, którego dziś chyba nie uświadczymy... bandyto?

- Słyszałam, jak mówiłeś tak sam do siebie wczoraj w restauracji. W jakiś przedziwny sposób to do ciebie pasuje. Masz coś przeciw temu, bym cię tak nazywała?

- Nie. Nawet mi się podoba.

Kiedy przejeżdżali przez Knifre River, na jednej z kaset Jacka Kenny Rogers właśnie śpiewał „Ruby”: „To nie ja rozpocząłem tę zwariowaną azjatycką wojnę...”. Kilka mil dalej na południe deszcz zamienił się w śnieg z gradem. Co jakieś ćwierć mili pikapa zarzucało na zakrętach; Jack pochylił się nad kierownicą, walczył z samochodem, co chwila wychodząc z kontrolowanych poślizgów.

- Jezu Chryste - mruknął, naciskając i puszczając hamulec. - Żeby tu żyć, trzeba być bardziej zwariowanym od szalonego mordercy z piłą łańcuchową. Nie trzeba nawet diagnozy od psychiatry... prosta sprawa... mieszkasz tu, jesteś nienormalny i powinieneś być jak najszybciej zamknięty w wariatkowie, i żadna papierkowa robota nie powinna tego opóźnić.

Dwie mile dalej widoczność spadła do stu stóp, a śnieg wiał dokoła małego światka Lindy Lobo i Jacka Carmine'a.

- Jack, uważam, że powinniśmy się gdzieś zatrzymać. To się robi naprawdę niebezpieczne.

- Jestem cholernie uparty, jeżeli chodzi o te rzeczy; mam osobowość Mad Maxa, można by powiedzieć. Cały czas myślę, że zaraz z tego wyjedziemy... cały czas mam przed oczami te ostatnie sześćdziesiąt mil szosy przez prerię na zachód od Fort Stockton aż do Alpine. Poza tym wprost nie mogę się doczekać min Earla i Jęczyduszy, gdy zajadę pod dom pikapem pełnym dziecięcych ubranek i rzeczy tańczącej damy. Zobaczymy, jak będzie w Duluth. Daleko to stąd?

Linda przyjrzała się mapie Minnesoty.

- Niedaleko. Jakies dwadzieścia mil, może nawet nie tyle.

- To nam zajmie jakieś dwa lata w tych warunkach - odpowiedział Jack.

Ogromna ciężarówka z naczepą minęła ich, robiąc co najmniej pięćdziesiąt mil na godzinę, w przeciwnym kierunku. Zła widoczność przez chwilę zamieniła się w mleczną mgłę.

Linda odwróciła się i wyjrzała przez nieduże okienko z tyłu.

- Założę się, że gość miał na tylnym zderzaku tej bryki nalepkę z napisem „Jestem profesjonalnym kierowcą, zadzwoń pod numer osiemset coś, jeżeli nie podoba ci się to, co widzisz”.

- Taa, ale jeśli będzie dalej tak ciął jak wariat, stanie się jeszcze jedną łodzią załadunkową, gdy trafi na te zakręty przy jeziorach. Co mówił ten znak, który przed chwilą minęliśmy?

- Piętnaście mil do Duluth.

Pół godziny później Jack zjechał na parking przed supermarketem.

- Za moment wracam - powiedział.

Wyszedł ze sklepu, pchając przed sobą wózek załadowany workami z psią karmą; za nim szedł chłopiec, który pchał przed sobą drugi wózek z takim samym towarem. Wrzucili worki na tył półciężarówki, a śnieg tańczył dokoła nich; potem Jack wsunął się do szoferki. Śnieg osiadł mu na ramionach i czapce.

- Dwanaście worków psiej karmy marki Purina równa się sześciuset funtom obciążenia na pace. Jeżeli gdzieś ugrzęźniemy, podłożymy worki pod koła, a czego nie zużyjemy, stary Jęczydusza będzie jadł do końca swego ziemskiego życia i jeszcze spory kawał czasu w wieczności.

- No cóż... wcale genialny pomysł, Jacku Carmine. Nie jestem tylko pewna, czy pchanie się dalej w tę zawieruchę jest równie genialne.

- Nikt mnie nigdy nie oskarżał o genialność na jakimkolwiek polu. Poza tym to nie jest kwestia genialności, lecz zagrzania tych starych osiek i ruszenia stąd do diabła. Jest to też kwestia zabrania Sary Margaret i ruszenia do słoneczniejszych krajów i lepszych rzeczy.

Tuż za jeziorem Moose przedarli się wreszcie przez kurtynę pogody i śnieg na powrót

zamienił się w gęsty deszcz.

- Udało nam się - odezwał się Jack. - Teraz już pójdzie jak z płatka. Wrzuć mi kasetę Merle Haggard, żeby to jakoś uczcić. Pod siedzeniem, w pudełku po butach jest jeszcze sporo taśm, których nie słuchaliśmy.

- Gdzie obecnie jest twoja matka, żyje jeszcze? - Linda przegrzebywała się przez stos kaset magnetofonowych i odczytywała naklejki. Wreszcie znalazła jedną z napisem „Merle” i wetknęła ją do magnetofonu.

- Mieszka z jednym takim facetem, co to uważa się za guru w Taos. Medytują przy księżycu i wyją do słońca. Nie jedzą nic oprócz warzyw i noszą plastikowe obuwie. - Jack zapalił papierosa. - Kiedy stary Edward Polynice Carmine, czyli mój tato, zszedł z tego świata, ruszyła w nieznaną. Trudno mieć do niej o to pretensję; życie ze starym Polym wcale nie należało do łatwych.

- Czy twój tata był ranczerem?

- No cóż... od tego się zaczęło, lecz skończyło całkiem inaczej. Poly odziedziczył pięćdziesiąt tysięcy akrów przyzwoitych pastwisk po dziadku Smylerze Carmine. Ale, widzisz, Poly wyjechał do Austin i zrobił magisterium z prawa. No i resztę swego życia oraz większość ziemi stracił na przegrywanie jednej walki o środowisko po drugiej. Jak na przykład wtedy, gdy chcieli zbudować tamę na Pinto Creek - a to przecież tylko wąski strumyczek wody - i stworzyć jakieś pustynne uzdrowisko. Trzeba jednak przyznać staremu Poly'emu, że walczył zaciekle i zrobił sobie wrogów z ludźmi, którym się zdawało, że domy i pola golfowe trzeba czcić na równi z amerykańskim sztandarem, czyli z prawie wszystkich. Poly miał asa w rękawie: starą ustawę o prawie do wody w pustynnych *arroyo** [przyp.: Płaskodenne koryto rzeki (przyp. tłum.)]. Tak czy inaczej, nigdy nie udało mu się nic zarobić na swej praktyce prawniczej, więc sprzedawał ranczo kawałek po kawałku, by finansować te swoje święte wojny.

- Kto zajmował się ranczem, gdy twój ojciec szalał?

- Rainy, Earl i ja. Mniej więcej co dwa lata rozglądaliśmy się dokoła i widzieliśmy, że granice naszej posiadłości zacieśniają się dokoła nas jak ściany pokoju w jakimś horrorze. Poly sprzedawał to dziesięć działek tu, to piętnaście tam. W końcu ranczo zrobiło się za małe, by wykarmić większe stado bydła, więc zostało nam jakieś sto pięćdziesiąt sztuk. Jezu, potem mieliśmy już tylko fasolę i kaktusy. Rainy poszła do pracy w restauracji w Alpine, ja zacząłem pracować przy szybach naftowych nieopodal Odessy, kiedy miałem szesnaście lat, choć wszystkim mówiłem, że mam więcej. Earl zajmował się tym, co zostało z rancza, a Eddie, mój młodszy brat, ćwiczył grę na oboju i potem stał się dzięki temu kimś. - Jack wyszczerzył zęby w uśmiechu. - A potem przyszły czasy projektów wydobywania ropy naftowej. Ranczo, to co z niego zostało, leży zaraz za południowym krańcem basenu Premian, jakieś sto pięćdziesiąt mil poniżej pół Odessa-Midland. Jeden z szalonych przyjaciół Poly'ego, Fine Daly, był różdżkarzem - wiesz, miał rozwidlony patyk i twierdził, że potrafi w

ten sposób znaleźć wodę. Kręcił się po posiadłości i powtarzał Poly'emu, że pod ziemią płynie coś czarnego i gęstego.

- I co? Udało się? Znaleźliście ropę?

- Nie. Skąd. Poly zgrał się już niemal co do centa i ta wielka dziura była jego główną szansą na finansowe zmartwychwstanie... wielką nadzieją. Powiedział, że to raz na zawsze wyciągnie nas z kłopotów. Tego dnia, gdy zaczęli wiercenia, mieliśmy wielkie przyjęcie, a ojciec wygłosił mowę tuż obok miejsca, gdzie świdry miały pójść w ruch. Pamiętam, jak Earl stał ze mną i Jęczyduszą na uboczu, i tylko potrząsał głową. „To czyste szaleństwo, Jack - powiedział mi. - Twój tatko szczeka na niewłaściwe drzewo”.

Jack Carmine zapalił papierosa, uchylił okno samochodu i wyciągnąwszy swą bandanę, wytarł kurz z magnetofonu.

- Zobaczysz starą wieżę wiertniczą, gdy znajdziemy się już w Teksasie. Rodzina zawsze nazywała ją „Perry”, co jest skrótem od perezoso, czyli hiszpańskiego słowa oznaczającego leniwy - bo nikt tam nigdy tak naprawdę nie pracował. Poly'emu skończyły się pieniądze na wiercenia na długo, zanim wiertło zeszło do poziomu, na którym faktycznie można by znaleźć ropę. To przedsięwzięcie właściwie doprowadziło Poly'ego do końca drogi; zmarł na atak serca wkrótce potem.

Linda Lobo patrzyła na południe przez nieustannie migające wycieraczki.

- Więc ta wieża tak po prostu tam została?

- Taak. W ciągu następnych lat Earl i Jęczydusza wypracowali taki swój rytuał. Co dzień około południa podchodzą do wieży i sikają na starego Perry'ego, obaj równocześnie. To taki ich sposób powiedzenia, że Earl od samego początku miał rację.

- Szkoda, że nie wyszło wam z tą ropą. Rodzina Carmine'ów mogłaby mieć teraz prawdziwe teksańskie królestwo.

- No cóż, sprawiedliwość chodzi czasem przedziwnymi drogami. Wedle rodzinnych przekazów dostaliśmy tę ziemię dzięki przekrętom niejakiego Bena Carmine'a, który przybył z Tennessee i zatrudnił się jako łowca skalpów u gubernatora w Chihuahua w połowie 1800 roku. Podobno stary Ben przedstawiał niezwykle widok w getrach zapinanych na srebrne guziki i mokasynach, z koronkową mantylą owiniętą w pasie i trochę zakurzoną czerwono-czarną serapą zarzuconą na ramiona. Jasne jest więc dla każdego, kto zwraca uwagę na szczegóły, że my, późniejsi Carmine'owie, odstąpiliśmy od stylu ubierania się ustanowionego przez pana Bena.

Jack zwolnił za jadącym przed nim powoli samochodem, uregulował odtajnik i wyprzedził wóz na kawałku prostej drogi, mrużąc pod nosem coś o niedzielnych kierowcach i cholernym zimnym deszczu.

- Chcesz usłyszeć resztę? Historię mojej rodziny?

- Nie mogę się już doczekać.

Jack pociągnął się za prawe ucho i zerknął na nią.

- Ze sposobu, w jaki to powiedziałaś, wnioskuję, że nie uwierzyłaś w ani jedno moje słowo.

- No cóż, bardzo bym chciała, ale cały czas chodzi mi po głowie, że to się zaczyna jak coś, co niedawno oglądałam w telewizji.

- Posłuchaj, moja tańcząca damo, to, co ci opowiedziałem, jak również to, co zamierzam ci opowiedzieć, to szczątki tego, co pozostało, kiedy Poly zaczął odsiewać prawdę od korralowego kurzu, gdy zabrał się na poważnie do genealogii naszej rodziny. Nigdy za bardzo nie ufałem ludziom, którzy oglądają się na swoje drzewo genealogiczne, bo zawsze mi się wydawało, że oni tylko usiłują się przekonać, iż ich przodkowie pochodzą w prostej linii z rodów królewskich, i wybierają odpowiednie gałęzki, by się w tym utwierdzić. Ale Poly miał mocną głowę i był wcale niezły w dokopywaniu się do prawdy, kiedy już się do tego wziął. Poza tym, jak mawiał Poly, kiedy odkrył coś odrażającego w historii naszej rodziny, to jedna z tych rzeczy, które jeżeli nie są prawdziwe, to zostały dodane tylko po to, by w tym nudnym wszechświecie zagościło nieco koloru. Tak więc możesz to przyjąć za dobrą monetę albo wyrzucić przez okno; jeżeli o mnie chodzi, uwierzyłem w każde słowo i w każdym dniu mego życia czuję w sobie geny starego Bena Carmine'a. Jeśli zostaniesz ze mną trochę dłużej, sama się o tym przekonasz, choć ostatnio zarzuciłem zbieranie skalpów.

Camaro z młodym mężczyzną za kierownicą, robiący jakieś osiemdziesiąt mil na godzinę, przejechał obok nich, wzbijając strugi wody.

- I jak tu nie podziwiać naszej młodzieży rozbijającej się samochodami podarowanymi im przez starych - mruknął Jack, kiedy camaro zarzuciło na drodze tuż przed nimi.

Linda Lobo zapaliła papierosa.

- Ciągnij swą opowieść, Jacku Carmine. Słucham i robię co w mej mocy, by uwierzyć w każde wypowiedane przez ciebie słowo.

- No dobra. Stary Ben skończył z uganiem się za skalpami, gdy poślubił Meksykankę-wdowę, która nazywała się Chata Valenzuela. Chata miała już gromadkę dzieci z poprzedniego małżeństwa i odziedziczyła z posiadłości męża spory kawałek, którego jako kobieta nie mogła samotnie utrzymać, i potrzebowała męża. Namówiła Bena, żeby zajął się handlem na wschód od Presidio przy Rio Grande, gdzie wymieniał u Indian wódkę i strzelby na konie skradzione teksańskim osadnikom. Potem sprzedawał zwierzęta żołnierzom stacjonującym w okolicy. Było to zamknięte koło, dzięki któremu szedł interes: strzelby dla Indian za konie, konie dla kawalerzystów, żeby mogli ścigać Indian, którzy kradli jeszcze więcej koni dzięki strzelbom, w jakie zaopatrywał ich Ben. Kiedy ludzie zaczęli się orientować, o co chodzi w tym interesie, i chcieli dobrać mu się do skóry, Ben sprzedał interes i kupił ziemię, na którą zmierzamy. To znaczy zmierzamy do tego, co zostało z posiadłości Bena Carmine'a po tym, jak Poly dostał ją w swoje ręce jakieś sto lat później. Ben postanowił prowadzić od tej pory spokojne życie, lecz nie bardzo mu to wyszło. Jakiś stary wróg z przeszłości, najprawdopodobniej *hombre*, którego oszukał w przygranicznym

interesie, przyjechał do Teksasu z czterema *amigos* i podziurawił Bena jak sito, gdy ten jadł kolację z Chatą i dziećmiakami.

Jack zerknął na Lindę. Uśmiechała się półgębkiem i potrząsała głową.

- Mam tu tylko jeden problem... Iowa wydaje się wyjątkowo spokojną ziemią w porównaniu z tym, o czym mi opowiadasz. O ile wiem, to ziemia ciężko pracujących farmerów i emigrantów z Niemiec czy kogoś w tym stylu.

- No cóż... panno Lindo, jest Iowa i jest Teksas, a to miejsce niepodobne do żadnego innego na ziemi. Posłuchaj, dalej jest jeszcze lepiej. Widzisz, wdowa Valenzuela miała już dwóch synów, gdy poślubiła Bena Carmine'a; z nim miała jeszcze dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Wszystkie dzieciaki nosiły nazwisko Carmine. Więc kilka dni po tym, jak stary Ben spoczął w ziemi, chłopcy, którzy mieli już wtedy po kilkanaście lat, zorganizowali zasadzkę na pięciu *hombre*, którzy zabili ich ojca. Potem woda jest trochę mętna i nie wiadomo, kto tak naprawdę jest odpowiedzialny za sprowadzenie tu reszty Carmine'ów. Najprawdopodobniej, sądząc po tym, co mówił Poly, jeden z synów Bena i Chaty, Larkin, ożenił się z Meksykanką z pogranicza. Larkin wykopał pozostałych dwóch braci z domu - jeden został koniokrądem i w końcu go powiesili, drugi stał się stróżem prawa i na koniec dołączył do Tekszańskich Strażników. Skończyło się na tym, że Larkin przejął rancho i spłodził czterech synów i dwie córki. Z tej właśnie trzódki pochodzi bandyta, z którym podróżujesz, można więc powiedzieć, że moja przeszłość jest nieco mętna, zarówno jeśli chodzi o to, co sam zmalowałem, jak i o wybryki moich przodków. Ponieważ jestem potomkiem łowcy skalpów, łotrzyków strzelających w plecy i królowej nocy, zawsze uważałem, że to w jakimś stopniu usprawiedliwia moje zachowanie... to jakby genetyczne usprawiedliwienie wszystkiego, czym jestem, a głównie czym nie jestem.

Linda Lobo znowu potrząsnęła głową i przyjrzała mu się.

- Więc to by było tyle. Zdobyliśmy ziemię dzięki podejrzanym machinacjom pewnego szalenię praktycznego dżentelmena i straciliśmy przez idealizm Poly'ego. Jak powiedziałem już wcześniej, jest w tym jakaś skomplikowana sprawiedliwość, którą może bym zrozumiał, gdybym się nad nią poważnie zastanowił... ale jakoś nigdy mi się na to nie zebrało i pewnie nigdy nie zbierze. W każdym razie powtarzam ci to, co Poly znalazł w czasie swych badań, a gdy Poly przyłożył do czegoś swój analityczny, prawniczy umysł, dopadał problemu niczym pies zająca, docierał do sedna i patrzył mu prosto w oczy, dopóki się skurczybyk nie poddał. Jednak to Rainy miała tu ostatnie słowo, jak zawsze. Zawsze powtarzała, że jeżeli chodzi o narodziny, my, Carmine'owie, łamiemy wszelkie zasady i pojawiajemy się na świecie mimo nieustających wysiłków Matki Natury, by poprawić świat.

Poniżej Hinkley deszcz ustał, a niebo zrobiło się srebrzyście szare, a na masce Chevy'ego pojawiła się wodnista zapowiedź południowego słońca. Jack Carmine spojrział na Lindę Lobo i uśmiechnął się szeroko.

- Powinniśmy dotrzeć do Otter Falls pod wieczór. Już jutro zobaczysz małą Sarę

Margaret. Porwiemy ją i jak w dym popędzimy na prerię. Hej, spójrz! - Pochylił się i wskazał ręką na niebo. - Widzisz, kanadyjki też zmierzają na południe! Zupełnie jak my.

Klucz gęsi istotnie leciał na południe, wysoko, nieco na prawo od nich i bardzo szybko.

- Ruszyły do stawków wschodniego Teksasu, tańcząca damo, podróżując według gwiazd i jakiegoś wewnętrznego systemu nawigacyjnego, który mówi im, kiedy i dokąd wyruszyć. Nie potrzebują do tego żadnej cholernej prognozy pogody. Zawsze powtarzam, że jeżeli wszystkie te bajdy o reinkarnacji są prawdziwe, to powinienem wrócić na ziemię jako kanadyjski gąsior imieniem Raymond. Jakże bym chciał choć raz polecieć tak jak one, zamiast jeździć tą bryką przez całe życie.

Linda Lobo uśmiechnęła się ciepło do potomka łowcy skalpów i meksykańskiej królowej nocy, syna kobiety, która nosi plastikowe buty, mieszka z guru w Taos, a kiedyś co trzecią środę piekła najlepsze cynamonowe bułeczki na świecie; którego ojciec toczył przegrane z góry wojny o tę ziemię i chciał wykopać ropę tam, gdzie różdżkarz powiedział, że można ją znaleźć; który chciał odrodzić się jako kanadyjska gęś i polecieć na południe przez jesienne niebo. Nie odezwała się ani słowem, nie było takiej potrzeby. Po prostu uśmiechała się ciepło do Jacka Carmine'a, który szczyrzył do niej zęby w uśmiechu. Zerknął na autostradę, potem na niebo i znowu na nią, a Linda nadal uśmiechała się do niego. I jechali tak jeszcze bardzo długo.

IV

Nowy Orlean, 27 października 1993

Oglądając się wstecz, co robił często podczas długich nocy spędzonych w pokoju w piwnicy, Vaughn Rhomer dzielił dni swego życia, sortował je niczym zielone papryczki z ostatniej dostawy. Kilka dobrych, parę złych i cała reszta kwalifikująca się do przeciętnych, które większość z nas nazwałaby przyzwoitymi i produktywnymi dniami. Przyzwoite i produktywne, ale ani trochę nie przypominały tego, czym mogłyby być, gdyby wiódł inne życie; w niczym nie przypominały dni i lat siostrzeńca Jacka Carmine'a. Dla Vaughna Rhomera kwintesencją Jacka był obraz, jaki zapamiętał z dnia, w którym siostrzeniec przejeżdżał przez Otter Falls wiele lat wcześniej, w pewien jesienny wieczór, kiedy północna kraina szykowała się do zatrzaśnięcia okiennic przed nadchodzącymi chłodami. Jack i kobieta imieniem Linda, oboje ubrani w stroje prawdziwych wędrowców, zatrzymali się na chwilę, zanim wyruszyli w miejsca znane tylko prawdziwym podróżnikom.

Vaughn Rhomer spoglądał na Lindę A-Cośtam tamtego wieczora przed wielu laty i myślał, jak wiele by oddał, by choć raz w życiu mieć kobietę taką jak ona. No cóż... może raczej podobną, może nie aż taką jak ona, na początek. Ta Linda była miła, ale roztaczała dokoła siebie poczucie zmysłowości o ogromnej sile, które mówiło, że jeśli chcesz poprosić ją do tańca, lepiej żebyś wiedział, co robi się na parkiecie, gdy kapela zaczyna grać. Linda A-Cośtam była krainą stanowczo zbyt dziką jak dla żółtodzioba.

Ale Vaughn Rhomer był innym człowiekiem. Innym niż Vaughn Rhomer siedzący w nowoorleańskiej kafejce siedem lat później. Nowy Vaughn Rhomer ewoluował, rozwijał się i sięgał w świat. Słuchał Ariendo Vincenta, który w okularach słonecznych i czerwonym berecie grał coraz wyższe i wyższe nuty, by zakończyć czysto na najwyższym dźwięku, na jaki było stać jego altowy saksofon.

- Do diabła, udało mi się! Mam! - krzyknął zadowolony; pokazał zęby w szerokim uśmiechu i szybko zszedł z chodnika. Wszedł do kawiarenki i przeszedł między Vaughnem Rhomerem a czarnoskórą kobietą, machając ręką na znak zwycięstwa. - Mam nowy saks i jeszcze trochę go wypróbuję. Zaraz wracam, kochani, skończyły mi się papierosy. - Murzynka spokojnie nadstawiła lewą rękę dłonią do góry i Ariendo Vincent klepnął ją

delikatnie. Dotykając jej dłoni powiedział: - Jak leci, Gumbo, dawno cię nie widziałem...

Gumbo - teraz znał już imię. Vaughn Rhomer wiedział, że gumbo to to samo co okra* [przyp.: Piżmian jadalny; warzywo uprawiane w krajach podzwrotnikowych (przyp. red.)]. Kiedyś usiłował trzymać okrę w sklepie, ale interes nie szedł za dobrze. Mieszkańcy Iowy jakoś nie przepadali za okrą, choć nie bardzo wiedział dlaczego.

Nachyliła się wtedy nieznacznie - żółty rękaw przesunął się niczym promień słońca przez poręcz ganku domu o spadzistym dachu, położonego w krainie delty - i wzięła cienkiego papierosa z paczki leżącej na stoliku; trzymała go w dwóch palcach lewej dłoni.

Palce: długie.

Paznokcie: czerwone.

Wzięła srebrną zapalniczkę i dotknęła płomieniem końca papierosa.

...zrobić to wszystko od początku, żyć raz jeszcze. Raz jeszcze się urodzić i zrobić wszystko inaczej. Następnym razem nie godzić się na mniej, niż można by osiągnąć. Nie cierpieć tu, w naszych ostatnich dniach, nie snić niespokojnych snów o rzeczach, które powinniśmy zrobić, lecz nigdy nie było nam to dane i nigdy już nie będzie. Żaden z nas nie powinien istnieć jako człowiek żyjący wedle planów swego ojca i spełniający jego marzenia o życiu. Nawet gdy buntujemy się przeciwko zasadom swych ojców, sam bunt jest lustrzanym odbiciem tych zasad, staje się na swój własny sposób ich imitacją. W takim razie śnij: o siodłaniu konia w miękkim śniegu, padającym z wieczora wysoko, wysoko w górach Azji, o zmroku, zapadającym w wiosce wysoko na przełęczy, o odosobnionym miejscu w błocie i słomie, o płomieniach ogniska, przy których gromadzą się żołnierze wszechświata. Albo, na nizinach, przesuwaj się niczym strzała wypuszczona z łuku, szybko i bezszelestnie przez wysoką trawę, z dzidą w dłoni i gazelami przed oczyma. Lub zarzucaj sieci, gdzie gromadzą się ryby, idź, gdzie pływają delfiny i jeden samotny pelikan mknie przez niebo. Wszystko odległe od wielkomięjskich pociągów, odległe od bezsensownych składek emerytalnych, których nigdy nie wykorzystamy i przekazemy następnym, odległe od tępych kół zwyczajnej komercji. Powinniśmy byli zrobić te inne rzeczy, mówią nam o tym sny, a te nigdy nie kłamią. Jednak wymazujemy je z pamięci wraz z nastaniem świtu i wracamy do żywotów wybranych nam przez ojców. Gdybyście je spełnili, gdybym ja je spełnił - gdybym zrobił coś prawdziwego - może mielibyśmy kobiety takie, na jakie ja dziś patrzę tu, w Mombasie. Lecz jeśli mieć ich nie możemy, patrzmy przynajmniej, jak tańczą z żółtymi piórami wplecionymi we włosy. Jednak to tylko marzenie, które gdzieś w noc się zaplątało, choć czasem wydaje się realne. I tak marzenia wszystkich mężczyzn stają się snami każdego z nich. Widzimy cienie rzucane przez płomień z ogniska i mężczyzn ubranych w czarne szaty, nucących coś po cichu, siedzących dokoła ognia, nieomal stykających się kolanami. Opowiadaliśmy stare historie i śpiewaliśmy stare opowieści o czasach minionych, przekazując sobie wzajem ostrzeżenia przed kobietami, które tańczą i obracają się w blasku ognia, by zniknąć z nadejściem świtu i zostawić po sobie

tylko ślady stóp na piasku. I klaszczemy w dłonie w zgodnym rytmie, podczas gdy kobiety tańczą, rzeka płynie, a żółw śpi, czujemy zapach ich ciał, gdy zbliżają się do nas, wyciągamy dłonie, by dotknąć ich smukłych ud, i przysłuchujemy się odgłosowi stóp na piasku, gdy uciekają w ciemność. Ale wszystko to... wszystko... znika w natłoku pracy i odpowiedzialności, i tego, co mogłoby się zdarzyć... a wszystko to znikło, kiedy nikt nie patrzył, nawet synowie ojców.

S. J. Walk, „Rzeczy, które powinniśmy byli zrobić” (Fargo, Północna Dakota: High Plains Imprint, 1954) strona 178. Przeczytane i przepisane do dziennika Vaughna Rhomera nr 6, 8/1/85

Vaughn Henry Rhomer był synem drobnego sklepikarza, który wywalczył swą drogę pośród Wielkiego Kryzysu, przetrwał go i nigdy o nim nie zapomniał; który zalecał ostrożność i wpoił chłopcu te słowa:

- Idź do jednej z dużych firm, Vaughn, gdzie mają ubezpieczenia emerytalne i zdrowotne. Samemu robić to wszystko jest zbyt ciężko. Bądź rozsądny, bądź uważny; świat jest podły. Jednego dnia wszystko jest w porządku, a następnego ktoś ci wyrwie grunt spod nóg.

Więc Vaughn Rhomer żył posłuszny radom swego ojca i cały czas doskwierała mu tęsknota za czymś innym, lepszym - pogonią za złotem na Borneo czy robieniem czegoś, co mają we krwi wszyscy młodzi szczupli mężczyźni, którzy marzą o tym, by pojechać na wyprawę i wrócić do domu z zapasem historyjek za pazuchą, historyjek, które najbliżsi zapamiętają, a które oni będą opowiadać pod koniec życia, mocząc poznaczone błękitnymi żyłkami stopy w brązowych wodach starych rzek i spoglądając na swe pokryte bliznami dłonie. I będą czuć, jak ich dusze ogrzewają się i oczyszczają dzięki wspomnieniom, dzięki opowiadaniu i przekonaniu, że zaryzykowali i ruszyli w nieznaną, podczas gdy inni zostali w domu.

Ojciec, Albert, zaaprobował życiowy wybór Vaughna. Podobnie jak żona, Marjorie. Ich przyjaciele także go aprobowali. A Borneo zostało dla innych, dla Thomasów Martinów tego świata, którzy odważyli się wyruszyć na szlak. A co się stało z kobietą w Mombasie? I co stało się z tymi wszystkimi młodymi kobietami, które przewijały się przez „Najlepszą cenę” w swych krótkich koszulkach i szortach wyciętych tak wysoko i ściągniętych tak mocno, że widać było pośladki? Vaughn Rhomer uśmiechał się do nich miło przez te wszystkie lata, starzejąc się i mówiąc „dzień dobry”; układał sałatę i patrzył na nie tylko raz, gdy odchodziły - złoto, odległe Borneo i lot samotnego pelikana - i zastanawiał się, jak by to było leżeć pomiędzy tymi opalonymi udami, które migają po sklepie, i zerkać na uśmiechnięte buzie, gdybyś zabierał je do miejsc, o których zawsze marzyły, lecz nigdy jeszcze nie odwiedziły. Albo choćby dotykać... to mogłoby wystarczyć, samo dotknięcie. Tylko raz położyć dłoń na

ciele wypełniającym obcisłą koszulkę, delikatnie przeciąć materiał szortów *tornochetą*, podczas gdy młoda kobieta śmiała się z zadowoleniem, widząc twój zachwyty. Wyobrażał sobie, jak rzuca znoszone szorty na trzecią alejkę, na załadowany wózek tej starej, paskudnej pani Butro, albo - jeszcze lepiej - na jej głowę, po czym odsłania i bierze młode, opalone ciało na stercie czerwonych pomidorów, rozgniatanych i rozsypujących się po podłodze, z sokiem tryskającym na wszystkie strony.

I teraz, tutaj, z muzyką i łagodną luizjańską nocą i kobietą taką jak ta imieniem Gumbo, siedząca nieopodal. I z Marjorie, zmarłą piętnaście miesięcy temu na jakąś kobiecą chorobę, która zjadła ją od środka jeszcze za życia. I ciężkie brzemie tej straty, i tęsknota nawet za jej utyskiwaniami i narzekaniami, i poczucie winy za te wszystkie noce, gdy miał jej dość i modlił się choć o jedną godzinę w spokoju, bez niej. O tę jedną godzinę bez niej, którą tak naprawdę mógł spędzić z nią, powinien spędzić z nią. Zmysłowość między nimi nigdy nie była żywiołowa; ta niewielka jej doza, którą dzielili, równią pochyłą zjechała do obopólnego celibatu. Żadne z nich nie wspomniało o tym ani słowem. W końcu... można się było tego, no cóż, spodziewać - nieprawdaż? Ale po co o tym mówić, grzebać się w tym? Obserwował, jak lata sześćdziesiąte ich mijają, widział wyzwolenie i możliwości, a jednak wraz z Marjorie nic nie zmieniali w swoim życiu. Dlaczego? Zdawało mu się, że te wszystkie „dlaczego” rozbiegają się po jego mózgu niczym wielonogie insekty, gdy tylko usiłował się nad tym wszystkim zastanowić. Dopóki w ogóle nie przestał tego roztrząsać i nie pozwolił, by to umarło na długo przed śmiercią Marjorie.

Na swój własny cichy sposób walczył o swój kawałek Drogi. Nie żadnej tam Wielkiej Drogi - nie Indii czy rzek Borneo - ale jakiejś drogi, czegoś, co by złagodziło uczucia, które żywił w głębi serca, i powstrzymało go od zakończenia swej samotności, czego i tak prawdopodobnie by nie zrobił. Wakacyjny wyjazd do Yellowstone w osiemdziesiątym drugim był jednym wielkim niewypałem. Przeczytał wszystko, co tylko mógł zdobyć o tym miejscu, i planował tę wycieczkę przez wiele miesięcy. Jednym z najwspanialszych punktów miał być postój w Little Big Horn, więc studiował śmierć generała, którego Indianie nazywali Żółtym Włosem, dopóki nie poznał na pamięć każdego skrawka ziemi, zanim jeszcze na niej stanął.

Ale Nathan złapał jakiegoś wirusa i zwymiotował w buicku aż cztery razy. Laverne śledził rozgrywki na przenośnym telewizorku, a Louis czytał podręcznik dotyczący komputerów. Marjorie okolica bardzo się podobała, ale cały czas martwiła się o Nathana i nie mogła się skupić na tym, co Vaughn mówił o Custerze odsyłającym Benteena i Reno, rozdzielającym armię i dlaczego stary generał nie powinien był tego zrobić ze strategicznego punktu widzenia. Więc Vaughn Rhomer stał tam i usiłował wyjaśnić rodzinie, co się wydarzyło na tych łąkach, oddać krzyki i strzelaninę... głosy jeźdźców na bezkresnych preriach pod skwarem słońca, jasne cele, jakie mieli Siedzący Byk i Szalony Koń, oraz arogancję Custera. Stał tam, wskazywał rzeźbę terenu i mówił sam do siebie.

Marjorie powiedziała, że nie ma siły na następną rodzinną wycieczkę, mimo iż romantyczna wyprawa bardzo się jej podobała; Vaughn w głębi serca nie wierzył, że cokolwiek z tego romantyzmu do niej dotarło. A jednak nadarzyła im się następna sposobność, tym razem w postaci Wielkiej Drogi. Sieć sklepów przeprowadziła konkurs na pracownika roku we wszystkich swych dwudziestu siedmiu placówkach. Pomędzy szefami korporacji Vaughn Rhomer uważany był za swego rodzaju cichą legendę.

- Jeżeli chcecie zobaczyć, jak powinien wyglądać dział z warzywami, jedźcie do Otter Falls i zobaczcie, jak daje sobie radę stary Vaughn Rhomer. Może jest trochę inny, nosi do pracy dziwaczne wojskowe buty i obcina stare liście sałaty czymś, co podobno jest meksykańską odmianą scyzoryka, i z nieznanym nikomu powodów nosi ze sobą do pracy swój paszport. Ale zna po imieniu każdego stałego klienta, a jego półki wyglądają jak mokry sen ogrodnika. Doszedł do tego wszystkiego, troszcząc się o nas, a także dostarczając na zamówienie tace warzyw żonie dziekana miejscowego uniwersytetu i innym miejskim znakomitościom. To jedyny sklep, w którym można mieć warzywa z dostawą do domu.

VAUGHN RHOMER ZE SKLEPU NUMER 17

WYBRANY PRACOWNIKIEM MIESIĄCA

Tak było napisane w jednym z numerów biuletynu „Najlepszej ceny”; trzy dni i cztery noce w hotelu Sheraton British Colonial w Nassau na wyspach Bahama - oto była nagroda. W to wliczony bilet samolotowy dla jednej osoby. Problem polegał na tym, że wycieczka wypadła w marcu, a Marjorie pracowała u miejscowego adwokata, żeby dorobić na obecne i przyszłe wydatki chłopców w college'u. Nie mogła wyjechać w marcu, gdyż kończył się właśnie rok podatkowy. Zachęcała Vaughna, by poleciał sam; powtarzała, że zasłużył sobie na to. Ale to nie wydawało mu się sprawiedliwe; w końcu byli małżeństwem i tego typu rzeczy powinni robić wspólnie.

- Jedź, zrób to, Vaughn. Będziesz miał wreszcie szansę włożyć ten kask tropikalny, który dostałeś od dzieciaków na gwiazdkę. (Kiedy rodzina spytała go, co chce dostać na Boże Narodzenie w tym roku, uśmiechnął się i odparł: „Potężne bary”, więc tylko spojrzeli po sobie i kupili mu kask.)

Przez chwilę zastanawiał się nad propozycją Marjorie, lecz wreszcie potrząsnął głową.

- Nie, bez ciebie nigdzie nie jadę, Marjorie. Jeżeli mamy podróżować, powinniśmy robić to wspólnie. Poza tym już od dawna mówiłaś o nowym dywanie do salonu.

Nagroda więc przeszła do drugiego w kolejności kierownika działu mięsnego sklepu w Webster City, Arena Williamsa. Arch przysłał Vaughnowi Rhomerowi pocztówkę z Nassau, zdjęcie zrobione z powietrza, przedstawiające mnóstwo białych żaglówek na przejrzyście zielonej wodzie. Z powodów znanych tylko księgowym i szefowi finansowemu firmy ważniacy z zarządu postanowili nie powtarzać konkursu w następnym roku.

A potem - Marjorie... Marjorie... umarła w czasie, gdy dwóch ich synów skończyło już studia, a trzeci właśnie zdał maturę. Sąsiedzi przynosili jedzenie na zakrytych półmiskach i

słowa pociechy i stali na równo skoszonej cmentarnej trawie przy grobie. Pastor Larson wychwalał zasługi Marjorie, nazywając ją dobrą żoną i kochającą matką, którą rzeczywiście była.

Na cmentarzu chłopcy stali obok niego, a gdy Vaughn Rhomer na chwilę podniósł głowę, zobaczył w tłumie ciemną, pobrużdżoną twarz Jacka Carmine'a. Plamy słońca padającego przez gałęzie drzew tańczyły na jego twarzy, padały na białą koszulę i krawat. Był to jedyny raz, gdy Vaughn widział Jacka w krawacie. Vaughn Rhomer był mocno poruszony obecnością Jacka Carmine'a, tym, że ubrał się elegancko i przyszedł optłakiwać wraz z nim śmierć Marjorie. Chciał się przywitać z siostrzeńcem, lecz Jack nie zjawił się na stypie.

Marjorie nigdy nie lubiła Jacka i powtarzała, że noga najstarszego syna Lorraine Carmine nie postanie w domu na Trolley Car Boulevard.

- On ma zły wpływ na chłopców, Vaughn, i nie pozwolę, by przebywał z nimi pod jednym dachem.

- Dlaczego Jack Carmine ma na nich zły wpływ, Marjorie?

- Po prostu ma i już. Jest jednym z tych twardoskórych, szalonych i nieodpowiedzialnych wariatów, rozbijających się po kraju starymi pikapami, pijących, przeklinających i robiących Bóg wie co jeszcze. Nie mam pojęcia, o czym Lorraine myślała, wychowując tak syna, chociaż to twoja siostra, Vaughn.

Marjorie powiedziała tak po raz pierwszy jeszcze w latach osiemdziesiątych, ale teraz nie było już jej na tym świecie, a na Decatur kręciło się mnóstwo turystów. Otyła kobieta podeszła do Ariendo Vincenta i spytała, czy może zrobić sobie z nim zdjęcie. Skinął głową, więc odwróciła się do męża, który podniósł aparat typu „idiot-kamera”. Błysnął flesz - zdjęcie poziome; błysnął jeszcze raz - pionowe. A potem odeszli, nie zostawiając ani jednego miedziaka w pudełku Ariendo Vincenta stojącym na chodniku.

Vincent zerknął na swoje pudełko, potem na oddalającą się parę, aż wreszcie zapalił salema i zaciągnął się głęboko. Potrząsnął głową, po czym wetknął papierosa między klawisze saksofonu. Przyciągnął instrument do ust, zastanowił się, odchylił nieco i rzekł do dwuosobowego tłumu swych słuchaczy - Vaughna Rhomera i czarnoskórej kobiety:

- A teraz zagram kilka kawałków Charliego Parkera.

Vaughn nie miał pojęcia, kim był czy też jest Charlie Parker, jednak Murzynka zdawała się wiedzieć, o co chodzi, i dwa razy klasnęła w dłonie, słysząc, co Ariendo Vincent chce zagrać. Potem sięgnęła po coś do swej torebki.

Miała na sobie drogi lniany kostium w lśniącym kanarkowożółtym kolorze. Spódnica kończyła się tuż nad kolanami i z tyłu miała nieduże rozcięcie, które Vaughn zauważył, gdy wcześniej szła do toalety. Żakiet miał baskinkę i pojedynczy biały guzik z przodu; na plecach była zakładka, a wzdłuż linii ramion biegło sutaszowe wykończenie.

Wszystkiego tego było aż nadto, by usatysfakcjonować Vaughna Rhomera z Otter Falls w Iowa. Aż nadto. Ale jej kapelusz - mój Boże, myślał Vaughn, dlaczego kobiety obecnie nie

noszą już takich kapeluszy i nie upinają włosów pod nimi tak jak ona? Kapelusik był z ładnej żółtej słomki, dokładnie w tym samym kolorze co kostium, z niskim okrągłym denkiem, szerokim rondem i atlasowymi falbankami udrapowanymi z tyłu. Denko opasywała szeroka płócienna biała wstążka, dobrana do białych rękawiczek leżących na stole i białej torebki zwisającej z oparcia krzesła. Kapelusik był włożony lekko na bakier, co stwarzało pozory beztrudnej skromności.

No i perły - na szyi sznur maleńkich i po jednej większej w każdym maleńkim kolczyku. Pantofle Murzynka miała w tym samym żółtym kolorze co sukienka i kapelusz, a pończochy z czystego jedwabiu. Pomadka na ustach, dopasowana kolorem do lakieru na paznokciach, była jasnoczerwona, lecz nie za bardzo, nie wyzywająca, nic z tych rzeczy. Parasolka też była jasnożółta, a na krześle obok leżał biały koronkowy szal. Cała postać kobiety wydawała się absolutnie doskonała. Vaughn Rhomer usiłował wyobrazić sobie Marjorie w stroju Murzynki, lecz bardzo szybko się poddał.

Znalazła chusteczkę, której szukała w torebce, i uniosła głowę. Rhomer opuścił wzrok na swą filiżankę kawy. Była już prawie pusta, więc skinął na kelnera; w tej chwili czarnoskóra kobieta spojrzała na niego i na jeden moment wszystko zamarło; drżenie i oczekiwanie przebiegły mu przez serce niczym ćma krążąca wokół ulicznej lampy. Nie uśmiechnęła się, choć wydawało się, że to zrobi, zanim odwróci wzrok, i popatrzyła gdzie indziej.

Kelner wrócił z następną kawą i Rhomer znowu wrócił myślami do Marjorie. Na pewno zrzędziłaby, że pije kawę. Nie tylko tę drugą, ale nawet pierwszą.

- Vaughn, przecież wiesz, że kawa szkodzi ci na żołądek, zwłaszcza jeśli pijesz ją wieczorem. Znowu nie będziesz mógł zasnąć i wstaniesz następnego dnia zmęczony i nie w humorze.

*Marjorie,
O Marjorie,
Robiłaś co w twojej mocy,
Lecz teraz sen jest mi już niepotrzebny.*

Kiedy kelner postawił przed nim kawę, usta Vaughna Rhomera, bez żadnego polecenia z mózgu, powiedziały:

- Poproszę także o brandy.
- Jaką, proszę pana?

Vaughn Rhomer zupełnie nie znał się na brandy i zarumienił się po uszy, gdy to sobie uświadomił. Kelner patrzył na niego uprzejmie.

- El Domingo - wypalił, wymyślając nazwę bez mrugnięcia okiem. Wydawało mu się, że tak może się nazywać brandy.

- Przykro mi, proszę pana, ale tego gatunku nie mamy.

- W takim razie... cokolwiek, to co pije ta pani. - Wskazał głową Murzynkę, która znowu słuchała Ariendo Vincenta.

Kelner także na nią spojrział i skinął głową.

- Tak jest. - A potem odszedł.

Przed kilkoma minutami ten sam kelner postawił przed nią drugi kieliszek brandy - Vaughn mógł przecież zaproponować, że go jej postawi. Dlaczego tego nie zrobiłem? Dlaczego nie schyliłem się, kiedy grzebała w torebce, i nie spytałem: „Czy mogę mieć zaszczyt zapłacenia za pani drinka, madam?”

Podjeżdżał, że takie posunięcie mogłoby wyglądać na podryw. Podryw... jak można by poderwać tę kobietę? Vaughn Rhomer nie miał pojęcia. Nigdy nie potrafił tego robić. To cholernie zawstydzające i smutne - oskarżał znowu sam siebie - że masz sześćdziesiątkę na karku i nie wiesz, jak się odezwać do kobiety.

Siostrzeniec Jack Carmine na pewno by wiedział. Jack zawsze czuł się swobodnie w towarzystwie pań. Po prostu podszedłby do niej i powiedział: „Ńdobry pani. Nazywam się Jack Carmine i pochodzę z Alpine w Teksasie. Można się przysiąc?”

Gdyby się zgodziła, byłoby fajnie. Gdyby natomiast odmówiła, nic strasznego; po prostu wróciłbyś do punktu wyjścia. Taka była w tym logika; ale logika to zupełnie co innego niż brak doświadczenia, źródło strachu. No i jeszcze nieśmiałość. Vaughn Rhomer nie miał doświadczenia i był w dodatku nieśmiały.

Został więc tam, skołowany, rozmarzony i pragnący, pochłonięty niby to płaceniem kelnerowi i układaniem swej wełnianej czapki z krótkim daszkiem i guzikiem na czubku tak, by z filiżanką kawy i kieliszkiem brandy tworzyła trójkąt równoboczny. Popatrzył na czapkę, filiżankę i kieliszek na marmurowym blacie i stwierdził, że podoba mu się ta harmonia. Po tej próbie zajęcia uwagi czymś poza Murzynką stał ze stołu cukier puder, który spadł mu wcześniej z pączka, uważając jednocześnie, by nie zrzucić go sobie na beżowe spodnie, ciemnobrązową marynarkę, ani też na brązowe półbuty, które kupił sobie specjalnie na ten wyjazd. Jednocześnie zerkał spod oka na ciemnoskórą kobietę. Ariendo Vincent grał właśnie „Karnawałowy poranek”, a ona powoli kołysała głową w rytm tej samby.

A wracając do problemu: jak można by doprowadzić do tego, by ciało tej kobiety choć raz dotknęło jego ciała? Jak choć raz przekroczyć granicę swego życia i przenieść się do prowincji, gdzie liczy się tylko słodkie uniesienie? Siostrzeniec Jack wiedziałby, jak to zrobić; znał się na sztuce publicznego uwodzenia. Ale Jack był gdzie indziej. Teksas Jack Carmine zawsze znajdował się poza zasięgiem ręki.

V

Zachodni Wietnam -1972

Drogi wuju Vaughnie,

Siedzę sobie właśnie w podłej dziurze nieopodal granicy z Kambodżą, piję ciepłe piwo i czekam na dalsze rozkazy. Znowu jest tu wilgotno i gorąco. Zawsze jest wilgotno i gorąco, w ciągu ostatnich sześciu dni padało nieomal bez przerwy. Cholerne, niewiarygodnie głębokie błoto jest wszędzie dookoła i żeby gdziekolwiek się przedostać, trzeba chodzić po deskach, inaczej wessie cię na amen. Palacz Gówna (mały Wietnamczyk, któremu dokładnie za to płacimy i który jest prawdopodobnie zakamuflowanym członkiem Wietkongu) wyciąga ścierwa z latryn i pali je, polewając ropą. Mój kumpel struga tygrysa z kawałka drewna, a trzech faceci po drugiej stronie namiotu urządzają wyścigi karaluchów i robią zakłady, który dojdzie pierwszy. W radiu ciągle grają Doorsi i Samolot Jeffersona. Jeżeli jesteśmy już przy samolotach, a właściwie śmigłowcach, z samego ranka poleciałem dziś z zadaniem; wystartowałem, gdy było jeszcze ciemno i właśnie żółtki przeprowadzały atak na nasze pozycje; wróciłem jeszcze przed wschodem słońca - wysadziłem kapitana, obserwatora i istną kobrę imieniem Clayton Price w jakimś zapomnianym przez Boga zakątku dżungli. Nie powiedzieli mi, dokąd zmierzają, i nadal tego nie wiem. Jednak dolecenie na miejsce zajęło nam sporo czasu i odnoszę wrażenie, że wysadziłem ich duży kawał za granicą Kambodży. Już kiedyś widziałem tego Clayтона Price'a. Ma dziwne oczy, jakby niebieskie albo szare - ciągle nie wiem jakie. Porusza się powoli i prawie wcale nie odzywa; słyszałem, jak kapitan wołał na niego „Żółw”. Podobno jest snajperem i potrafi przywalić ci w sam środek czoła z odległości 1500 jardów. Miał ze sobą karabin remington 700 z lunetką Redfielda; to doskonale strzelający skurwysyn, tak czysty, jakby przed chwilą wyszedł z fabryki. Nie chciałbym znaleźć się po drugiej stronie lufy, spoglądając w kierunku zabójcy imieniem Żółw i nawet go nie widząc z tej odległości w gęstym podszyciu dżungli. Ci snajperzy to jakby inny gatunek człowieka; są strasznie skryci i jednocześnie zachowują się tak, jakby uważali się za jakichś cholernych artystów. Tak się złożyło, że to nie ja poleciałem po nich z powrotem. Słyszałem, że mieli kłopoty, i helikopter, który po nich poleciał, wrócił tylko z załogą. Zastanawiam się, co się stało z tym Claytonem Price'em? Jeszcze jeden zaginiony w akcji.

Nic nowego.

Facet siedzący obok mnie jest dziennikarzem; nazywa się Sean Flynn i jest synem Errola Flynna (bez żartów!). Jest szalony, podejmuje ryzyko, kiedy to zupełnie nie jest konieczne, choć z drugiej strony, to w porządku gość. Nauczyłem się nienawidzić większości tych cholernych pismaków. Wielu ich przylatuje tutaj, by napisać o wojnie, i zadaje nam głupie pytania, w stylu „boisz się?”. A potem, wieczorami, przesiadują sobie na patio hotelu Continental w Sajgonie i popijają drinki - regularna praca od ósmej do szesnastej. Uważają się za twardzieli - lubią powtarzać, że mają „jaja z granitu” - cóż za kulawy żart! Różną wietnamskie dziewczyny i kłamią, że kiedy wojna się skończy, zabiorą je ze sobą do Stanów. Pierwszy raz, kiedy zobaczyłem tego Clayтона Price'a, jakiś dziennikarz usiłował go namówić na zwierzenia; wydusić z niego historię prawdziwego snajpera. Włóczył się za nim i nie chciał się odczepić. Po mniej więcej godzinie tego gówna Price wyciągnął nóż zza pasa, złapał palanta za kudły i wsadził mu czubek noża do nosa. Nie słyszałem, co powiedział, ale pismaczyna zbladł jak ściana i wyniósł się stamtąd do wszystkich diabłów, i to szybko - tak to było!

Facet z pryczy obok został parę dni temu ukąszony przez szerszenia w latrynie i zmarł cholernie nieprzyjemną śmiercią - podobno masz czas na zapalenie papierosa i zaciągnięcie się parę razy, a potem zaczyna się agonia i człowiek jest nie do uratowania. Jednak jest w tym wszystkim coś fascynującego; może zgłoszę się na ochotnika na następną kolejkę, gdy skończy się moja obowiązkowa służba w tej dziurze. Wszystko jest lepsze od kładzenia rur w powiecie Brewster w Teksasie.

Uważaj na siebie, wuju Vaughnie - i pamiętaj, by warzywa na półkach były zawsze świeże.

Jack.

VI

Otter Falls, Iowa, październik 1986

Półciężarówka chevy z pociętymi zderzakami przyjechała drogą numer 63 i wtoczyła się do miasta późnym popołudniem w czasie, gdy dni robią się coraz krótsze. Było już prawie ciemno. Vaughn Rhomer właśnie kończył pracę przed pójściem do domu - układał czerwoną cebulę. Jest pewien sposób takiego wykładania towaru na półce, by wydawał się klientowi bardziej ponętny. Niektórzy z młodszych pracowników tego nie pojmowali i po prostu wyrzucali warzywa na półki, nie poświęcając uwagi wyglądowi i aranżacji. Usiłował im wyjaśniać, na czym polega właściwe ułożenie towaru, lecz chyba ich to nie obchodziło i nadal robili po swojemu, zostawiając Vaughnowi Rhomerowi, menedżerowi działu, sprawy do wyprostowania.

- Ńdobry, wuju Vaughnie.

Vaughn Rhomer odwrócił się; poznał ten głos i uśmiechnął się, zanim jeszcze zobaczył siostrzeńca.

Jack Carmine stał w przejściu w starej skórzanej kurtce, czapeczce z logo drużyny North Stars, z szerokim uśmiechem na twarzy i podrzucał w prawej ręce woreczek z Granny Smith. Obok niego stała atrakcyjna kobieta, która najpierw zerknęła na Vaughna Rhomera, a potem szybko odwróciła wzrok i zaczęła się bawić torebką rzodkiewek.

Jack wyczuwał, jak się mają sprawy z Marjorie, więc kiedy co parę lat przejeżdżał przez Otter Falls, zawsze zaglądał po Vaughna do sklepu albo też dzwonił do niego do domu z budki telefonicznej. Jeżeli to Marjorie odbierała, odkładała słuchawkę i mówiła:

- Vaughn, dzwoni chłopiec Lorraine. Nie chcę, żeby kręcił się w pobliżu Nathana.

Nieopodal sklepu „Najlepsza cena” znajdowało się centrum handlowe; przechodząc przez parking, Vaughn Rhomer i jego siostrzeniec Jack rozmawiali o pogodzie i cenach sałaty.

- Słyszałem, że w Minnesocie już sypie śnieg.

- Taak, właśnie stamtąd jedziemy. Uciekliśmy w ostatniej chwili.

Linda Lobo szła o krok za nimi, więc Jack zaczekał na nią. Ujął ją za rękę i uśmiechnął się do niej - uśmiechał się do niej cały dzień, jakby miał w zanadrzu jakieś tajemnicze plany, w które jeszcze jej nie wtajemniczał, lecz które zdradzi w odpowiednim czasie.

Vaughn Rhomer lubił Jacka, podziwiał go, ale zawsze czuł się przy nim nieco skrepowany. W końcu Teksas Jack Carmine był jednym z tych, którzy wyruszyli z domu, którzy znali Wielką Drogę i powinno im się z tego tytułu okazywać szacunek. Siedzieli w małej restauracji w centrum handlowym tuż obok fontanny, której biały szum był stanowczo zbyt głośny. Jack odpowiadał na pytania Vaughna Rhomera o drogę, o to, gdzie był i co robił. Linda wypłała małą butelkę piwa korzennego i od czasu do czasu uśmiechała się do Vaughna.

Vaughn Rhomer zapytał o swą siostrę.

- Jak się czuje Lorraine? Widziałeś się z nią ostatnimi czasy?

- Nie, nie od czasu, kiedy pojechała do Kalifornii i zbratała się tam z panem Babą, czy jak on tam siebie nazywa, i dodała pierwotne wycia do swego repertuaru zachowań, tuż zanim wyruszyli do Nowego Meksyku. Píše do nas czasami, pyta o ciebie, Earla i Jęczyduszę.

Lorraine Rhomer, starsza siostra, najpierw z warkoczykami, a potem z długimi brązowymi włosami rozpuszczonymi na ramiona, starsza siostra, którą Vaughn strasznie lubił, która zbuntowała się wcześniej i poślubiła Poly'ego Carmine'a w wieku osiemnastu lat wbrew woli rodziców. Vaughn Rhomer pamiętał do tej pory wrzaski i krzyki dobiegające z sypialni na górze, gdy w trzydziestym dziewiątym Lorraine pakowała się do wyjazdu.

- Na miłość boską, mamó, już noszę w sobie dziecko, a jego ojciec ma ranczo w Teksasie! Jedziemy tam, czy ci się to podoba, czy nie!

Państwo Albertostwo Rhomerowie nigdy więcej nie odezwali się do córki i umarli w przekonaniu, że ta zbłąkana owca nie należy do ich rodziny.

Jack zauważył, że oczy wuja zasnuwają się mgłą.

- Z Rainy wszystko jest w porządku, wuju Vaughnie - powiedział cicho. - Wzneniła się w gromadę dzikich kowbojów z południowego Teksasu i miała ciężkie życie, kiedy się tak teraz nad tym zastanawiam. Cokolwiek tam robi z tym swoim Bababoo, wydaje się szczęśliwa. A tylko to się dla mnie liczy. Zawsze pyta o ciebie i przekazuje ucałowania i uściski, na wszelki wypadek, gdybym wpadł na ciebie po drodze. - Jack nie dodał, że Rainy zawsze pisała w postscriptach swoich listów: „Powiedz Vaughnowi, by wreszcie rzucił starą Marjorie i przyjechał tu do mnie, w góry; znam kobiety w jego wieku, które nadal tańczą nago w świetle księżycy i z chęcią zakochałyby go na śmierć”. Jack nigdy nie mówił o tym swemu wujowi; wydawało mu się, że po prostu nie wypada mówić mu takich rzeczy.

Jack i Linda siedzieli naprzeciw Vaughna Rhomera, który od czasu do czasu zerkał na Lindę. Nic nie mówiła, tylko uśmiechała się miło. Vaughn Rhomer zauważył, że oboje z Jackiem mają ten sam zmęczony wyraz oczu. Łatwo wybuchali śmiechem i często się uśmiechali, lecz... lecz było w oczach Lindy Lobo i Jacka Carmine coś starego i bardziej zmęczonego, niż Vaughn Rhomer kiedykolwiek wyobrażał sobie, że jest możliwe.

W pewnej chwili Vaughn Rhomer usłyszał donośny, przenikliwy głos Nathana gdzieś w centrum handlowym. Chłopak wraz z przyjaciółmi kręcił się dokoła fontanny, moczając tyłek, lecz udając jednocześnie, że tego nie zauważa. Vaughn Rhomer przeprosił na chwilę i

podszedł do fontanny.

- Nathan, chodź i poznaj swego kuzyna, Jacka Carmine'a. Razem z przyjaciółką wpadli tu na parę minut.

Matka Jacka, starsza od Vaughna o dziesięć lat, urodziła syna, gdy miała dziewiętnaście, więc trudno było sobie wyobrazić, że Jack i Nathan są kuzynami w tym samym pokoleniu. Jeszcze trudniej było to zrozumieć, gdy widziało się ich siedzących naprzeciw siebie przy stoliku w restauracji.

Nathan podszedł bardzo niechętnie. Propaganda Marjorie na temat Jacka mocno zapadła mu w pamięć i chłopak miał wrażenie, jakby szedł na spotkanie ze wszystkimi grzechami kiedykolwiek popełnionymi. Poza tym Nathan nie przepadał za starymi ludźmi, a Jack był stary. No i jak się okazało, Jack Carmine budził w Nathanie paniczny strach, nie musiał się nawet odzywać. Jack wstał, gdy wuj Vaughn wprowadził syna do restauracji.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Miło mi cię poznać, Nathan. Wuj Vaughn często mówił mi o tobie.

Nathan burknął coś, odgarnął kosmyk włosów z czoła i spojrzał na swoich przyjaciół stojących przy fontannie i śmiejących się z niego. Przewrócił oczyma w kierunku Jacka Carmine'a i wrzasnął:

- Zaraz wracam!

- Idziemy pod arkady, Nathan! - odrzyknął jeden z nich. - Przyjdź do nas potem, jeżeli nie jesteś zbyt zajęty.

Odeszli, oglądając się za siebie i śmiejąc do rozpuku.

- Jack i jego przyjaciółka Linda są w drodze do Teksasu, Nathan. To ładny, duży kraj...

- A skąd to możesz wiedzieć, tato? Byłeś tam kiedy? - Naśmiewanie się z Vaughna Rhomera było już rodzinną tradycją i wszyscy robili to zarówno w domu, jak i publicznie, zupełnie nie licząc się z tym, że ktoś obcy może słuchać.

- Nie.

- Więc skąd wiesz, że to taki duży, ładny kraj? - Nathan wygrzebywał sobie coś z ust małym palcem.

- No cóż... ludzie tak mówią, ci, którzy tam byli - Vaughn Rhomer zaczerwienił się lekko.

Nathan potrząsnął głową.

Linda Lobo zobaczyła, że Jack zaciska szczęki. Zapalił papierosa i wsadził go do ust.

- W której jesteś klasie, Nathan? - Szczerzył zęby w charakterystycznym uśmiechu Jacka Carmine'a, który Linda miała dopiero poznać, a który sugerował, że kłopoty zbliżają się z szybkością błyskawicy.

- W drugiej. - Nathan popatrzył na sufit i zaczął obracać w palcach łyżeczkę od kawy Vaughna Rhomera.

- Nathan chce iść do college'u i uczyć się na księgowego - odezwał się Vaughn.

Jack podrapał się po policzku. Nadal się uśmiechał.

- Skąd wiesz, że chcesz zostać księgowym, Nathanie? Nie ma w tym nic złego, rzecz jasna, ale zastanawiam się, skąd taki młody człowiek jak ty wie, co chce robić przez resztę życia. Zawsze wydaje mi się dziwne, gdy siedemnastoletni chłopiec postanawia, jakim zostanie czterdziestolatkiem.

Nathan nie przepadał za filozofią; lubił liczby i powiedział to.

- Lubię liczby.

- A co lubisz z nimi robić? Dotykać ich, liczyć je, przeganiać przez głowę powtarzając: „Jeden, dwa, trzy, cztery...” przez cały czas... czy co?

Nathan nagle odniósł takie dziwaczne uczucie, jakby wszedł do kanionu pełnego grzechotników, które odcinają mu drogę powrotną i przepychają w stronę króla grzechotników, wylegującego się na kamieniu, palącego pall malla i szczerzącego w uśmiechu zęby.

- Po prostu podoba mi się, że można dodać jeden do jednego i otrzymać dwa. - Nathan nagle przybrał pewny siebie, nieprzyjemny wyraz twarzy; kiedy patrzył na Jacka, coś podobnego do pogardliwego grymasu wykrzywiło mu usta. Ani kuzyn Jack, ani ten kawał baby z nim nie zasługiwali na jego szacunek. - A co ty chciałeś robić, gdy miałeś siedemnaście lat? Planowałeś, że będziesz kładł rurociągi albo prowadził kombajny, czy co tam robisz? - Zerknął na Linde Lobo w jej dżinsowej kurtce i workowatym golfie; był pewien, że ona także nie robiła nic wartościowego oprócz trzymania się z tym - jak to mówiła jego matka - „trudnym elementem”.

Jack Carmine zgasił papierosa; cały czas patrzył Nathanowi prosto w oczy.

- Ano nie. Chciałem prowadzić samochody wyścigowe i być wspaniałym kochankiem dla wielu pięknych kobiet. Nigdy nie udało mi się z samochodami, ale ta druga część wychodzi mi wcale nieźle.

Linda zduśiła śmiech i tylko uśmiechnęła się szeroko.

- Muszę lecieć - odezwał się Nathan i wstał od stolika. - Miło było was poznać - dodał, nie patrząc ani na Jacka Carmine'a, ani na Lindę Lobo; i odszedł.

Jack wstał i poszedł za nim.

- Zaraz wracam - rzucił przez ramię w stronę Vaughna Rhomera i Lindy. Dogonił Nathana przy fontannie i klepnął go po ramieniu.

Nathan obrócił się, zaskoczony i nagle całkiem sam, bez wspierającego towarzystwa spokojnych starszych ludzi. Dawno temu nauczył się, że jeżeli starsi są w większej grupie, można powiedzieć prawie wszystko i ujdzie to na sucho, gdyż dorośli nie będą chcieli robić awantury. Ale teraz patrzył w zimne oczy, lodowate brązowe oczy, które nie uśmiechały się, mimo iż usta rozciągnięte były szeroko.

- Nathanie, życzę ci z całego serca, byś został księgowym, jeśli tego właśnie pragniesz. Co więcej, sugeruję, byście wraz ze znajomymi nie jadali zbyt pikantnych rzeczy, bo mogą uszkodzić wasze wrażliwe dupcie, wychodząc drugą stroną. Ale tak naprawdę, mam ci do

powiedzenia tylko jedną ważną rzecz. Mój staruszek, Poly Carmine, był szalony jak górski świstak, lecz nigdy nie traktowaliśmy go tak, jak ty traktujesz swego ojca. Nigdy też nie odnosiliśmy się z taką wyższością do starszych, jak ty to robisz. W tej chwili jesteś cały w skowronkach, bo czujesz się bezkarnie i bezpiecznie, znajdujesz się pod ochroną wspaniałego systemu, kochających rodziców i dobrej szkoły. Wszystko jest jasne i przyjemne. Ale za kilka lat znajdziesz się w moim świecie, który nie jest już taki łatwy i przyjemny. I jeśli kiedykolwiek odniosę choćby najłżejsze wrażenie, że znowu obraziłeś mego wuja - jednego z ostatnich dobrych i łagodnych ludzi na świecie - swym niewyparzonym jęzorem, zaczekam, aż dorośniesz, i wetknę ci kostkę szarego mydła do tego pieprzonego gardła tak głęboko, że wyjdzie drugim końcem z takim impetem, iż odbije się od sufitu. Jesteś dupkiem, Nathanie. I jeszcze jedno: trzymaj się z dala od Teksasu, bo nie pociągniesz tam długo.

To powiedziawszy, Jack wrócił spokojnie do Vaughna i Lindy.

- Chciałem tylko przypomnieć Nathanowi, żeby wpadł do mnie na rancho, kiedy będzie przejeżdżał przez południowy Teksas.

Vaughn zerknął na swój wojskowy zegarek.

- Muszę wracać do domu na kolację. Marjorie nie lubi, kiedy się spóźniam. - Chciał rozmawiać z Jackiem całą noc, pić dobry alkohol, który Jack na pewno potrafiłby zamówić, i usłyszeć wszystko o Drodze i dniach w Wietnamie, o których miał mgliste pojęcie z listów Jacka. Ale nie mógł tego zrobić.

- Do której otwarte jest to centrum, wuju Vaughnie? - spytał Jack.

- Do dziewiątej. Chcecie coś kupić?

- Nie. Pomyślałem, że pokręcę się tu wokół tej fontanny i zobaczę, czy nie przystanie obok mnie ktoś interesujący. Jeśli tak, to może porozmawiam z nim i spróbuję nieco poszerzyć mą wiedzę o naszych przyszłych naukowcach i biznesmenach.

Vaughn Rhomer uściśnął Jackowi dłoń, a potem potrząsnął ręką Lindy.

- Bardzo się cieszę, że wpadliście. Oboje.

- Miło było znowu cię zobaczyć, wuju Vaughnie.

- Miło było pana poznać, panie Rhomer.

Vaughn Rhomer przeszedł przez centrum handlowe, obok księgarni, obok sklepu z butami i obok kwaciarni, po czym zniknął za rogiem w swej beżowej kurtce i wojskowych butach.

- Wydaje się szalenie sympatycznym człowiekiem, Jack.

- Vaughn Rhomer to istny skarb, w swoim rodzaju. Czasem mam nadzieję, że znajdzie nagą damę tańczącą w świetle księżycy, która czekała na niego przez całe życie.

- Skąd ci ten pomysł przyszedł do głowy?

- To tylko życzenie, które mam dla wuja Vaughna, to wszystko. A teraz chodźmy po zakupy. - Ujął Lindę Lobo za rękę i przechylił głowę na bok. - Musimy sprawić tańczącej damie ładne fatalaszki, skoro już jesteśmy tu, w Otter Falls, w Iowie.

- Co takiego?

- Chodź. Porozmawiamy o tym po drodze w tym tunelu amerykańskiego szaleństwa.

SPEARMAN & CRAWFORD

UBIORY DLA ELEGANCKICH PAŃ

Jack przeprowadził ją pod szyldem i wciągnął do sklepu; znaleźli się w świecie perfum, biżuterii i strojów, zajmujących co najmniej pół akra.

Wypatrzył starszą, elegancko ubraną sprzedawczynię, która poprawiała ubrania na wieszakach.

- Poczekał tutaj, za chwilę wracam - powiedział do Lindy. Podeszedł do sprzedawczyni, zdjął czapkę i potrząsnął dłonią kobiety. Jack Carmine znowu uśmiechał się swym czarującym, przyjacielskim uśmiechem i kiwnął głową w stronę Lindy Lobo. Sprzedawczyni także skinęła głową i podeszła do niej wraz z Jackiem. - Wykwipujemy cię jak należy, panno Lindo. Ta miła pani to Anna Wilhelm, tak przynajmniej jest napisane na jej identyfikatorze, która zna każdą sztukę odzieży wiszącą w tym sklepie. Ja odejdę na bok, podczas gdy wy będziecie buszować między intymniejszymi elementami damskich fatalasek - nigdy nie czułem się swobodnie w tym szczególnym dziale sklepów z odzieżą. Zawsze mam wrażenie, że publicznie podpatruję coś, co powinno być prywatne. - Uśmiechnął się ciepło do Lindy Lobo. - Weź wszystko, czego ci potrzeba, tańcząca damo, a potem podwój zamówienie. Koszty nie grają roli. Wszyscy musimy wyglądać jak najlepiej, gdy jutro odwiedzimy małą Sarę Margaret, a zaraz później ruszymy z nią do Alpine.

Potem Jack przeszedł przez główny pasaż centrum handlowego i wszedł do sklepu w stylu westernowym; tam kupił nowe wranglery dostosowane do noszenia wysokich butów rozmiar 33 oraz dwie flanelowe koszule. Obejrzał paski, lecz żaden mu się nie spodobał. Sprzedawca podał mu szary kapelusz stetson i zaproponował, by Jack go przymierzył.

- Nie... - odparł Jack, mimo iż włożył kapelusz na głowę. - Nie wydaje mi się; mam już dwa takie w domu i tylko wiszą samotnie na kołkach, czekając, aż wrócę z włóczgi.

Wróciwszy do Spearmana & Crawforda, zobaczył Lindę wraz z Anną Wilhelm daleko na końcu długiego stojaka z ubraniami. Podnosiły poszczególne szmatki do góry na wieszakach, oglądały je i kładły niektóre na wierzchu stojaka.

Linda uśmiechnęła się, widząc, że Jack idzie w jej stronę. Na krześle za nią leżały podstawowe elementy garderoby ozdobione wstążeczkami i koronkami, czarne, różowe i żółte, a także turkusowe - rzeczy, które miały później znaleźć się poza zasięgiem wzroku.

Podczas gdy Anna Wilhelm zdejmowała z wieszaka spodnie, Linda podniosła z krzesła czarny koronowy komplet bielizny; przekrzywiając głowę w ten swój charakterystyczny sposób, spytała:

- Jak ci się podoba?

Jack naciągnął swą czapkę z logo „North Stars” głębiej na oczy i udał, że zatacza się z wrażenia.

Anna Wilhelm odwróciła się, zerknęła na Jacka, spojrzała na Lindę, a potem przeniosła wzrok na kaskadę koronek i wstążeczek. Poprawiła skrawki materiału leżące na krześle.

- Wszystkie młode damy kupują teraz te słodkie i seksowne modele - rzekła, patrząc mu w oczy.

Jack skinął głową.

Linda trzymała spodnie i sweter.

- Jack, potrafię sama podejmować życiowe decyzje i ogólnie rzecz biorąc lubię to robić, lecz w tym wypadku przydałaby mi się twoja rada. Nie jestem przyzwyczajona do robienia zakupów w tym stylu... całe to mnóstwo możliwości trochę uderza mi do głowy.

Jack wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Miałem nadzieję, że to powiesz.

Na stojakach wisiało całe mnóstwo wełenek i bawełny w kolorach ziemi i innych, weselszych też. Linda wchodziła do przebieralni i wychodziła, potem wracała i przychodziła w czymś innym.

Anna poleciła chłopcu z obsługi przynieść krzesło dla Jacka, więc usiadł wygodnie, położył czapeczkę na kolanie i uśmiechał się szeroko.

- Dobrze się bawisz, tańcząca damo? Bo ja tak.

Linda lekko się zarumieniła i energicznie pokiwała głową w górę i w dół, z tak wielkim przejęciem, że mogło to oznaczać tylko prawdziwe i absolutne „tak”.

- Czuję się jak dziecko w sklepie ze słodyczami. Ale to wszystko będzie kosztować fortunę. Lepiej ustal jakieś limity, kowboju.

- Daj mi znać, gdy zajedziemy w pobliże jakiegoś półtora tysiąca albo coś około. Może na początek okrążymy tę sumę, co?

Anna Wilhelm uśmiechnęła się i zerknęła na zegar ścienny; po raz pierwszy od dawna miała nadzieję, że tej nocy czas będzie płynął wolniej.

- Tu jest coś bardzo ładnego - odezwała się, unosząc do góry szeroki sweter w kolorze śliwkowym z szerokim wycięciem na szyję i lekkim rozcięciem, zapiętym na pojedynczy perłowy guziczek. - To wygląda wyjątkowo elegancko w połączeniu z czarnymi legginsami.

- No cóż, w końcu to właśnie o elegancję nam chodzi - odparł Jack; szeroki uśmiech nadal gościł na jego twarzy.

I pomyśleć, że zostawiła bar Rainbow za sobą raptem czterdzieści dwie godziny temu! Linda Lobo weszła do przymierzalni, po czym wynurzyła się z niej w śliwkowym swetrze i czarnych legginsach; był to strój, jakiego nigdy wcześniej w życiu nie miała.

Jack wyrzucił swą czapeczkę w powietrze i powiedział:

- Południowy Teksasie, kraino ostatnich wolnych mężczyzn, głosuj na ten model i nic więcej! Podobają mi się te, jak im tam, legginsy! Może pasowałyby do nich takie wysokie czarne buty, co? Widziałem coś takiego w jakimś magazynie.

Anna Wilhelm nie mogła się z tym nie zgodzić, więc wysłała chłopca do sklepu z butami

po różne buty, kozaczki i szpilki, wymieniając dokładnie kolory, fasony i rozmiar. Młody człowiek wrócił po chwili z wózkiem na zakupy wypełnionym pakunkami, tylko po to, by sprzedawczyni wysłała go do sklepu z biżuterią z nowymi poleceniami.

Długa biała bluzka z dużym kołnierzykiem i szerokimi rękawami - Anna Wilhelm nazwała ją „ogromną męską koszulą, która będzie także pasować do legginsów i wysokich butów” - zyskała sobie aplauz Jacka i Anny, kiedy Linda wyszła w niej z przymierzalni, mając na sobie jeszcze szykowną czarną skórzaną kamizelkę.

Dzinsy, beżowe i granatowe spodnie, żółty, czerwony i ciemnozielony sweter, kilka par legginsów w różnych kolorach tworzyło stale rosnące stosy na stojakach nieopodal. Kiedy Anna Wilhelm włożyła Lindzie na głowę miękką wełnianą czapkę i powiedziała:

- To jest bardzo stylowe, jeśli lubi pani taki styl.

Linda popatrzyła w lustro i wybuchnęła śmiechem.

- Chyba jednak nie.

Jack włożył swą czapkę tyłem na przód.

- Mnie też się nie wydaje. Znam psa, który ma na imię Jęczydusza i strasznie stare serce; nigdy nie wyszedłby z szoku. A teraz, znajdź sobie jakiś kostium kąpielowy z powodów, których w tej chwili nie mam prawa zdradzić.

Anna Wilhelm przeszła do innego działu i przyniosła ze sobą coś, co Jackowi przypominało skrawki materiału, może małe ściereczki. Linda przymierzyła kostium za zaciągniętymi zasłonkami i odmówiła wyjścia, żeby się pokazać. Jack zaprotestował, lecz odparła z za zasłony:

- Tu jest strasznie nieprzytulnie. Będziesz musiał zaczekać do chwili, aż odkryjesz przede mną swe tajemnicze powody.

- No dobra. Masz rację. A nie wzięłaś żadnej sukienki? Powinnaś mieć choć jedną dobrą sukienkę, żebym mógł cię zabrać do hotelu w Alpine i udawać, że sprowadziłem cię z Paryża na jedną noc w wiadomym celu.

Czarna - z jakiegoś powodu wrócili do czarnego koloru, kiedy przyszło do wybierania sukienki, co zajęło dość dużo czasu. Ale nadszedł moment, chwila w życiu Teksas Jacka Carmine'a, kiedy wszystko złożyło się w całość i po raz pierwszy od dawna czuł się szczęśliwy.

Anna Wilhelm uśmiechnęła się.

- Zobaczmy to - powiedziała i przeszła z Lindą Lobo do przymierzalni.

Kiedy Linda wynurzyła się z za kotary, nie wyglądała już jak Linda Lobo, tańcząca dama, lecz jak ktoś zupełnie inny, ktoś jakby... ktoś, kogo Jack Carmine nigdy wcześniej nie widział na oczy. Sukienka, sięgająca poniżej połowy ud, uszyta z jednego kawałka materiału, była wąska i miała bardzo głęboki dekolt w szpic oraz pelerynkę opadającą z ramion aż do pasa. Linda miała rozpuszczone włosy, szczesane na jedną stronę przez Annę Wilhelm, na nogach czarne szpilki i czarne pończochy, a na obu rękach szerokie bransolety z pereł, w uszach zaś

długie kolczyki pasujące do bransoletek.

Linda stała w drzwiach przymierzalni z nieśmiałym uśmiechem, z prawą dłonią na biodrze, lewą nogą lekko wysuniętą naprzód. Taką pozę widziała na zdjęciach modelek z renomowanych domów mody, a jeden nauczyciel tańca w ogólniaku w Altoona usiłował jej nauczyć dziewczęta z trzeciej klasy podczas czterotygodniowego kursu ładnego zachowania. I jedno było tylko dziwne - w tej chwili - że Jack Carmine, mimo iż był szczęśliwy, nagle poczuł się niepewnie.

Nigdy nie wyobrażał sobie, by Linda mogła tak wyglądać, i nagle zobaczył ją jak kogoś, na kogo być może nie zasługiwał, kogo nie ośmieliłby się dotknąć, gdyby przyszło co do czego. Stała i patrzyła na niego.

- No i jak, kowboju, podoba ci się? - spytała cichutko.

Jackowi Carmine'owi rzadko kiedy brakowało słów, lecz tym razem zapomniał języka w gębie. Siedział nieruchomo i spoglądał na stojącą przed sobą kobietę - na jej długie nogi, dłuższe niż długie, i na palce o długich paznokciach, wsparte na prawym biodrze. Siedział, patrzył i potrząsał głową, a na jego twarzy malowało się jakieś głupkowane oszołomienie, jakby rąbnięto go w łeb lewarkiem i teraz nie mógł dojść do siebie.

Anna Wilhelm odsunęła się na bok z uśmiechem na ustach, wiedząc, że w zapadającym zmroku piątkowego wieczora w Otter Falls w Iowie, stworzyła istne dzieło sztuki.

Linda zerknęła na metkę przypiętą do rękawa i podeszła do Jacka, który siedział na krześle jak sparalizowany. Pochyliła się ku niemu i szepnęła:

- Jack, to jest śliczne, i nie mogę uwierzyć, że to ja, gdy patrzę w lustro... ale ona kosztuje sześćset dolarów... to za dużo. Poza tym w tej chwili nie potrzebuję eleganckiej sukni i minie sporo czasu, zanim zdołam ci oddać pieniądze za to wszystko, co już sobie wybrałam.

Jack Carmine zdołał wreszcie jakoś pozbierać się do kupy.

- Tego lata zrobiłem mnóstwo nadgodzin przy ciężkiej maszynierii, więc pieniądze nie stanowią najmniejszego problemu. - Odwrócił się do Anny Wilhelm. - Weźmiemy wszystko, biżuterię, buty, wszystko. Potrzebujemy też ładnej, dużej walizki. Zapomnijmy o pudełkach, z wyjątkiem tych na buty. Znajdź nam walizkę - i to ładną, słyszysz? - i zapakuj do niej cały kram. Doprowadzimy ich do szaleństwa w hotelu Holland w Alpine, w Teksasie.

Po przystanku w dziale z bagażami oraz przy okryciach po długi wełniany płaszcz i lekką parkę, a także w dziale z perfumami i kosmetykami Teksas Jack Carmine sięgnął za koszulę i wyciągnął swój pas z pieniędzmi; wyjął z niego plik studolarowych banknotów i zaczął odliczać należność.

- Bardzo proszę, Anno Wilhelm. Lepiej przelicz to jeszcze raz i zobacz, czy naprawdę jest tam ich siedemnastu chłopaków.

Linda Lobo nie mogła sobie przypomnieć, gdzie ostatni raz widziała banknot studolarowy, nie mówiąc już o siedemnastu leżących na ladzie w trzech kupkach po pięć i jeszcze dwa obok.

Wrócili do pikapa w jasną noc, gdy połówka księżycy świeciła na niebie; Jack pogwizdywał, dźwigając swą torbę z džinsami i koszulami oraz ogromną walizkę; Linda niosła na ramieniu dwa palta w plastikowych, zapinanych na suwak ochraniaczach, a pod pachę z drugiej strony wetknęła pudełka z butami. Światelka centrum handlowego migotały za ich plecami. Było to bardzo dziwne, gdyż oboje myśleli - nie wiedząc, że drugiemu chodzi po głowie to samo - o czarnej sukience i o tym, jak Linda w niej wyglądała. I żadne z nich nie mogło uwierzyć, że dzięki jednej szmatce zaszła w niej taka metamorfoza.

Po przeciwnej stronie ulicy - a może po drugiej stronie świata - naprzeciw centrum handlowego Otter Falls Jack Carmine oparł głowę o ścianę pod prysznicem w łazience hotelu Holiday Inn, w prawej ręce trzymał na wpół opróżnioną butelkę piwa rolling rock. Woda biła w jego ciało i ściekała do wanny, w której przed nim kąpała się tańcząca dama. Teraz, ubrana w nowe czarne koronki, leżała na łóżku, a w pokoju rozbrzmiewała cicha muzyka. W sypialni było ciemno, jedyne światło dawały płomienie dwóch niedużych świeczuszek, które kupili w „Najlepszej cenie”, gdy wrócili do sklepu po piwo, chipsy ziemniaczane i kanapki, które zapakowali wraz z nowym lodem do pojemnika chłodniczego.

Teraz myślała o mężczyźnie, który brał prysznic za ścianą, w wannie z małym pęknięciem tuż przy splotach. I o innych mężczyznach. W wieku trzydziestu siedmiu lat miała już za sobą długi sznurek chłopców i mężczyzn i miała o czym myśleć. Gary - wyszła za niego pięć lat temu, gdyż przekroczyła już trzydziestkę i zaczęła odczuwać przedziwną chęć posiadania dzieci. Za dwa tygodnie uprawomocni się ich rozwód i Gary będzie mógł w spokoju sumienia żyć z inną kobietą, poznaną w biurze fabryki, w której pracował. Na jej temat miał Lindzie niewiele do powiedzenia. „Nancy lepiej mnie rozumie”; to było wszystko.

I Lucas Mathen, któremu oddała swe dziewictwo w parku Hayes w Altoona, w Iowie, pewnej ciemnej, letniej nocy, gdy miała piętnaście lat, a on siedemnaście... i jak robili to ciągle i ciągle w wysokiej, trawie przez wszystkie noce do końca lata, gdy miasto dokoła nich pogrążone było we śnie. Na początku wychodziło im to dość kulawo, lecz jeżeli wziąć pod uwagę fakt, że oboje byli w tych sprawach żółtodziobami, do końca sierpnia zrobili ogromne postępy. Lucas Mathen, który kupował kondomy w automacie męskiej toalety na stacji benzynowej Texaco. Lucas Mathen wcale nie był taki głupi i dobrze go pamiętała...

I inni... inni, inni... tu i tam, pod różnymi pretekstami, które można nazwać uwodzeniem albo pożądaniem, albo tysiącem innych wyrazów, które w tej chwili uciekły Lindzie z pamięci.

I ojciec, który wyjechał na wojnę do Korei, gdy miała zaledwie trzy lata. Przysyłał regularnie listy, lecz to się skończyło, gdy wysłano go w miejsce o nazwie Jalu-Ciang. I mały domek w Altoona, z żółtymi gontami na bokach i szarymi na dachu, który kiedyś należał do dziadków jej matki i przechodził z pokolenia na pokolenie na mocy skomplikowanego i

długiego zapisu w testamencie staruszków. Ten domek o żółtych i szarych gontach był miejscem, gdzie chłopcy z Altoona stukali do drzwi i byli uprzejmiejsi niż ci, którzy w późniejszych czasach czekali na nią w zaparkowanych pod domem samochodach z włączonymi na cały regulator radiami.

Wendell, w 1969. Nigdy do końca nie rozumiała, dlaczego się pobrali. Wydawało się, że powinna to zrobić, a poza tym wszystkie jej przyjaciółki wychodziły za mąż w tym czasie. Dziesięć miesięcy później było już po wszystkim, kiedy Wendell przywłókł do domu jakieś paskudne świństwo, podłapanie od kelnerki w barze szybkiej obsługi. Wykopała jego tłustą dupę i zamiast niego przyjęła pod dach antybiotyki. Potem przez jakiś czas bardzo uważała. Lecz nadal były bary country po pracy i inni mężczyźni, samotność i alkohol, i brzęk stalowych strun gitar przyćmiewający wszelki rozsądek w sobotnie noce.

Więc przed Garym i drugim małżeńskim łóżem jej długie nogi owijały się na biodrach dwudziestu albo więcej kowbojów, którzy ślinili się na samą myśl o tym, co się kryje pod jej bawełnianą bluzeczką i obcisłymi dżinsami. A gdy już się przekonali, co jest pod spodem, nie mieli pojęcia, co z tym zrobić i wydawało się, że są co najmniej lekko przerażeni swym odkryciem. Ale po kilku dniach wszyscy aż przestępowali z nogi na nogę, nie mogąc się doczekać, by zerknąć jeszcze raz i sprawdzić, czy wszystko jest tak śliczne, jak zapamiętali. W ten sposób minęło wiele lat, aż wreszcie zdecydowała się na Gary'ego, skoro nikt inny nie chciał się zgodzić na coś trwałego. I czy to ona pozwoliła im wszystkim przeciec między palcami? Czy też to oni wszyscy ją zostawili? Kiedy czas nie płynie równomiernie, trudno się zorientować, kto podbija stawkę, a kto pasuje.

I biedny Gary, którego podejście do seksu ograniczało się do powiedzenia: „Napaliłaś się już?”. I który nie miał zielonego pojęcia, jak ona się wtedy czuje, nawet niewilgotna i niegotowa na niego; który kochał się z nią tak, jakby chciał to skończyć jak najszybciej i iść pograć w piłkę z chłopakami, a po meczu pójść do baru. Bardzo szybko po ślubie zaczęła nieznosić seksu z Garym i robiła co mogła, by go unikać. Podjęli decyzję o separacji czternaście miesięcy temu, w niespełna dwa lata po tym, jak Sara Margaret przyszła na świat i została ochrzczona po babce Lindy.

W ciągu ostatniego roku trzy razy pojechała do motelu w Des Moines z facetem z American Battery, który był pewną zmianą na lepsze po doświadczeniach z Garym i była mu za to wdzięczna. Starszy facet z Northern Food Procesor był dla niej miły i nie spieszył się w łóżku, dzięki czemu znowu poczuła się seksowna i kobieca; pomyślała, że może warto trochę się rozejrzeć i sprawdzić, czy znajdzie na świecie coś, o czym marzyła, gdy była małą dziewczynką, lecz czego nigdy do tej pory nie spotkała.

W świetle dwóch małych świeczek, przy akompaniamencie dobiegającego zza okna wycia syreny wozu strażackiego spojrzała na porządnie zapakowaną walizkę leżącą na stojaku na bagaż. Patrzyła tak i myślała o Jacku Carmine. Właśnie zakręcił prysznic w małym pokoiku przylegającym do tego, w którym siedziała na łóżku, i widziała się w

lustrze nad toaletką; jej odbicie było dziwnie delikatne w blasku świec.

- Trzydzieści siedem, tańcząca damo... trzydzieści siedem... teraz to już pójdzie z górki - odezwała się na głos, nadal przyglądając się swemu odbiciu. Siedziała sztywno wyprostowana, jej piersi prężyły się wysoko pod czarną koronką i szykownymi wstążeczkami, które dla niej kupił, a włosy opadały swobodnie do połowy pleców.

Widziała to wszystko jasno i wyraźnie; siebie - staruszkę, której staruszek rozstał się z tym światem, staruszkę siedzącą w domu opieki, przywiązaną do kościółka i wiecznie wspominającą łagodną falę ich rozmów opadających przez lata niczym wieko trumny, potrącone nieuważną dłonią pracownika domu pogrzebowego. Staruszki w tych latach wszystkie już widziały tę dłoń spoczywającą na wieku i czas sprowadza się dla nich do tego jednego, nieomal bezgłośnego stuknięcia, i zostają im już tylko wspomnienia. Członkowie pierwotnych społeczności mają rację: jeśli nie potrafisz dotrzymać kroku grupie, umrzyj na szlaku i niech ścierwojady się tobą pożywią. Tak jest i szybciej, i lepiej.

*I... ooooooch, ooooooch... przebrzmiała stara piosenka
wyśpiewana przez staruszkę;
I nieeee... nieeee... przeminęła jego żona-staruszka,
gdy usłyszała ulatujące słowa.*

Znow zerknęła na walizkę i uśmiechnęła się do siebie. Znajdowało się w niej praktycznie wszystko, co miała na świecie, i wszystko to było nowe, a Teksas Jack Carmine pomógł jej to wybrać. Dziwny człowiek z tego Jacka Carmine'a, który dotrzymał wcześniej danego słowa i bawił się równie dobrze jak ona podczas wybierania dla niej strojów w sklepie. A gdy przyszedli do motelu, znowu zaproponował, że wynajmie dla niej osobny pokój, jeśli tylko sobie tego życzy. Ujęła kołnierz jego kurtki w obie dłonie, spojrzała mu w twarz i powiedziała cicho:

- Nie w tym życiu, Jacku Carmine... nie w tym życiu. A na pewno nie dziś w nocy.

Nie dziś w nocy. Nowe stroje, nowe perfumy i dym ulatujący ze świec. W życiu, które zazwyczaj pozbawione było krztyny romantyzmu - jedyny wyjątek stanowiły chyba letnie noce spędzane z Lucasem Mathenem - to wcale nie wyglądało tak źle; najprawdopodobniej najbliższej ideału, jaki tylko można sobie wymarzyć. Kiedy kupowali kanapki i piwo w „Najlepszej cenie”, cały czas zadawała sobie pytanie: Co jeszcze? Co jeszcze? Kiedy stali już przy kasie, przypomniała sobie o świeczkach i wróciła po nie biegiem. Gdy sprzedawca przesunął je pod skanerem, Jack Carmine obrzucił ją spojrzeniem, lecz tylko uśmiechnęła się w odpowiedzi. Teraz żałowała, że nie kupiła do picia czegoś oprócz piwa, na przykład... czego? Szampana; powinna była pomyśleć o szampanie. Teraz już na to za późno, no trudno.

Widząc swe odbicie w lustrze, w czarnej sukni, poczuła dziwne, niemal seksualne podniecenie. Nie, nie „niemal”... to było dokładnie to. Po części dlatego, że Jack Carmine

cały czas patrzył na nią w ten szczególny sposób, ale - szczerze mówiąc - mógłby to być jakikolwiek inny interesujący mężczyzna, i też czułaby się podobnie. Można by to nazwać próżnością, pomyślała, albo jakimkolwiek innym dziwnym słowem, określającym to, czego dobrzy ludzie nie powinni odczuwać. A jednak to narcystyczne upojenie tkwiło w niej głęboko i nie potrafiła się go pozbyć. Przez chwilę, pierwszą i jedyną w życiu, zobaczyła siebie jako nieprawdopodobnie kobiecą istotę, która waha się pomiędzy siłą a poddaniem. Kobieta, która mogła rządzić mężczyznami dzięki swemu umysłowi lub ciału albo zostać przez nich zdominowana, jeśli tak właśnie postanowiła i miała na to ochotę. Kobieta, która mogłaby tańczyć naga na piasku pustyni przed tysiącem mężczyzn w okręgu oświetlonym płomieniami ogniska, słysząc metaliczny brzęk mieczy uderzających o tarcze do taktu z jej roztańczonymi stopami i skapaną w ich pożądaniu; jednak oddałaby się tylko jednemu z nich, ciemnemu wojownikowi, którego sama wybrałaby spośród wszystkich, którzy ją obserwowali i jej pragnęli.

W tym momencie, w tych kilku przedziwnych sekundach czegoś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyła, poczuła jakiś prymitywny instynkt, którego nie sposób określić słowami. Jakby chciała zadrzeć sukienkę i usiąść okrakiem na Jacku Carmine, tam, w sklepie, i prosić, by ją posiadał - lub by ona posiadała jego - odprawić intymne przedstawienie przed oczyma Anny Wilhelm, chłopca na posyłki i każdego, kto wszedłby do sklepu. Teksas Jack Carmine wydawał się najlepszym z możliwych, a może nawet jeszcze trochę lepszym, sądząc po tym, co o nim wiedziała, ale w tej chwili wystarczyłby jej jakikolwiek mężczyzna. Nie chodziło o to, jak wcześniej się widziała, lecz raczej jak siebie nie widziała. I od tego szczególnego momentu Linda Coştam, której nazwisko znane było nielicznym, zmieniła się.

Jack Carmine wyszedł z łazienki z ręcznikiem owiniętym dokoła bioder; śpiewał pod nosem jakąś starą piosenkę, której nigdy nie słyszała, o długich wijących się pociągach i światłach na stacjach zachodnich kolei.

Zatrzymał się, gdy ją zobaczył.

- Dobry Boże, wiedziałem, że będziesz tak wyglądać. Dokładnie tak sobie to wyobrażałem.

Linda Lobo wyciągnęła do niego ramiona i odezwała się cicho:

- Chodź do tańczącej damy, kowboju. Muzyka gra, a czas ucieka.

Słowa tak, lecz na wszystkie późniejsze lata zapamiętała dźwięk jego głosu. Tego pierwszego razu, i wiele razy potem, Jack przemawiał do niej cichym głosem i nie łatwymi, mądrymi słowami, których używał za dnia, lecz słowami przeznaczonymi tylko na noc, na blask świec - a te były zupełnie inne od jego dziennego repertuaru.

Był pierwszy i ostatni, który przemawiał do niej w tych chwilach łagodnymi słowami, w powolny sposób - powolnymi słowami w łagodny sposób. Miała nowe perfumy i nowe koronkowe fatałaszki, jej skóra była miękka od olejków, gładka i pachnąca, brud nocy spędzonych w Dillon zmywał się dzięki wodzie i dzięki niemu, dzięki jego śmiechowi i

zachowaniu, kiedy zdawał się chwiać na krawędzi świadomości, a pozostawał w równowadze właśnie dzięki balansowaniu na jej skraju.

Mężczyzna, którego nazywała kowbojem, kochał się z nią długo i namiętnie tej pierwszej nocy... Jego słowa... nigdy potem nie była w stanie ich sobie przypomnieć... liczył się tylko cichy szept, a nie same wyrazy... w dobre noce, w dobrych czasach, słowa wychodziły z jego ust, nawet gdy dotykał jej wargami, i... pierwsze tanga, ostatnie samoloty i pozbywanie się bólu, słowa o tych sprawach, takie właśnie słowa.

Rozumiał, czego kobieta może pragnąć - czego ona może chcieć - dokładnie tak samo, jak pustynny magik potrafi czytać z układu chmur i widzi w nich to, co dopiero nastąpi. W swe dobre noce, w dobrych czasach, kowboj był cudowny i mówiła mu to, używając jego prawdziwego imienia, zamiast nazywać go „kowbojem” czy „bandytą”; pozwalała, by słowa płynęły z jej ust ciągle i ciągle, bez przerwy... nie wiedziała nawet, że je wymawia... że mówi do niego, nazywając go jego prawdziwym imieniem w kółko i w kółko, bez przerwy.

Miewała fantazje, jak te chwile powinny wyglądać, jak powinna zatracić siebie i własny umysł w jakiejś szaleńczej jeździe przez wysokie, pochmurne miejsca, gdzie nigdy wcześniej nie była, przez kolory życia i nawet samą śmierć, formując się i rozplywając w przestrzeniach umysłu. A z nim, w jego dobre noce i w dobrych czasach, działał się dokładnie tak, jak obiecywały jej sny, i błagała go, by obiecał, że zawsze już tak będzie, by został w niej na zawsze i nie pozwolił, by te chwile umknęły.

A całe lata później wspominała często cienkie pasemka czarnej koronki zsuwające się z jej ramion tamtej nocy i jego wargi wypowiadające ciche słowa, które brzmiały tak, jakby chciał być dla niej dobry, i zbliżające się do jej ust. A całe lata później, przeciągając dłońmi po piersiach i innych sekretnych miejscach, wspominała, jak czarna koronka zsuwała się z jej ciała, jak Jack Carmine zdejmował ją z niej delikatnie, by położyć na łóżku w kolorze piasku na wydmach, i obiecywał jej wszystkie pozostałe kolory wysokich pustyni wokół drogi przed nimi. Wspominała wysokie, pochmurne miejsca, które wraz z nim zwiedziła.

A jeśli chodzi o Teksas Jacka Carmine'a, wiedział dużo o wysokich, pochmurnych miejscach; o niskich także. Żył cały czas w drodze, od jednego wzniesienia do drugiego. Można na to spojrzeć jeszcze z innej strony; Jack Carmine to potężna, solidnie napięta cięciwa, zwolniona i znowu naciągnięta, dzień po dniu w długim życiu wypełnionym szybami wiertniczymi, rurociągami, łomoczącymi pomarańczowymi maszynami i mnóstwem karabinów maszynowych kaliber 50, które potrafiły zmieść dachy z domów w Sajgonie niczym ogromna szczotka. Większość swego życia spędził, usiłując zwolnić tę cholerną cięciwę albo przynajmniej nieco ją rozluźnić, i w ostatnich kilku dniach wreszcie zaczął mieć wrażenie, że mu się to udaje.

A wszystko dzięki Lindzie Lobo, tańczącej damie. Lubił patrzeć na nią, tańczyć z nią, rozmawiać i śmiać się. Czuł, że może się dostać do miejsca lepszego niż wszystkie, które do tej pory odwiedził - jej skóra ocierająca się o niego i głowa przetaczająca się to w jedną, to w

drugą stronę na poduszce, napór jej miękkiego brzucha i wspaniałych piersi, i dźwięk jego imienia, gdy wypowiadała je raz za razem. Jack Carmine skoncentrował się na kochaniu z nią tak dobrze, tak rozpaczliwie wspaniale, by pojechała z nim do Teksasu i nigdy go nie opuściła, by nigdy nie myślała o niczym innym niż byciu tu w ten sposób.

Dwie godziny później tej samej nocy, gdy siedzieli oboje na wpół pijani piwem i sobą nawzajem, Linda zademonstrowała sztukę kręcenia pędzelkami przyczepionymi do brodawek piersi, co sprawiło, że zaczęli wszystko od początku. Jack śmiał się, podchodząc do niej.

- Błogosławmy mądrość Carmy - szepnął.

Wygięła ciało w łuk, przyciągnęła go do siebie ze śmiechem, otworzyła się przed nim i przyjęła go.

VII

Nowy Orlean, 27 października 1993

- Och, a rekin ma... śliczne zęby, kochanie, i utrzymuje je nieskazitelnie białe...

Murzynka podeszła do Ariendo Vincenta i wrzuciła kilka dolarowych banknotów do stojącego przed nim pudełka; potem wróciła na swoje miejsce i zaczęła śpiewać do wtóru saksofonu. Zanim usiadła na krzeselku, zerknęła na Vaughna Rhomera; jeszcze się nie uśmiechnęła, lecz niewiele brakowało.

Niewielki okrągły mężczyzna w brązowym ubraniu i praktycznych butach przyglądał się jej, kontemplował jej profil i wiedziała o tym. Udawał, że jest bardzo zajęty czym innym, ale obserwował ją, odkąd zjawiała się w kafejce dwadzieścia minut temu. Słyszała, jak się zaplątał, zamawiając brandy, i nieomal zrobiło się jej go żal... nieomal.

Siedział sam, co było niezwykle. Zazwyczaj tego typu faceci przesiadują tu ze starszymi paniami o włosach skręconych w drobne loczki. A jeśli nie, przychodzą tu całą zgrają, fani futbolu czy czego tam, zachowują się strasznie głośno i niezdarnie, tłum moczymordów z dala od domu; dlatego pozwalają sobie na głupawe żarty i trącają się nawzajem łokciami pod zebra, patrząc na nią i śliniąc się jak głupi. Żadnego z nich nie byłoby na nią stać. A ona nie poszłaby z nimi, nawet gdyby jakimś cudem uzbierali taką sumę. Miała swoją własną klientelę, dżentelmenów eleganckich i bogatych w granicach rozsądku, pochodzących z Nowego Orleanu lub miast położonych bardziej na zachód, którzy zawsze dzwoniли i uprzedzali ją, kiedy złożą jej wizytę. Najczęściej byli biali i nie chcieli, by ktoś widział ich z nią w dobrych restauracjach, z powodu koloru skóry, rzecz jasna... koloru skóry. Jednak wszystko wyglądało inaczej w prywatnych pokojach pełnych kawioru z brzuchów irańskich jesiotrów oraz pierwszej klasy szampana z brzuchów piwnic w Reims... no i stosunkowo mało od niej żądali w zamian. Większość z nich po prostu lubiła na nią patrzeć, wdychać egzotyczne perfumy, którymi się skrapiała, i słuchać jej głosu, który przypominał dym unoszący się z ogniska w deszczową noc pod koniec jesieni. Seks był tylko rutynowym i nonszalanckim dodatkiem.

Ale okrągły człowieczek w praktycznych butach miał ładne oczy. Zauważyła to, gdy podszedł do Ariendo Vincenta i wrzucił mu do pudełka starannie złożony dolarowy banknot.

Kiedy szedł w jego stronę, oczy miał wbite w podłogę, lecz wracając do stolika pozwolił sobie na szybkie zerknięcie w jej kierunku.

Obserwowała dym unoszący się z cienkiej cygaretki, którą trzymała w ręce, patrzyła jak Ariendo Vincent przygotowuje się do następnej piosenki, i zastanawiała się, o czym myśli ubrany na brązowo mężczyzna. Cohany Eliason, dla przyjaciół Gumbo, tak naprawdę nic nie obchodziło, co facet myśli; zastanawiała się nad tym tylko dla zabicia czasu. Inni tacy goście, którzy nigdy wcześniej nie byli z czarną kobietą, zazwyczaj zastanawiali się, jaki kolor mają jej miejsca intymne. Z wyjątkiem jednego, który się do tego otwarcie przyznał, nigdy o tym nie wspominali, lecz tak czy owak byli ciekawi. Ten facet też pewnie był ciekawy.

Zerknęła na swój zegarek od Cartiera. Mężczyzna z Bostonu będzie tu za dwie godziny. Wpis w notatniku przypomniał jej, że lubi średnią dominację, właściwie niekoniecznie sam seks, i mnóstwo gadania potem, zwłaszcza o jego biznesie, który ma coś wspólnego z maszynami i urządzeniami mechanicznymi. Mężczyzna siedzący na lewo od niej znowu się jej przyglądał. Częściowo to wyczuwała, a częściowo widziała katem oka. Co też chodzi mu po głowie? Czego by chciał? Jakie sekretne fantazje tańczą za tymi dobrymi brązowymi oczyma? Taką właśnie grę prowadziła sama ze sobą.

Vaughn Rhomer przyglądał się Murzynce i myślał o Walterze Mitym. Dzieciaki zawsze mu dokuczały, że jest podobny do postaci Thurbera.

- Wcale nie jestem Walterem Mitym - powtarzał. - Kto to taki?

Laverne powiedział kiedyś, że Mitty to facet, który patrzył na kałużę i widział ocean, patrząc na Razberry, zobaczyłby tygrysa. Znajoma bibliotekarka znalazła dla Vaughna to opowiadanie. Vaughn przeczytał je i przemyślał. Następnym razem, kiedy Laverne przechodząc obok niego rzucił:

- Jak leci, Walterze Mity? - Vaughn złapał go za ramię i przytrzymał.

- Pozwól, że coś ci powiem, synu. Może Walter Mitty widział ocean patrząc na kałużę, a patrząc w oczy Razberry przeląkłby się tygrysa. Ale ja w kałużach widzę tylko to, czym są - kałużami. Może i jestem marzycielem, ale kiedyś zamierzam ziszczyć swoje marzenia... kiedy już wyrzucę ciebie i twoich dwóch braciszków z tego zacisznego gniazdko w szeroki świat. Usiłowałem się was, napaleńców, stąd pozbyć, lecz jakoś nie chcecie odejść.

- Tato, zawsze powtarzasz, że zamierzasz powędrować gdzieś tam. To znaczy dokąd?

Vaughn Rhomer przyglądał się Laverne'owi przez kilka sekund, zanim znalazł odpowiedź. W sukurs przyszedł mu Jack Carmine; Vaughn przypomniał sobie coś, co kiedyś od niego usłyszał.

- Są rzeczy, których nie zrozumiesz, skoro jesteś na tyle głupi, by o nie pytać - odrzekł Laverne'owi.

Laverne potrząsnął głową i odparł, że musi się spotkać ze znajomymi w centrum handlowym. Odszedł myśląc, że stary jest dziwny; stary, który ciągle gada o podróżach, lecz nigdy nigdzie nie jeździ z wyjątkiem „Najlepszej ceny” i okolicznych kiermaszy

ogródkowych. Ale był dobrym ojcem i Laverne to wiedział. Dziwaczny mały staruszek, który zawsze stał przy nim murem, mimo iż marzył o podróżach. „Odpowiedzialny” było słowem, którego by użył, gdyby ktoś go poprosił o opisanie ojca. Postanowił dać sobie spokój z Walterem Mittym. Staruszek miał rację: jakoś to do niego nie pasowało. Jego ojciec, Vaughn był... jak zwinięty wąż. Walter Mitty wcale taki nie był. Prosta i ogromna różnica. I trochę wkurzająca. Laverne miał nadzieję, że nic w układzie sił się nie zmieni, przynajmniej dopóki nie obroni swej pracy dyplomowej z informatyki. Chciał, by Vaughn Rhomer pozostał zwinięty i nigdzie się nie ruszał; by pozostał na swoim miejscu.

Na Boga, Vaughn Rhomer wiedział, że nie jest Walterem Mittym. Czyż nie postanowił, że odbędzie tę wycieczkę sam, że wykorzysta naraz całe dwa tygodnie przysługującego mu urlopu i pojedzie na południe, na spotkanie cieplejszych dni? Wiele godzin spędził w swym pokoju w piwnicy nad mapami, obmyślając najlepszą trasę, czytając przewodniki i przygotowując się do drogi.

- Co zamierzasz robić podczas urlopu, Vaughn?

- Pojadę na południe... do Nowego Orleanu.

- Sam? - Jego współpracownicy patrzyli na niego z niedowierzaniem.

- Taa. Chcę się trochę powłóczyć bez pośpiechu. Pierwszą klasą od początku do końca, noclegi w hotelach Holiday Inn... żadnego chodzenia opłotkami i oszczędzania. Nie tym razem.

Jeden z kolegów roześmiał się głośno.

- Tylko nie zostawaj tam zbyt długo, Vaughn. Tyle teraz gadania o zwolnieniach... jeszcze nie będziesz miał tu do czego wracać.

Ale Vaughn Rhomer nie martwił się zwolnieniami; no, może troszeczkę. Był dobry w tym, co robił, ale podobnie sprawa się miała z Archem Williamsem w Fort Doge, a jego zwolnili, kiedy reorganizowali sklep i zatrudniali młodszych gości za mniejsze stawki. Młodszych gości, którzy raczej rzadziej zapadają na zdrowiu i pewnie rzadziej wymagają opieki medycznej. Ale Vaughn Rhomer miał już tylko trzy lata do emerytury; sądził, że utrzyma się do tego czasu.

Załadował bagażnik buicka sprzętem ze swego pokoju w piwnicy. Plecaki, manierki, apteczka pierwszej pomocy, wycięte z „National Geographic” artykuły o miejscach, przez które będzie jechać. Zamknąwszy dom na Trolley Car Boulevard, przeszedł na tyły, między wysokie chwasty. Grób Razberry zarósł nieco, więc posprzątał dokoła i cofnął się o krok. Spojrzał na niedużą tabliczkę, którą sam zrobił ze skrawków drewna. Napisane było na niej „Razberry Rhomer 1978-1991”. Tęsknił za nią. Podróżowała z nim długo i dzielnie przez wszystkie długie zimowe wieczory w pokoju Rhomera.

Dzieci usiłowały odwieść go od tego pomysłu; ich pobudki były niejasne nie tylko dla Vaughna, ale i dla nich samych.

- Co by mama pomyślała? - zapytał Louis.

- O czym?
- O tym, że tak nagle wyjeżdżasz.
- Pewnie by się martwiła, gdyby nadal żyła.
- Właśnie o to mi chodzi. Mama by się martwiła.

Vaughn Rhomer poczuł, że zaczyna mu drgać mięsień prawego policzka, więc zmienił temat.

- Jak tam twoja rodzina, Louis? Z Lisą i dzieckiem wszystko w porządku?
- O tak, oczywiście. Właśnie uczymy Jennifer mówić „dziadzio”.
- To miłe. Powiedz jej, że dziadzio wyjeżdża jutro do kraju bawełny i innych nieznanym miejsc.

Ale Louis nie chciał się poddać.

- Ale dlaczego do Nowego Orleanu, tato? Dlaczego po prostu nie pojedziesz nad jezioro Clear na tydzień czy coś w tym rodzaju?

- Jeśli nie możesz popędzić z Beduinami lub pić dzinu w singapurskim barze ubrany w biały garnitur i jasnożółty krawat, to Nowy Orlean jest następnym miejscem, które chciałbyś odwiedzić. - Wiedział, że Louis nie zrozumie Beduinów ani Singapuru, i właśnie dlatego to powiedział.

- Tato, posłuchaj mnie, naprawdę uważasz, że powinieneś...

- Dobranoc, Louis. I dobrze opiekuj się moją wnuczką. Porozmawiamy po moim powrocie. - Vaughn Rhomer odłożył słuchawkę na widełki i raz jeszcze sprawdził swój sprzęt porozkładany w pokoju na równe kupki.

Droga była idealna. Jadąc przez Ozarks wcale się nie spieszył; pędził buicką dalej i dalej na południe, ku cieplejszej pogodzie, zatrzymywał się od czasu do czasu, by zrobić zdjęcia starym rolleiflexem, który kupił z drugiej ręki w sklepie w Otter Falls. Jego rodzina nie znosiła tego aparatu i wierciła się niemiłosiernie, gdy Vaughn patrzył przez wizjer i regulował ostrość. Marjorie zawsze narzekała, że robienie zdjęć zajmuje mu za dużo czasu, a Nathan powiedział, że rolleiflex jest żenujący, za stary i stanowczo już niemodny. Później Marjorie kupiła „idiot-kamerę” marki Minolt, która wszystkim się spodobała.

Jedynym złym momentem wycieczki do Nowego Orleanu był postój w Vicksburgu w stanie Missisipi. Przyjechał do miasta po zachodzie słońca, wziął prysznic i ubrał się w swój nowy brązowy garnitur, białą koszulę i krawat. Naprzeciw Holiday Inn znajdowała się restauracja polecająca przechodniom prawdziwego południowego smażonego sumu. Postanowił tam pójść; miał nadzieję, że zje dobre, świeże warzywa z pieczonym sumem. Sala jadalna udekorowana była wędkami i sieciami wędkarskimi i Vaughn spostrzegł zaskoczony, że tylko on przyszedł tu coś zjeść. Wyglądał przez okno i czekał na swoje jedzenie, obserwując przez przyciemnione szyby przejeżdżające samochody.

Kiedy już jadł, zza szklanej przegrody oddzielającej jadalnię od baru dał się słyszeć krzyk kobiety:

- Usiądź na mnie, Knobby! Usiądź na mnie, usiądź na mnie!

Barman cały czas powtarzał: „Ciiii!””, ale kobieta całkowicie go ignorowała i wciąż wykrzykiwała to samo.

Vaughn Rhomer planował długi, spokojny posiłek, lecz jadł swój obiad najszybciej jak tylko mógł, choć przegotowana zielona fasolka i ociekająca tłuszczem ryba wcale mu nie smakowały. Wracając do motelu, myślał o dumnym dziedzictwie tego miasta, które przetrwało oblężenie z klasą i wdziękiem, i pomyślał, jak dawno to musiało być - żeby krzyczeć takie rzeczy głośno i w miejscu publicznym.

Kobieta, Gumbo, zerknęła na zegarek. Nadal miała prawie dwie godziny, zanim w kafejce zjawi się właściciel fabryki maszyn z bukietem kwiatów w ręce. Odwróciła się lekko w stronę małego faceta w brązowym ubraniu, który właśnie odganiał muchy znad swojej kawy.

Kiedy Vaughn Rhomer przegonił już muchy na bardziej neutralne tereny łowieckie, podniósł wzrok. Murzynka patrzyła wprost na niego i tym razem uśmiechała się.

Vaughn Rhomer zaczął się pocić w ciężkim ubraniu, znacznie za grubym na tę parną nowoorleańską noc. Oczyma wyobraźni znowu zobaczył obrazy, tym razem zmieniające się bardzo szybko: figura o parującej skórze... rozkrzyżowana pod nim... drżąca pod jego dotykiem... Albo jesteś Walterem Mittym, albo nie, a chwila prawdy siedzi oddalona od ciebie o zaledwie osiem stóp, Vaughnie Henry Rhomerze.

Ale ta okropna niepewność... nie wiedział, jak się zachować... W całym swoim życiu kochał się tylko z dwiema kobietami, a pierwsza właściwie się nie liczyła, bo zdarzyło się to po meczu futbolowym w szkole średniej i trwało zaledwie trzydzieści sekund. Trzydzieści sekund to żadne doświadczenie. Była skrzydłową w drużynie dopingującej i głośno wiwatowała, gdy Vaughn Rhomer grający na obronie zdobył punkty na siedmiojardowej linii. Wiwatowała jeszcze głośniejsze, gdy Donovan Schuster - pełen wdzięku, szczupły Donovan Schuster - wyskoczył wysoko w powietrze, złapał piłkę i zdobył przyłożenie. Później w gazecie ukazało się zdjęcie Donovana podczas tego przechwycenia, lecz reporter mylnie napisał, że to Rollie Smike mu to umożliwił. Doris z drużyny dopingującej nie miała szans u Donovana Schustera, więc postanowiła zrobić to z Vaughnem Rhomerem, jako drugim najlepszym zawodnikiem. Jednak w notatniku Vaughna Rhomera to nie liczyło się jako doświadczenie. Czyli pozostawała tylko Marjorie, która cofała się znad krawędzi ekstazy, twierdząc, że rozkosz damie nie przystoi.

Ale ta kobieta, Gumbo, która teraz przyglądała mu się z uśmiechem, wiedziałaby, jak połączyć elegancję z szalem pożądania.

...jest bardzo ważne, by rozumieć kobiety jako więcej niż proste wariacje na ten sam temat. Kiedy są rozdzielane i namiętne, okazują się całkiem innym typem, fizycznie, psychicznie

i emocjonalnie. Każda ma swoje własne potrzeby i własne sposoby ich zaspokajania. Mężczyzna musi być na to wszystko wyczulony i przygotowany na dostosowanie się do niej, a także skoncentrowany na odczuwaniu własnej przyjemności. W kobiecie, i z kobietą, w czystej duchowości aktu, można odnaleźć prawdę nieosiągalną w żaden inny sposób - prawdę każdej kobiety i każdego mężczyzny. O tym właśnie powinno się pamiętać.

*Thomas Martin, „Dzienniki z podróży”, tom IV:
Wschód (wydane w Londynie przez Empire
Publishing Ltd. 1927) s. 206. Przeczytane i skopiowane do notatnika V. H. Rhomera #11,2\27\92*

I, rzecz jasna, powinniśmy porozmawiać o duchowości samego Aktu. Gdyż tego właśnie wszyscy szukamy, duchowego przeżycia, które uwalnia nas od jednostkowości mężczyzny i kobiety. Dlatego też zaczynamy od myślenia o akcie seksualnym jako o fizycznej unii, czymś zbliżonym do religijnego objawienia. Ale żeby przeżyć tę chwilę, trzeba się przygotować na to, że sam Akt trwa jakiś czas i nie można się z nim spieszyć.

Harry Stassen, „Kompletny przewodnik mężczyzny po przyjemnościach tantry” (wydane w Nowym Jorku przez Specialty Publishers, 1977) s. 14. Przeczytane i skopiowane do notatnika V. H. Rhomera #11, 2\28\92

Murzynka nadal przyglądała się Vaughnowi z uśmiechem, a Ariendo Vincent dmuchał z zapalem w swój saksofon altowy, jednak Vaughn Rhomer zupełnie nie zwracał na niego uwagi. Patrzył na ciemnoskórą kobietę i myślał o granicach... i o ich przekraczaniu. Nie mógł wprost uwierzyć, że to on podnosi kieliszek brandy i unosi w jej stronę w geście toastu. Że kiwa do niej głową. Ledwie mógł uwierzyć, że ona także unosi kieliszek i kiwa do niego głową. A wszyscy pamiętają, jak ciepły był tamtego roku październik w Nowym Orleanie.

VIII

Iowa i dalej na południe, 1986

Matka Lindy oparła dłonie o zlew i wyjrzała przez okno na Jacka Carmine'a siedzącego na pogiętym zderzaku swego pikapa.

- A ten skąd jest?

- Z Teksasu. Dlatego tam jedziemy.

- Czym on się zajmuje?

- Ma nieduże ranczo, na którym spędza zimy; latem jeździ kombajnami albo kładzie gazociągi czy coś w tym stylu. - Linda właśnie wkładała parę nowych elastycznych spodenek z gumką w pasie na tyłeczek Sary Margaret.

- Nie wydaje mi się to zbyt wystawnym życiem.

Sara Margaret obejmowała matkę za szyję i przytulona do niej spoglądała ponad jej ramieniem.

- Kto ten pan, mamusi?

- To dobry przyjaciel mamusi, Sara Margaret. No, stań teraz prosto, żebym mogła wsadzić ci w spodenki tę nową koszulkę... Mamo, gdzie są jej tenisówki, te, które kupiliśmy, gdy byłaś w Dillon w sierpniu?

- Za domem, na dworze. Wczoraj wróciła cała utaplana w błocie. - Matka Lindy przyglądała się Jackowi Carmine'owi, który właśnie zapalił papierosa i drapał się po policzku. - Wygląda jakoś staro.

- Ma czterdzieści siedem lat.

- Wygląda starzej na twarzy. O co chodzi z tym nagłym wyjazdem do Teksasu?

- Po prostu wydaje mi się, że to właśnie powinnam zrobić. To dobry człowiek, mamo.

- Już to kiedyś słyszałam, córeczko. Zdaje się nawet, że kilka razy. Jest po drugiej... chyba już za późno, by wyruszać w dalszą drogę, co?

- Jack mówi, że przed zmrokiem będziemy mieli Kansas City, może dotrzemy nawet do Topeki, jeśli nie będzie zbyt zmęczony.

Jack był trochę zmęczony, ale w ten dobry sposób. Podobnie jak ona sama, też w miły sposób. Kochali się przez pół zeszłej nocy, a cały ranek spędzili w łóżku, rozmawiając i

znowu się kochając. Tyłu orgazmów, co w ciągu ostatnich piętnastu godzin, nie miała chyba przez całe życie; na myśl o tym uśmiechnęła się do siebie w duchu. Zadowoleni z siebie i trochę wyczerpani zamówili ogromne śniadanie do pokoju - jajecznicę na bekonie, pieczone ziemniaki, tosty - i siedzieli po turecku na łóżku, jedząc i uśmiechając się do siebie nawzajem.

Jack załadował jej nową walizkę na tył pikapa, uważnie obłożył paczkami z psią karmą i przykrył żółtym sztormiakiem, który trzymał pod siedzeniem. Linda miała na sobie nowe bawełniane beżowe spodnie i czerwony sweter z białą bluzką pod spodem; na to wszystko włożyła lekką parkę. Cały czas zerknęła na swoje nowe skórzane botki z maleńkimi chwaścikami; nigdy wcześniej nie miała takich butów.

Kiedy wsiadła do samochodu, Jack powiedział:

- Świetnie wyglądasz, tańcząca damo. Zastanawiam się tylko, czy mała Sara Margaret nie potrzebuje też jakichś nowych ubranek?

- Pewnie tak.

Więc wrócili do centrum handlowego po ubranka dla małej i czerwoną sportową torbę, żeby je zapakować. Kupili też wypchanego tygrysa, na co nalegał Jack. Przed drugą po południu skręcił z autostrady I-80 i pojechał na północny kraniec Altoona, gdzie stał dom o szarych gontach, wyglądający bardzo ponuro w pochmurny dzień pod koniec października.

- Jak długo znasz tego Jacka... jak on się nazywa? - Matka odwróciła się od okna i patrzyła teraz, jak Linda pakuje rzeczy Sary Margaret do czerwonej torby. Mała siedziała na kuchennym stołku, machała nóżkami i rozmawiała z nowym wypchanym tygrysiem.

- Nazywa się Carmine i znam go jakiś czas. Poznałam go w Dillon, gdzie pracowałam w tej fabryce podrobów.

- To była dobra, stała praca. Nie podoba mi się, że rzuciłaś ją tylko dlatego, by pojechać gdzieś z jakimś szalonym Tekszańczykiem. - Matka Lindy ostatni raz była w Dillon w sierpniu; wraz z Sarą Margaret przyjechały tam greyhoundem w odwiedziny do Lindy.

Wkrótce potem Linda zmieniła profesję, lecz nie pisała matce o tym ani słowa.

- Przecież mówiłam ci, co ta dobra praca robiła z moimi rękoma. Bolały mnie co noc od tego noża i pracy w ciągłym zimnie.

- No cóż, tak czy inaczej, to była stała, przyzwoita praca, a o to w tych czasach wcale nie jest tak łatwo. Wierz mi, że nieraz musiałam się w życiu obywać bez wielu rzeczy; czasem trzeba się pogodzić z odrobiną niewygody. To on ci kupił te ładne ciuszki, które masz na sobie?

- Tak - odparła Linda, odgarniając do tyłu kilka drobnych kosmyków włosów, które opadły jej na oczy.

- Córeczko, kiedy mężczyzna tak od razu zaczyna ci dawać prezenty, lepiej jest przyjrzeć mu się uważnie. Zauważyłam, że zaczynasz mieć w oczach jakiś zimny, twardy wyraz... powinnaś lepiej dbać o siebie.

Linda nic już nie odpowiedziała. Zasuwała suwak torby, wyprostowała się i ujęła Sarę

Margaret za rączkę.

- No i gotowe, Sara Margaret. A teraz pojedziemy na przejażdżkę tym dużym samochodem razem z tym miłym panem. Trzymaj mocno swojego tygryśka, żeby nie wpadł w błoto.

Matka poszła za nimi na podwórko, gdzie Jack Carmine siedział na masce pikapa i lekko uderzał obcasem w przednią lewą oponę. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i zsunął się na ziemię, nieco zmieszany dziwnie dzikim spojrzeniem, jakim obdarzyła go matka Lindy. Linda podała mu torbę z rzeczami córki, więc wsadził ją pod żółty sztormiak obok walizki.

Linda uściskała matkę, która wyglądała tak samo wyblakłe jak dom; po jej minie widać było aż nadto wyraźnie, że miała nadzieję, iż córka lepiej urządzi się w życiu. Wiedziała o letnich nocach, które Linda spędzała z Lucasem Mathenem, i nieraz dziękowała Bogu za to, że młodym to wszystko uszło na sucho, bez ciąży. A potem był Wendell i cały sznurek innych, a na końcu Gary. Jack nie wydawał się jej zbyt odmienny od nich wszystkich. Ale przynajmniej miał własny dom, nawet jeśli było to gdzieś w zapomnianym przez Boga i ludzi zakątku Teksasu.

- Nie zapomnij skrobnąć do mnie paru słów albo zadzwonić od czasu do czasu - mruknęła; potem pochyliła się i podniosła z ziemi fragment gonta, który wiatr musiał zdmuchnąć z dachu.

- Oczywiście - odpowiedziała Linda i usadziła Sarę Margaret na środku przedniego siedzenia pikapa.

- Miło mi było panią poznać - odezwał się Jack i wyciągnął rękę.

Matka Lindy skinęła głową i potrząsnęła jego dłonią, ale bardzo krótko. Wydawał się jej jakiś taki zmęczony i zastanawiała się, dlaczego jej śliczna, trzydziestosiedmioletnia długonoga córka nie mogła znaleźć sobie kogoś lepszego. Jack wycofał samochód na prostą drogę, a Linda uśmiechnęła się do topoli kanadyjskiej, gdzie za czasów swojego dzieciństwa miała huśtawkę zrobioną z opony. Matka machnęła im raz, bez uśmiechu, po czym znowu się nachyliła, by pozbierać pozostałe kawałki gonta.

- Nigdy jeszcze nie byłam na południe od Des Moines - odezwała się Linda - z wyjątkiem jednego razu, gdy w ogólniaku moja klasa miała piknik w jakimś parku nieopodal Indianola. Nigdy też nie byłam na zachód od Council Bluffs czy na wschód od Missisipi.

Kolację zjedli w restauracji Hardee'ego w Kansas City; Sara Margaret cały czas siedziała u mamy na kolanach i tuliła do siebie tygryśka nawet wtedy, gdy Linda karmiła ją małymi kawałeczkami cheesburgera i frytkami. Jack i Linda co chwila wymieniali spojrzenia lub uśmiechy.

Znów w ciężarówce na drodze do Topeki; Sara Margaret usnęła na siedzeniu z głową na kolanach Lindy, a „przyśpiwki na drogę” Jacka były nastawione bardzo cicho.

- Czuję się nieomal... jak ojciec, kiedy tak patrzę na ciebie i tę małą - powiedział Jack; zbliżył się od tyłu do ogromnej ciężarówki i zjechał na drugą stronę szosy, by ją wyprzedzić.

- Byłeś kiedykolwiek żonaty, Jack?

- Taa, w sześćdziesiątym trzecim, kiedy namiętnie kłamię i litrami piłem piwo. Byliśmy razem jakieś sześć czy siedem lat. Strasznie się wściekła na mnie o to, że zaciągnąłem się do armii w sześćdziesiątym dziewiątym. Kiedy ja byłem w Wietnamie, ona uciekła z dentystą z Odessy.

- Macie dzieci?

- Na to pytanie odpowiedź także jest twierdząca. Mam syna, który ma... niech pomyślę... dwadzieścia pięć lat. - Podnosił kasety do światła tablicy rozdzielczej. - Szukam takiej jednej, oznaczonej „Emmylou”... o, jest. - I Emmylou Harris zaczęła śpiewać o samotnych nocach i kowbojkach, którym niekiedy jest smutno na świecie.

- Widujesz się czasem z synem... jak mu na imię?

- Tom. Ale nie nazywa się Carmine, bo moja eks zrobiła co mogła, by wymazać wszelki ślad po mnie z życia chłopaka. Chciałem go nazwać po tym starym przyjacielu mego starego, ródźkarzu Finie Dalym, który przekonał Poly’ego, że na naszym ranchu jest ropa. Czyli nazywałby się Fine Carmine z Alpine, ale nikt nie chciał się na to zgodzić. Kiedyś widywaliśmy się bardzo często. Przyjeżdżał co roku na parę tygodni w zimie, gdy siedziałem na ranchu. Uczy się na dentystę i pewnie ma mnóstwo zajęć... no, bo nie przyjeżdża już do mnie z wizytami jak kiedyś. Nie widziałem go od ładnych paru lat.

- I jak się w związku z tym czujesz?

Sara Margaret usiadła na chwilę; Linda pomogła jej przewrócić się na drugi bok i głaskała po włosach, aż dziewczynka znów usnęła. Jej tenisówki lekko ocierały się o prawe biodro Jacka.

- Och, nie mam pojęcia. Zdaje się, że chciałbym go widywać od czasu do czasu. Nieraz o nim myślę. Chyba wszystko u niego w porządku; jest w miarę szczęśliwy. Dzwoni od czasu do czasu, mimo że matka powtarza mu, iż powinien trzymać się ode mnie z daleka. Mówi, że będzie się specjalizować w aparatach ortodontycznych czy jak to się tam nazywa. Hej, widziałaś ten znak? Będziemy w Topece dokładnie za sześćdziesiąt trzy minuty. Prześpimy się gdziekolwiek, gdzie znajdzie się dla nas miejsce. Ale jutro, jeżeli wyruszymy w drogę odpowiednio wcześniej, mam dla was prawdziwą frajdę.

- Co to takiego?

- Takie miejsce w Calona w Teksasie. To ma być niespodzianka.

- No cóż... będzie nam bardzo miło. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz miło zaskoczyło mnie miejsce do spania w przydrożnym hoteliku. Czy mi się wydawało, czy wspominałeś, że masz brata?

- Taak, Edwarda. Uczy gry na instrumentach podwójnostroikowych w szkole muzycznej na uniwersytecie stanowym w Alabamie. Już bardzo dawno go nie widziałem. Ogromnie się od siebie różnimy; on wyszedł na ludzi. A ty, miałaś męża?

- Dwóch, muszę przyznać z przykrością. Za pierwszym razem był to jeden z tych

przeklętych związków między nastolatkami, z góry skazany na niepowodzenie. Za drugim razem także nie wyszło. Byliśmy razem tylko ze względu na Sarę Margaret i chyba dlatego, że żadnemu z nas nie przyszło do głowy, iż można żyć lepiej; a potem on poznał kogoś innego.

Wjechali do Topeki, zatrzymali się w Ramadzie; następnego dnia ruszyli w podróż przed wschodem słońca. Dzień minął na tym, że Jack prowadził i zmieniał kasety w magnetofonie; długie godziny ciszy przeciągały się i zdawało się, że żadne z nich nie ma nic ciekawego do powiedzenia. Sara Margaret rozmawiała ze swoim tygrysiem i bawiła się z Lindą w „srocza kaszkę warzyła”. Po popołudniowej drzemce dziewczynki Linda pokazywała jej przez okno ciekawe rzeczy, które mijali, gdy Oklahoma zostawała coraz bardziej z tyłu. Jack dowiózł ich do Austin tuż przed zachodem słońca.

- Przed nami już gorzysta kraina Teksasu, jeszcze cztery godziny i znajdziemy się w Calona z całym jego dobrodziejstwem. Jutro dotrzemy do Alpine - powiedział, spoglądając na przedmieścia Austin we wstecznym lusterku. - Tak po mojemu, tańcząca damo, to gdzieś przed nami, na zachód od Junction istnieje jakaś kurtyna czasu łopocząca na wietrze. A za tą zasłoną, powiewającą na wschodnim krańcu wielkich równin, leży całkiem inny świat: zachodni Teksas. Już wkrótce zobaczysz, o co mi chodzi. To naprawdę zupełnie inne miejsce i poczujesz to, zaczniesz tym żyć i zaczniesz wierzyć, że pochodzisz z obcego kraju w porównaniu ze wszystkim innym stanami Ameryki.

Po drugiej drzemce tego dnia Sara Margaret była ożywiona i pełna wigoru, gdy Jack skręcił z autostrady I-10 i wjechał na postój dla ciężarówek na wschód od Calony.

- Nie uwierzycie własnym oczom - rzekł. - Facet miał marzenie i zbudował oazę tu, w samym centrum bezkresnego Teksasu.

W nocy „Najlepszy Western” wydawał się Lindzie ładny, lecz całkiem zwyczajny. Jack wynajął dwa połączone ze sobą pokoje i podał jej klucze; potem podjechał pikapem na koniec motelu.

- Sama to sobie jakoś rozpracuj, w zgodzie ze swymi macierzyńskimi instynktami, tańcząca damo. Śpij z Sarą Margaret albo śpij ze mną, albo też przechodź z pokoju do pokoju, jak ci się żywnie podoba.

Linda zajęła się córeczką, a Jack wniósł do pokoju jej walizkę i dwie torby, po czym wrócił do samochodu po przenośną lodówkę.

- Wszystko wydaje się przerażająco rodzinno-domowe, gdy człowiek musi obracać kilka razy, by wyładować bagaże.

W pokoju były przesuwane szklane drzwi. Jack odsunął zakrywającą je kotarę i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tylko popatrzcie!

Motel zbudowany był dokoła ogromnego zadaszzonego szkłem dziedzińca, wypełnionego egzotycznymi drzewami i kwitnącymi roślinami. Stali we trójkę, patrząc na te cuda, a Jack

pokazywał ręką.

- Widzicie, tam jest ogromny kryty basen, a woda w nim jest utrzymywana zawsze nieco poniżej temperatury ciała, po drugiej stronie znajduje się jacuzzi. Zdaje się, że mamy to wszystko tylko dla siebie. Ja za trzy minuty już będę siedział w wodzie. Zabiorę z sobą Sarę Margaret, żebyś miała czas odpowiednio się przygotować.

Linda ubrała małą w parę nowych majteczek i powiedziała:

- No cóż... to będzie musiało robić za jej kostium kąpielowy.

- I świetnie - odparł Jack, który miał na sobie parę ciemnozielonych bokserek; podniósł dziewczynkę. - Chodź, muchacha, popływamy sobie... - wyszedł przez francuskie drzwi i płaskimi kamiennymi schodkami wijącymi się wśród roślinności poszedł w stronę basenu.

Przekopując się przez walizkę z ubraniami, Linda słyszała ich śmiechy. Wyjrzała na chwilę z pokoju i zobaczyła, jak Jack podrzuca Sarę Margaret wysoko do góry w płytkiej wodzie.

Kiedy zeszła po kamieniach nad basen, Jack woził dziewczynkę na barana i podskakując w wodzie śpiewał: „Jack to dobry stary koń, traktuj go przyzwoicie, Jack to dobry stary koń, będzie cię woził całe życie”.

Kiedy zobaczył Lindę, zamilkł. Miała na sobie lawendowe bikini, wycięte głęboko na gorze i wysoko po bokach. Pokazał zęby w szerokim uśmiechu.

- Ho-ho! Aż mnie zatkało, panno Lindo!

Uśmiechnęła się i okręciła w koło.

- Anna Wilhelm uważała, że powinnam wziąć właśnie ten. „Jeżeli masz co, pokazuj to jak najczęściej” - tak właśnie powiedziała. Niewiele tu więcej materiału niż w moim kostiumie z baru Rainbow.

- No cóż, zawsze zgadzałem się co do joty z opinią Anny Wilhelm, lecz nigdy aż tak w stu procentach jak w tej chwili.

Linda usiadła na krawędzi basenu i pluskała nogami w ciepłej wodzie, a Jack oparł się tuż obok niej; w ramionach trzymał Sarę Margaret, która powtarzała:

- Więcej konika, ja chcę Jacka konika.

Później zjedli kolację w meksykańskiej restauracji przy motelu; było już po dziesiątej i Sara Margaret zasnęła w wysokim krzeselku. Powolnym krokiem wracali do swoich pokoi; Linda niosła córeczkę, mruzczała cicho pod nosem jakąś kołysankę i tuliła policzek do główki dziecka. Jack ćwiczył swój teksański two-step, który - prawdę mówiąc - ani trochę nie poprawił się od ostatniego razu, gdy go tańczył.

Linda położyła Sarę Margaret do łóżka, po czym przeszła do sąsiedniego pokoju, przyglądając po drodze włosy. Jack stał w otwartych drzwiach i pociągając piwo z butelki wpatrywał się w ciemną powierzchnię basenu między drzewami. Przystanąła obok niego i objęła go w pasie.

Uśmiechnął się do niej.

- Cóż słyhać, tańcząca damo?

Odpowiedziała mu szerokim uśmiechem.

- Jestem naprawdę szczęśliwa, kowboju. Czuję się tak, jakbym się znalazła w zupełnie innym świecie, gdzie zdarzają się tylko dobre rzeczy.

- No cóż, dołożymy wszelkich starań, by utrzymać wszystko dokładnie na tym poziomie. Masz ochotę jeszcze raz popływać? Możemy zostawić drzwi do pokoju Sary Margaret otwarte, usłyszymy, gdyby czegoś potrzebowała.

- Mój kostium jest jeszcze mokry... - Linda urwała, widząc uśmieszek na jego twarzy. - Chyba nie myślisz o tym, co mi się wydaje, że myślisz, prawda, Jacku Carmine?

- Myślę sobie tylko, że nie ma nikogo w pobliżu, a tam w dole jest naprawdę bardzo ciemno. Basen zamykają o dziesiątej, ale jeżeli owiniemy się ręcznikami na drogę, a potem nie będziemy zbyt hałasować, nikt nie zwróci na nas uwagi. Tam jest ciemno choć oko wykol, pomijając te małe lampeczki po drugiej stronie basenu.

Linda uśmiechnęła się do niego.

- Jesteś zdeprawowanym człowiekiem, Jacku Carmine. Ale... im dłużej o tym myślę, tym bardziej ten pomysł mi się podoba... a to chyba oznacza, że ja także łapię się do tej kategorii.

- W przeciwnym razie nie podobałabyś mi się aż tak bardzo - odparł, obracając się do niej i wsuwając ręce w tylne kieszenie jej dżinsów. - Zepsuty degenerat, tak właśnie nazywała mnie mama Pepito pewnego dnia, gdy nawalony jak stodoła wrzuciłem jej butelkę po piwie przez frontowe okno tej obory w Alpine, którą nazywała swoim domem. Ale to było za moich bardziej dzikich dni. Teraz już się nieco uspokoiłem... no, chyba że znajduję się w promieniu jakichś stu jardów od ciebie, o czym przekonuję się z godziny na godzinę coraz mocniej.

Wiele lat później Linda będzie oglądać się wstecz i wspominać te czasy. Będzie rozpamiętywać, jak to pośrodku swego życia, pośrodku ciepłego basenu, pośrodku bezkresnych przestrzeni Teksasu, z włosami wysoko upiętymi, oplatała nogami biodra Jacka Carmine i szeptała mu, jak to życie od tej pory będzie się układać coraz lepiej. Będzie rozpamiętywać, jak to wszystko, czego potrzebowała do szczęścia, znajdowało się w zasięgu jej ręki. W tej niezwykłej chwili, w tym mijającym czasie, wydawało się, że to prawda... wydawało się, że to prawda.

IX

Zachodni Teksas, 1986

Świt i księżyc, jeszcze pełny i gruby, zaraz nad autostradą I-10, wyglądający tak, jakbyś mógł przejechać przez niego na wylot za jakieś parę mil. Jadąc pikapem załadowanym psią karmą i jej nowymi strojami, i może czymś znacznie lepszym niż wszystko, czego do tej pory doświadczyła, Linda Lobo myślała o tym, co wczoraj powiedział Jack; o tym, że to jest zupełnie inny kraj. Przyzwyczajona była do zielonych pól i miasteczek, oddalonych od siebie zaledwie o kilka mil, więc jałowe przestrzenie i wysokie strome wzgórza sprawiały, że czuła się maleńka i strasznie krucha. W takim miejscu lepiej mieć pełny bak.

Podczas gdy na wschodzie pociągi podmiejskie z klekotem i zgrzytem zmierzały do świata obligacji, akcji, kolorowych magazynów, wykładanych co rano na stoiska, oraz ubrań od najlepszych projektantów, w poniedziałkowy ranek w zachodnim Teksasie było cicho jak makiem zasiał. Poza wiatrem wyjącym za oknem pikapa i szumem silnika, poza głosem Sary Margaret rozmawiającej ze swoim tygrysiem i Jackiem Carmine'em usiłującym wydusić „Kobietę na niepogodę” ze swej ustnej harmonijki, którą przechowywał w skrytce.

- Kiedyś potrafiłem to pociągnąć... ale od dawna już nie grałem.

Linda przyjrzała się biało-niebieskiej ogromnej ciężarówce zmierzającej w przeciwnym niż oni kierunku - na jej masce igrały pierwsze promienie wschodzącego słońca - po czym zerknęła na Jacka sponad swoich okularów.

- Czy ty naprawdę kiedykolwiek grałeś na harmonijce, Jack?

- Nie, ale myślę o tym od czasu do czasu. Już to samo powinno się liczyć... może nawet powinno poprawiać moje rezultaty. - Wrócił do grania, potem znowu przerwał i przyjrzał się instrumentowi. - Oto harfa człowieka pracującego. Jedyna, jaką posiadam, i jest w tonacji E, czyli tonacji ludu. Gdzieś słyszałem, że E to tonacja mas... Można by więc pomyśleć, że harmonijka należąca do człowieka pracującego sama z siebie powinna wiedzieć, jak zagrać „Kobietę na niepogodę”, bez żadnej pomocy z mojej strony. Nie mam racji?

Sara Margaret trzymała swego tygrysa na kolanach; teraz zerknęła na Jacka z poważną miną.

- No dobra, muchacha, przygotuj się do klaskania w łapki - mruknął Jack i prawie czysto

zagrał „Polowanie na łasicę”, z wyjątkiem kilku nutek tu i ówdzie, które wyszły mu fałszywie. Sara Margaret, z jasnymi włoskami ściągniętymi w mały warkoczyk, cały czas patrzyła na niego znad łebka tygrysa.

Jack urwał i uderzył harmonijką o dłoń, oczyszczając ją w ten sposób ze śliny.

- Powiedz mi, matko tego dziecka, czy ona w ogóle potrafi klaskać?

Linda roześmiała się.

- Oczywiście. Po prostu jest oszołomiona dźwiękami, które wydajesz, i stara się skoncentrować na słuchaniu... - Zerknęła we wsteczne lusterko i wyprzedziła winnebagę z tablicami rejestracyjnymi z Ohio; samochód miał z tyłu napis: „Szaleni Taylorowie - Jim i Lois”.

- No cóż... wiedziałem, że coś w tym jest... - Jack zaklaskał w dłonie i zanucił: - „Dokoła stołu starego stolarza...”

Uśmiech powoli rozjaśnił buzię Sary Margaret i dziewczynka także zaczęła uderzać w rączki. Jack wziął harmonijkę i zagrał, kiwając do wtóru głową i przytupując. Linda Lobo uśmiechnęła się i powiozła ich dalej przez świt, który malował wschodnie zbocza wzgórz na czerwono i wyganiał księżyc tam, gdzie spędza on swój czas, zanim znowu pojawi się na niebie.

Po jakimś czasie Jack wetknął harmonijkę do kieszonki na piersi.

- Wiesz, jest coś takiego w tej piosence... coś. To wcale nie jest piosenka dla dzieci, kiedy się nad tym zastanowić, i odkąd skończyłem pięć lat, staram się dojść, kto tu kogo tak naprawdę goni. Kiedy rzeczy tak gonią w kółko, kto może stwierdzić z całą pewnością, że to małpka leci za łasicą, może jest akurat na odwrót? Co więcej, kto to taki, ten cały stolarz, i co buduje? Cały czas się nad tym zastanawiam. Dokąd sobie poszedł i dlaczego zostawił wszystkie swoje narzędzia porzucane, żeby te zwierzaki miały się o co potykać podczas gonitwy? Ostatnio tak sobie myślę, że może siedzi na stole ze skrzyżowanymi nogami i tylko patrzy, co się dzieje poniżej? Łasiczkę zawsze rozumiałem, ale nigdy nie mogłem pojąć, po co stolarzowi małpa w warsztacie... nigdy tego nie rozumiałem... Jak ci leci, tańcząca damo? Masz już dość prowadzenia i mojej nonsensownej gadki?

- Nie, chętnie jeszcze jakiś czas posiedzę za kierownicą. Ale złapałam się na tym, że przez to twoje gadanie cały czas spoglądam we wsteczne lusterko i wypatruję szalejących małpek.

- Są tam, możesz być pewna. Tylko zazwyczaj ich nie widać. Jeżeli jednak zerkniesz naprawdę szybko, kącikiem oka, zauważysz, że żyją sobie spokojnie na obrzeżu twojej świadomości. Choć najlepiej jest na nie wcale nie patrzeć... jeśli zauważą, że zwracasz na nie uwagę, strasznie się wściekną.

Na billboardzie ustawionym przy drodze pośrodku pustyni widniał slogan: „Jedźcie wołowinę - Zachodu nie zdobyto dzięki sałatkom”.

Jack usiadł za kierownicą w Fort Stockton; powiedział, że ostatni kawałek drogi do

Alpine musi przebyć sam, że to jakiś przesąd - jeśli sam nie będzie prowadzić, nie poczuje, że naprawdę dotarł do domu.

Z początku Linda była rozczarowana krajobrazem. Gdzieś w połowie poranka Fort Stockton wyrosło suche i zakurzone w jasnym świetle słońca. Osiem mil dalej Jack skręcił na południe drogą 67.

- Widzisz te góry przed nami? - spytał. - Tam właśnie zmierzamy.

Linda Lobo usiłowała skoncentrować się na górach, które wyglądały w oddali majestatycznie, całe we mgle i błękitach; nigdy wcześniej aż do tej chwili nie wierzyła, że w Teksasie mogą być takie góry. Ale nadal myślała o małpkach i o tym, co Jack powiedział wcześniej tego ranka.

Sara Margaret leżała z głową na kolanach Lindy, znudzona i senna po wielogodzinnej jeździe. Linda głaskała ją po jasnych włosach i patrzyła przed siebie, na góry.

- Te małpki, o których wspominałeś, Jack, są chyba trochę jak myśli, które cię ścigają, prawda?

- Może. A o jakich myślach mówisz?

- Że to wszystko idzie zbyt szybko. Czasem nie chcę się ode mnie odcepić, przypominają mi o facecie, który swego czasu sprzedał mojej mamie cały komplet encyklopedii, kiedy nie było nas stać nawet na komiksy. Mówię o myślach, które po prostu stukają do drzwi i pchają się do środka, gdy człowiek jest zbyt zmęczony, by je powstrzymać... a gdy już wleżą, gadają, dopóki nie zechcesz czegoś od nich kupić. Więc kupujesz, żeby tylko się ich pozbyć. Niekiedy nachodzą mnie w najdziwniejszych chwilach. Czasem nie mogę przestać myśleć o tym, co wyprawiam z moim życiem.

- Że na przykład pakujesz manatki i jedziesz do zachodniego Teksasu z facetem, którego praktycznie nie znasz?

- Czasem. - Linda ułożyła wygodniej Sarę Margaret i oparła but o deskę rozdzielczą. - Nie zrozum mnie źle, właśnie spędziłam z tobą trzy najwspanialsze dni mojego życia, Jacku Carmine. Dobry Boże, gdy myślę o tym, cośmy ze sobą robili, i o tym, co się działo wczorajszej nocy w basenie, nie zależy mi na niczym innym, oprócz picia piwa i rozbierania się. Ale mam jeszcze tę małą dziewczynkę, która w tej chwili śpi na moich kolanach, i nie bardzo wiem, co ona zyska na tym, że prowadzę takie życie. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Jack uśmiechnął się do niej szeroko.

- Jasne, że tak, panno Lindo. Sam się tak nieraz czułem, dopóki nie kopnąłem sprzedawcy encyklopedii prosto w tyłek i nie kazałem mu się wynosić do wszystkich diabłów. Powiedziałem mu, że mam pikapa z nowymi oponami na tylnych kołach i niewielkie ranczo i że to wszystko, czego mi trzeba do szczęścia.

- Ile miałeś lat, kiedy sobie to wszystko wykombinowałeś?

- Dwadzieścia parę, zdaje mi się, z dokładnością do jakichś piętnastu lat.

Linda mówiła ze wzrokiem wlepionym w góry na horyzoncie:

- Wiesz, to kółko, w które się złapałam, jest naprawdę okrutne... jakbym uciekała dokoła stołu jakiegoś stolarza... pracuję ciężko, żebyśmy wraz z Sarą Margaret mogły jakoś utrzymać głowy na powierzchni wody, ale mam za mało czasu, by wszystko tak sobie uporządkować, żeby pojutrze było lepsze od jutra, a jutro od dnia dzisiejszego. Prawdę mówiąc, w ciągu ostatnich paru miesięcy moim głównym zmartwieniem było to, że jakiś zbawca ludzkości może mnie zobaczyć tańczącą w barze Rainbow i będzie usiłował odebrać mi małą, argumentując, że nie nadaję się na matkę.

Jack wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Byłaś bezpieczna. Bóg opiekuje się zbłąkanymi i zsyła gromy na praworządnych. Ukradłem to powiedzenie Poly'emu Carmine'owi... Zwykł był to powtarzać co najmniej raz dziennie.

Góry zbliżały się z minuty na minutę, a ze starego radia płynęła muzyka. Sara Margaret usiadła i przetarła oczy. Kiedy zbliżali się do mostu na Antelope Draw, z radia popłynął „Walc poprzez Teksas”. Jack śpiewał go głośno i jednocześnie łaskotał Sarę Margaret prawą ręką, dopóki nie zwinęła się w kłębuszek ze śmiechu, a łzy nie pociekły jej po policzkach. Linda Lobo przysłuchiwała się radosnym chichotom córeczki i przez chwilę pomyślała, co ona, u Boga Ojca, robi tu w pikapie z Sarą Margaret i człowiekiem, którego ledwie zna, jadąc na ranczo w Teksasie, na którym jest tylko jeden koń. Przecież ma już trzydzieści siedem lat i zaczyna się sypać tu i ówdzie. I poczuła obawę - jeden z tych nagle-nadchodzących-i-szybko-przemijających strachów, które ogarniały ją w świetle stroboskopowym na barze albo przy taśmie, gdy ręce miała unurzane w kurczących wnętrznościach - była samotną kobietą ze skopanym życiem za sobą i pustką przed sobą; nie widziała nic, co mogłoby jakoś w przyszłości pomóc jej lub Sarze Margaret.

- Hej, posłuchaj tego! - zawołał Jack, gdy zaczęła się następna piosenka. Pogłośnił.

*Pojechałem na północ od Teksasu
Poprzez długie, złote lato.
Łykalem kurz
I popędzałem ogromne, pomarańczowe
maszyny...
Świt był moim wrogiem,
O niczym tak nie marzyłem
jak o zachodzie...*

- Słyszysz? To mój stary kumpel Bobby McGregor i jego kapela. Razem z Bobby'm nieraz podróżowaliśmy szybko i bez zbędnego balastu, póki nie stał się sławnym piosenkarzem i nie zbił majątku na tych wszystkich piosenkach, które spisywał po drodze. Miał zwyczaj jeździć na tylnym siedzeniu i grać na sześciostrunowej gitarze martina;

wymyślał piosenki i zapisywał je w zeszycie. Nie widziałem go już od bardzo dawna, odkąd się ustatkował i ożenił... dopiero potem stał się sławny. Ta piosenka jest o tym, jak to było tam na tych pomarańczowych kombajnach, gdy jechaliśmy na północ przez całe lato, uciekając pod granicę kanadyjską w czasie upałów i wracając na południe, gdy robiło się chłodno. Chciałbym to kiedyś jeszcze powtórzyć. - Głos dziwnie mu zmiękł. - Nie miałem od niego ani słowa już od bardzo dawna.

W miejscu, gdzie droga numer 67 krzyżowała się z trasą numer 90 wiodącą ze wschodu na zachód, Jack pochylił się nad kierownicą i wskazał na prawo.

- Alpine jest jakieś osiem mil w tamtym kierunku. - Wskazał na lewo. - Ranczo znajduje się siedem mil w tę stronę, więc jesteście oddaleni od miasta o zaledwie piętnaście mil, nie licząc jakichś dwóch mil drogi od autostrady do domu... czyli to daje nam siedemnaście mil do Alpine, jeżeli chcesz się wdawać w szczegóły.

Linda popatrzyła na zachód, w kierunku Alpine. W dole cienkiej wstążki autostrady widać było góry, jedne o pojedynczych szczytach, inne o rozdwojonych. Na wprost przed nią i za nią znajdowały się góry; co prawda nie Skaliste, nie takie z ośnieżonymi czubkami, jakie widywała na pocztówkach, lecz mimo wszystko wcale potężne góry. Jasne światło malowało je na żółto, a ziemia miała tu beżowy odcień. Na pierwszy rzut oka krajobraz wydawał się twardy i szorstki, lecz jednocześnie łagodny i wybaczący w innych aspektach. Pomyślała, że te góry można zdobyć, można się na nie wdrapać bez specjalnego sprzętu; te góry nie dominują nad człowiekiem.

Jack poprawił się na fotelu i skręcił w drogę numer 90; wolno zmieniał biegi i rozglądał się dokoła.

- Nie ma nic na tym świecie, co by się równało powrotowi do domu, zwłaszcza jeśli domem jest Alpine w Teksasie, pełne najmiłszych, najlepszych ludzi, jakich można spotkać na ziemi, z kilkoma tylko sukinsynami, kryjącymi się tu i ówdzie. Oto muszę powiedzieć, tańcząca damo, najwspanialsze miejsce na świecie pod każdym względem i jestem przekonany, że ci się spodoba i Sarze Margaret. - Spojrzał na nią tym swoim powolnym, łagodnym, poważnym-przechodzącym-w-rzeczne spojrzeniem; mówił bardzo cicho. - Strasznie bym chciał, żeby wam się tu spodobało, bo mam nadzieję, że zostanieie tu na długi, długi czas.

- Dlaczego Jack nazywa cię „tańczącą damą”, mamo?

Linda przyciągnęła córeczkę do siebie i posadziła ją sobie na kolanach.

- Później ci to wyjaśnię, kochanie. A teraz popatrz na te śliczne góry, słoneczko. Widzisz te roślinki? One się nazywają kaktusy.

Pociąg towarowy linii Południowy Pacyfik pędził wzdłuż drogi 90, w przeciwnym kierunku niż Alpine; pięć lokomotyw ciągnęło sto wagonów i posuwało się z niesamowitą szybkością.

- Popatrz tylko na starą PP - mruknął Jack. - Uniosła kiecki i nabrała dostatecznie dużo

pary, by przeskoczyć przez przełęcz Paisano, po drugiej stronie Alpine. Tu mamy naprawdę długie pociągi, nie to, co te wasze tramwaiki na środkowym Zachodzie. Widziałem kiedyś taki jeden na linii między Houston a El Paso, który miał trzynaście lokomotyw i ciągnął sto trzydzieści cztery wagony.

Po paru milach Jack zwolnił i zjechał z autostrady na zakurzoną dróżkę biegnącą prosto ku góróm. Nad drogą wisiał metalowy łuk z napisem „Ranczo Kragłe C” na górze. Lewy słup podpierający łuk był przedziwnie wygięty na bok.

- Co tu się stało? - zapytała Linda, wskazując na wygięcie, kiedy przejeżdżali pod łukiem.

- Bałem się, że o to spytasz. - Jack robił co mógł, by omijać wyboje na wąskiej, krętej drodze i tylko częściowo mu się to udawało; wszyscy troje podskakiwali w górę i w dół, a także na prawo i lewo. - Prawda wygląda tak, że to pozostałość po dzikich i marnotrawnych dniach mojej młodości, która okazała się odpowiednim... wstępem do mojego dorosłego życia... Dobry Boże, najwyższa pora naprawić tę drogę, wystarczy, że otworzysz gębę, a już wszystkim się wydaje, że się jąkasz. Pewnego wieczoru wracałem tędy z Earlem i Smutasem, naszym poprzednim psem, z jednej z naszych włóczęg po okolicy. Smutas był trzeźwy, lecz my z Earlem jak zawsze nieco przeholowaliśmy. Earl prowadził i jakoś trochę zniósł go na lewo, gdy przejeżdżaliśmy przez bramę, no i przyrąbał w nią solidnie. Miałem wtedy tylko piętnaście lat, a Poly bardzo niechętnie patrzył na wszelkie hulanki; był wcale przyzwoitym i spokojnym facetem, z wyjątkiem tych dni, gdy podrywał Rainy i zrobił jej dziecko, czyli mnie... tak mi przynajmniej opowiadała. Tak czy inaczej, tamtej nocy Earl wylazł z samochodu, przyjrzał się tej bramie całej pogiętej i zezowatej w świetle reflektorów i jęknął: „O cholera, Jack, pan Carmine teraz to już z całą pewnością mnie zwolni”. A ja mu na to: „Mowy nie ma, Earlu Chavezie, bo od tego momentu aż do domu ja prowadzę i powiem wszystkim zainteresowanym, że to ja przydzwoniłem w to cholerne żelastwo”. Rainy już na nas czekała, gdy wjechaliśmy na podwórko z ogromną nową szramą na lewym błotniku tamtego forda pikapa, który i tak był poobijany w wielu miejscach. Ale Poly bezbłędnie potrafił wyniuchać nowe wgięcie z dwustu jardów i z zawiązanymi oczyma. Doszedłem do wniosku, że nie ma co się z tym ukrywać, skoro prędzej czy później ktoś i tak zauważy, co zrobiliśmy z bramą. Trzeźwiałem bardzo szybko, więc powiedziałem Rainy, że rąbnąłem w bramę i że jest mi strasznie przykro z tego powodu. A ona odparła mi tylko: „Lepiej kładź się już do łóżka. Mam przeczucie, że od jutra będzie tu mnóstwo roboty”. Następnego ranka Poly przyszedł od bramy i powiedział, że płot przy Górze Małego Konia - to tamten duży niebieski szczyt przed nami - wymaga naprawy i że ja mam się tym zająć. Resztę lata spędziłem, pracując przy tym płocie, najpierw po jednej stronie góry, potem po drugiej... całkiem sam w skwarze teksańskiego słońca. Poly zajął się następną kruczają, a Rainy powiedziała, że nie naprawi bramy i pozwoli jej tak stać powykrzywianej... powiedziała, że to jej własny, unikatowy sposób postawienia pomnika głupocie wszystkich mężczyzn noszących nazwisko Carmine, jakich w życiu spotkała.

Znowu wyboje i podskoki, przejazd przez dwie zagrody dla bydła, zardzewiałe zwoje drutu wijące się po ziemi, pusta butelka po piwie lone star stojąca na drewnianym słupku ogrodzenia.

- Więc siedziałem tam na Górze Małego Konia i pracowałem ciężko, podczas gdy Earl nieźle sobie radził w oborze i zagrodach dla bydła, a mój młodszy brat Eddie tymczasem w salonie ćwiczył grę na oboju. Nieraz, gdy wracałem na noc do domu zamiast nocować na górze, drażnił się ze mną i naśmiewał, dopóki nie zagroziłem, że od następnego ranka zacznę wbijać pale ogrodzeniowe jego obojem. Wyczuł, że nie jest to wcale czcza groźba, jeśli tylko wpędzi mnie w odpowiednio zły humor, więc przestał. Jediną dobrą stroną tego wszystkiego jest to, że Earl nigdy nie zapomniał, iż wziąłem na siebie jego winę i staliśmy się sobie bardzo bliscy; tak bliscy, jak tylko mogą być dwaj wspólnicy w występku.

- To był piękny gest z twojej strony, Jack... postąpiłeś wspaniale, biorąc na siebie jego winę.

- Wcale nie. Jeżeli miałem jeszcze kiedykolwiek wyrwać się z rancza na jakąś zabawę, potrzebowałem Earla, żeby prowadził samochód. Miałem wtedy raptem piętnaście lat i w ogóle nie wolno było mi siadać za kółkiem. To była jasna kalkulacja zysków i strat, najczystsza forma racjonalnego myślenia mimo stanu, w jakim się znajdowałem tamtej nocy.

Lina Lobo uśmiechnęła się.

- Nadal uważam, że to był piękny gest... Nie odbieraj sobie zasług, Jack.

- Oto i dom - powiedział Jack, gdy objechali grupkę kaktusów i droga wiodąca na południe nieco się wyprostowała, nadal pnąc się w górę pod kątem jakichś czterech stopni, obok zagród dla krów, szop i pomarszczonej kupy szarego nawozu. - Earl musiał wygonić bydło na tylne pastwiska. Zadzwoiłem do niego i powiedziałem, że przywiozę gości; kazałem mu posprzątać w domu i przenieść stary tyłek do pokojów dobudowanych do obory.

- Widzisz, wraz z Sarą Margaret już rozbijamy wam życie, dokładnie tak, jak ci to powiedziałam jeszcze w Minnesocie.

- Posłuchaj, razem z Earlem mieszkaliśmy w tych pokojach przez trzy lata i nie ma w nich nic złego, są w porządku. Pomogę mu w nich posprzątać i poukładać graty tip-top, i będzie tam jeszcze ładniej niż za starych dobrych czasów. Załatwię mu małą lodóweczkę i upewnię się, że ten stary piec na drzewo działa jak należy; zaczekaj, sama się przekonasz. A tak przy okazji, pierwszą rzeczą, jaką musimy kupić w mieście, są kapelusze z szerokimi rondami dla was, moje panie, bo jeżeli nie będziecie uważać, pustynne słońce zamieni was w pomarszczone staruszcзки, zanim się obejrzyście. A jednak uważam, że lepsze to od wyjącego wiatru i głębokiego śniegu... takie jest moje zdanie. Poczekaj, aż zobaczysz pierwszy świt, pierwsze promienie słońca nad Szklaną Górą, tam, na wschodzie... wschód słońca można tu podziwiać z głównej sypialni, nawet nie wstając z łóżka. Hej! Oto i stary Jęczzydusza, poznał poobijany samochód i wariata, który nim jeździ!

Brazowy pies nadbiegł poboczem drogi, język miał wywieszony, a ogonem wywijał od

ucha do ucha. Jack wychylił się przez okno i zawołał:

- Jęczydusza, piesku! Jak leci? Miło cię znowu widzieć! Cieszę się, że przetrwałeś następne lato!

Jęczydusza zaszczekał, biegł przez jakiś czas równoległe z pikapem, po czym przyspieszył i popędził w stronę domu. Domu, w którym Linda będzie leżeć w łóżku z Jackiem Carmine'em, pić kawę i patrzeć, jak świt wpełza na Szklaną Górę. Gdzie wiatr nadejdzie o świcie i umilknie późnym porankiem, zostawiając po sobie tylko leciutki ślad powiewu w wysokiej trawie, cedrach i krzewach *mesquite** [przyp.: Niskie krzewy rosnące na pustynnych obszarach stanów zachodnich (przyp. tłum.)]. Gdzie otuli ją cisza, gdy będzie stać przy ogrodzeniu lub siedzieć na ganku. Zaczęła nieomal obawiać się ciszy, przeraźliwej ciszy na ogromnych przestrzeniach; wyobrażała sobie, że może usłyszeć, jak błękitny górski wawrzyn z trudem zaczyna kwitnąć na zboczach wiosenną porą albo jak łopoczą skrzydła jastrzębia krążącego nad prerią dwie mile dalej. Brak jakiegokolwiek dźwięku przytłaczał ją, aż poczuła, że lada chwila eksploduje pod wpływem tej presji. Nigdy do końca nie przyzwyczała się do ciszy, do odgłosu nicości, i wstrzymując oddech, czekała na łoskot pociągu pędzącego wzdłuż autostrady albo na powiew wiatru przyginający trawy do ziemi.

Nauczyła się ponownie ładować pompy sięgające tysiąc pięćset stóp w głąb ziemi w poszukiwaniu wody; Jack uśmiechał się do niej, gdy wspólnie pracowali.

- Widzisz, panno Lindo, jesteś dziewczyną wychowaną w mieście. Odkręcasz kran i nie zastanawiasz się, skąd pochodzi woda, ktoś inny się tym przejmuje za ciebie. Tutaj woda to wszystko. Odkręcając kran, myślimy o pompie ukrytej pięćset metrów dalej, zastanawiamy się, czy nadal pompuje, czy nie trzeba jej naoliwić albo ponownie naładować... Mętnej wody używa się do podlewania ogródka, gdy rosną w nim roślinki, lecz tego tu już od dawna nie było. Pokażę ci, jak załadować pompy na wszelki wypadek, gdybyś musiała to zrobić, kiedy mnie nie będzie w pobliżu, a Earl też się gdzieś zapodzieje z powodu, który w tej chwili nie przychodzi mi do głowy. Tak, czy inaczej, niektóre rzeczy warto wiedzieć, a ładowanie pomp jest właśnie jedną z nich.

Z Jackiem Carmine'em życie było jednym długim pasmem niespodzianek. W piątek, w środku lata, przyniósł do domu dmuchany materac od Morrisona, sklepu, który nazywał „składnicą wszystkiego i niczego, gdzie można znaleźć dokładnie to, czego ci trzeba - pompy, deski sedesowe, zastawę stołową, nie mówiąc już o broni palnej, kijach bilardowych i kasetach z piosenkami Merle Haggarda. Jeżeli czegoś nie mają, zdobędą to za parę dni; to jeden z ostatnich wspaniałych sklepów w tym kraju”.

- Co chcesz z tym zrobić? - spytała Linda, patrząc na pakunek z napisem: „Podwójny dmuchany materac kempingowy”.

Jack zakołysał papierosem, który trzymał w zębach.

- Kiedy pogoda będzie ładna, a księżyc wysoko na niebie, pomyślałem, że możemy pojechać na Górę Małego Konia i trochę się powygłupiać. Sarę Margaret zostawimy pod

opieką Earla. Wrócimy do korzeni.

- Jacku Carmine, ty naprawdę mieszasz szalone pomysły, na ogół większość z nich mi się podoba. Ale co z grzechotnikami?

- Te grzechotniki będą najmniejszym z naszych zmartwień. Dopóki nie zaczniemy im się naprzykrzać, też nic nam nie zrobią. Poza tym jeśli jeden z nich zacznie się czołgać po tobie, leż nieruchomo i udawaj, że to ja robię ci jakiś egzotyczny masaż czy coś w tym stylu; to wyzwoli cię od strachu i przemieni w prawdziwą kowbojkę. A jeżeli nie zadziała, wezmę ze sobą rewolwer i duży zapas naboju, i od czasu do czasu będę sobie strzelał w bliżej niesprecyzowanym kierunku.

I w noc, gdy pogoda była ładna, a księżyc stał wysoko na niebie, zabierali dmuchany materac i jechali starą toyotą land cruiser z pięćdziesiątego dziewiątego roku, która kiedyś należała do Poly'ego Carmine'a, na Górę Małego Konia, tak wysoko, jak stary gruchot zdołał ich zawieźć. Potem wspinali się pieszo; Linda Lobo niosła materac, a Jack Carmine lodówkę turystyczną pełną piwa i radio z magnetofonem. Ogromne księżyce wstawały nad Szklaną Górą, podczas gdy radio grało, a Teksas Jack Carmine przemawiał cicho do tańczącej damy i dotykał jej delikatnie. Kołysząc się nad nim o świcie, ze słońcem świecącym w twarz, słońcem świecącym na jego ręce, jego ręce na jej piersiach... w tych chwilach Linda czuła, że jej obawy są bardzo daleko, i Góra Małego Konia była jedynym miejscem na świecie, w którym chciała być.

- Wpadłem na pomysł, jadę do Morrisona - powiedział Jack pewnego wtorkowego poranka i ruszył w stronę miasta. Dwie godziny później usłyszała koła pikapa zgrzytające przy wschodniej ścianie domu. Na górze leżał aluminiowy zbiornik, a na przednim siedzeniu elektryczny silnik i jakieś inne dziwactwo, które - jak się później dowiedziała - było opiekaczem do ryb. Linda wyszła na dwór, wycierając ręce w ścierkę do garnków. Patrzyła, jak Jack i Earl mocują się ze zbiornikiem.

- I co teraz? - spytała; Sara Margaret stała obok niej. Odpowiedział jej uśmiech Jacka Carmine'a.

- Oto jeden z małych przebłysków technologicznego geniuszu, pierwszy, który zawitał w to miejsce od dłuższego czasu. To ma być niespodzianka, że tak powiem, więc byłbym wdzięczny, gdybyś wróciła do środka i nie podglądała, dopóki nie powiem ci, że możesz już przyjść. Sara Margaret potrafi dochować tajemnicy, więc może pójść ze mną i Earlem do stodoły i siedzieć tam z nami, dopóki nie wykombinuję następnego kroku tego przedsięwzięcia. Trzy czwarte mam już rozpracowane, ale jedną czwartą muszę jeszcze dogłównować w trakcie; to najlepszy sposób. Wspaniałe wynalazki wymagają zbyt wiele pomysłu; cały czas spędzasz na łamaniu sobie głowy, podczas gdy tak naprawdę powinienes zakasać rękawy i działać.

Przez następną godzinę pikap jeździł tam i z powrotem, a Linda słyszała tylko głosy zza okna.

Jack: - Cholera, rąbnąłem się w palec.

Earl: - Jack, jesteś równie szalony jak twój tatko.

Jack: - Earl, wetknij tutaj ten drugi koniec węża i odkręć wodę.

Earl: - Jack, ty jesteś jeszcze bardziej szalony niż twój tatko!

Pół godziny później rozległy się dwa dźwięki; po pierwsze, niskie warczenie silnika. Po drugie, syk płomienia z butli propanowej podgrzewającej opiekacz do ryb ustawiony pod zbiornikiem.

Jack zawołał do niej przez drzwi:

- No dobra, teraz możesz wyjść i podziwiać geniusza przy pracy.

Siedział w zbiorniku wypełnionym wodą, w kostiumie kąpielowym, z cygarem w ustach i w przekrzywionej zawadiacko czapeczce „North Stars” na głowie. Earl opierał się o pustynną wierzbę, z ramionami założonymi na piersi, i potrząsał głową.

Jack zatoczył ręką szeroki łuk.

- Witaj w Jacuzzi Jacka albo Ponurym Pustynnym Zdrojowisku Earla, w zależności od tego, która nazwa bardziej ci się podoba. Dobra, wszyscy wskakujcie w kostiumy kąpielowe! Woda jest wspaniała.

Earl nie miał kostiumu kąpielowego, a i tak był zbyt wstydlivy, by chodzić w kąpielówkach przy wszystkich, nawet gdyby je miał.

- Nie ma sprawy, Earl, wskakuj tu w spodniach i koszuli. Ale musisz zdjąć buty i skarpetki. Masaże zaczynają się o czwartej, aerobik o piątej, a maseczki błotne zostaną nałożone tego wieczora po kolacji złożonej z sałaty i galaretki. Do jutra wszyscy będziemy młodszy i piękniejsi niż poranek.

Sara Margaret wdrapała się na kolana Lindy. Earl, w dżinsach i koszuli, z wyrazem zażenowania na twarzy, siedział naprzeciw nich. Jack rozsiadł się przy kontrolkach silnika i butli propanowej. Wszyscy siedzieli na betonowych płytach; obok wanny, w zasięgu ręki Jacka, znajdowało się wiadro wypełnione lodem z piwem i coca-colą dla Sary Margaret.

- Przy dłuższej sesji będziemy musieli trochę się poszarpać z zainstalowaniem dodatkowych akumulatorów w silniku, ale powinno być okay - powiedział Jack, rozdając wszystkim napoje.

I siedzieli tak wszyscy razem, śmiejąc się do rozpuku z Jacka i z Jackiem. Silnik buczał po cichu, palnik propanowy ryczał od czasu do czasu, a wtorek w zachodnim Teksasie powoli mijał, nie poganiany przez nikogo.

Bywały noce, gdy pod ranczo przychodziły pekari obrożne. Dzikie świnie były czarne i garbate, groźnie wyglądały w ciemnościach i poruszały się błyskawicznie, ignorując zarówno psy, jak i ludzi. Niektóre z nich miały trzycalowe, zagięte kły i ważyły pewnie dobre siedemdziesiąt funtów albo i więcej. Earl twierdził, że widział kiedyś okaz, który wyglądał na dziewięćdziesiąt funtów. Przebiegając pod latarniami na podwórku, wydawały się jeszcze większe, a najeżona szczecina upodabniała je do ogromnych szczurów z jakiegoś starego

horroru. Przy kolacji, jakiś tydzień po przyjeździe Lindy na ranczo, Earl wspomniał spokojnie, że pekari znowu zaczynają wyrządzać szkody i że widział jeszcze jakieś inne ślady, bardzo duże, przy jednym z wodopojów, mniej więcej ćwierć mili od domu.

- Lew? - spytał Jack.

- Tak mi się zdaje. Ślad był mocno stratowany przez inne zwierzęta, ale odchody tuż obok wyglądały mocno podejrzenie.

- O co tu chodzi? Lwy? O jakich lwach mówicie? - Linda zaczęła się zastanawiać, gdzież to wylądowała, u wszystkich diabłów. Iowa wydała się jej nagle strasznie daleko.

Jack uśmiechnął się do niej szeroko i wskazał na swój talerz.

- Wiesz, te *frijoles* wyszły ci znakomite, praktycznie same zeskakują z widelca i rzucają się człowiekowi w usta. - Wziął do ust nieco fasoli, przeżuł, przełknął i dopiero wtedy spojrzał na nią. - Lwy górskie. Mamy tu w okolicy trzy potencjalne szkodniki i Earl mówi o jednym z nich - o lwach górskich, czyli pumach. Jak je zwał, tak je zwał. Zazwyczaj trzymają się kilka mil dalej, po drugiej stronie Góry Małego Konia, ale od czasu do czasu zapuszczają się aż tutaj. Nie sprawiają nam kłopotu, zostawiają bydło w spokoju, ale jeżeli mamy do czynienia ze starym osobnikiem, który już nie za bardzo może polować, będą kłopoty. Na twoim miejscu przytrzymałbym Sarę Margaret blisko domu przez jakiś czas i poczekał na rozwój sytuacji.

- A co z tymi... jak im tam?

- Pekari? - odpowiedział Earl.

Linda skinęła głową.

- To dzikie świnię. Wyczuwają śmieci albo opadłe owoce z drzew pekanowych, albo psią karmę Jęczyduszy, jeżeli nie schowamy jej na noc do domu. Zdaje się, że to psie żarcie smakuje im jak nic innego. Zazwyczaj nie atakują ludzi, chyba że są z młodymi... choć kilka lat temu stado tych drani zapędziło mojego kumpla na drzewo. Jednak najgorsze są dla psów; okoliczny weterynarz sporo zarabia na łataniu psów pokaleczonych przez te świnię. Są paskudne i agresywne, zwłaszcza gdy jest ich dużo i mają ze sobą młode.

Earl zaczął się nagle szeroko uśmiechać i Jack, widząc to, powiedział:

- Oj, Earl, daj spokój. Chyba nie chcesz teraz opowiedzieć tej historii, co?

- Jasne, że chcę. Jest za dobra, by jej nie opowiadać. - Earl uśmiechnął się i spojrzał na Linde. - Dwadzieścia lat temu, *mas o menos*, mieliśmy spore kłopoty z pekari... prawie co noc buszowały po oborze czy szopach. Pewnego wieczora siedziałem sobie na kiblu w jednym z moich pokoi przy oborze, kiedy rozpętało się istne piekło. Nasza stara suka, Smutas, była już mocno posunięta w latach, ale wyła jak szary wilk. Zanim się zorientowałem, co się dzieje, kibel pode mną eksplodował. Omal trupem nie padłem i długo jeszcze musiałem trzymać głowę w zlewie, żeby ochłonać... zastanawiałem się, co też najlepszego zrobiłem. Potem zauważyłem dziurę w ścianie tuż obok miejsca, gdzie niedawno stał klozet. Okazało się, że Jack trochę za ostro zapuścił się za jakąś świnią, a kula przeszła przez całą oborę i rąbnęła w

ścianę pokoju. Nie mogłem się zmusić do siadania na kiblu przez następne cztery dni.

Linda Lobo wyobraziła sobie tę scenę i przyłożyła serwetkę do ust; wyobraziła sobie reakcję biednego Earla, a na widok jego miny, gdy opowiadał tę historię, nie potrafiła się powstrzymać od śmiechu. Sara Margaret także wybuchnęła śmiechem, choć nie bardzo wiedziała, z czego się śmieje.

Jack mlasnął językiem.

- To jest wersja Earla i nie wytrzymałaby krzyżowego ognia pytań najtępszego adwokata. Prawda wygląda tak, że wcale nie atakowałem tej świni tak ostro, tylko ktoś majstrował przy tym cholernym celowniku winchestera, ot co.

Kilka nocy później Linda siedziała na tylnych schodkach domu i pokazywała Sarze Margaret Drogę Mleczną. Jęczydusza leżał obok nich; nagle poderwał głowę i zaczął warczeć gardłowo, a potem przeszedł przez zwały kamieni, które kiedyś tworzyły podmurówkę patio. Wszedł w wysoką trawę jakieś czterdzieści jardów dalej, cały czas głośno szczekając, a po chwili wypadł z powrotem, z podwiniętym ogonem. Dopiero wtedy Linda zauważyła ciemny kształt z zagiętymi kłami wystającymi z otwartego pyska, pędzący w ich stronę. Pekari stanęła jakieś dwadzieścia stóp przed schodkami i wpatrzyła się w nią, zupełnie nie zwracając uwagi na Jęczyduszę.

Linda pospiesznie otworzyła drzwi i wciągnęła Sarę Margaret do domu; Jack już szedł w jej kierunku z winchesterem kaliber 30 w lewej ręce.

- Pekari? - zapytał.

Skinęła głową, drżąc na całym ciele.

Jack wetknął naboje do lufy i złapał latarkę.

- Nie znoszę strzelać do niczego, co mi nie zawiniło, lecz nie cierpię natarczywości, a te cholerne bydlaki będą ci się naprzykrzać, jeśli tylko im na to pozwolisz. Nigdy nie potrafiłem się zdecydować, czy są tak odważne, ślepe czy po prostu głupie.

Kopnięciem otworzył drzwi i omiół podwórko snopem światła. Jęczydusza wrócił na schodki, więc Jack kucnął i powiedział:

- Dobry piesek... - Wróciwszy do środka, dodał: - Nic tam nie ma. Jesteś pewna, że to była dzika świnia?

- Tak, była duża i czarna, i podbiegła prosto do nas. Jack, jak bardzo one są niebezpieczne?

- No cóż, nie reagują najlepiej na krzyki i bat. Jak Earl powiedział już wcześniej, potrafią nieźle poharatać psa... Poly twierdził, że słyszał, jak kiedyś stado zeżarło czyjś dzieciaka - pięcioletniego chłopca - nieopodal Presidio, a Earl lubi opowiadać o tym swoim znajomku, którego zagnały na drzewo. Trudno powiedzieć. Osobiście nie lubię sukinsynów. Wcale się nie dziwię, że się wystraszyłaś. Ale śpij spokojnie, zajmujemy się nimi.

Później tej samej nocy Jęczydusza znowu zaczął koncert, a jego jazgot wzrastał się z sekundy na sekundę. Linda leżała w łóżku i przysłuchiwała się temu; niepokoiła się o psa i

zastanawiała, czy potrafi się dopasować do tej ogromnej, dzikiej krainy. Poczula, że Jack wstaje w ciemnościach, usłyszała, jak wciąga dżinsy i buty, zapina skórzaną kurtkę. Ujądanie Jęczyduszy nagle zmieniło się w skowyt, jakby coś go zabolalo. Odsunęła zasłonkę i zobaczyła stado świni przesuujące się pod oknem, zaledwie trzy stopy od niej.

- Do diabła, chcą się dobrać do Jęczyduszy! - zawołał Jack i poderwał się do biegu ze strzelbą w ręce. Za pasek spodni wetknął colta army kaliber 45, który należał kiedyś do Smylera Carmine'a, i otworzył frontowe drzwi.

- Jack, uważaj, tam jest całe stado i są naprawdę ogromne.

- Gdzie jesteś, Jęczyduszo? - usłyszała Linda jego ciche wołanie.

Jack przeszedł przez wysypane żwirem miejsce do parkowania samochodów i zbliżył się do obory, gdzie migotały światła z mieszkania Earla. Nagle przysiadł na podjeździe i oparł strzelbę o kolano; w lewej ręce trzymał jednocześnie lufę i latarkę. I wtedy Linda zobaczyła świnię - osiem albo dziesięć - poruszającą się w świetle latarki jak stado potworów z dziecięcego koszmarnego snu. Jedna była o wiele większa od pozostałych.

Huk wystrzału był znacznie głośniejszy, niż się spodziewała; podskoczyła, gdy z lufy buchnął ogień, a chwilę później grzmot przewalił się przez dom. Największy z czarnych kształtów potoczył się po ziemi, orząc piach nogami. Reszta stada rzuciła się do ucieczki w kierunku wysokiej trawy za oborą. Jack załadował następny nabój do komory, nie odrywając oczu od celownika i ponownie wypalił. Potem zrobiło się cicho, słychać było tylko cichy płacz Sary Margaret w sąsiednim pokoju. Jedna z trafionych świni uniosła się nieco i usiłowała odczołgać w trawy, ciągnąc za sobą sparaliżowany zad. Jack podszedł do niej i dobił ją z czterdziestki piątki Smylera Carmine'a.

Wrócił do domu, położył strzelbę i rewolwer na krześle, po czym wyszedł znów na dwór, wołając Jęczyduszę. Po chwili pies podbiegł kulejąc do frontowych drzwi.

- Popatrzmy no, co ci się stało, kolego. - Obejrzał dokładnie psa, wstał i zamknął drzwi. - Nic mu nie będzie. Jęczydusza jest odważny, ale wie, kiedy się wycofać. Ma przeciętą prawą łapę, poza tym nic mu nie jest.

Jack poszedł do łazienki i siedział tam przez dłuższy czas. Linda słyszała, jak wymiotuje, a potem spuszcza wodę w toalecie. Umył zęby i wsunął się z powrotem do łóżka; sięgnął po jej dłoń.

- Nie znoszę zabijania; robi mi się od tego niedobrze - mruknął.

Nie powiedział nic więcej, lecz wiedziała, że leżał jeszcze bardzo długo bezsennie, zanim się uspokoił i zaczął cicho pochrapywać. Następnego ranka Earl obwiązał sznurem świnię, z których jedna była „największą pekari, jaką w życiu widział”, jak później powiedział, i zaciągnął je na prerię; świnię podskakiwały za land cruiserem Poly'ego Carmine'a i zostawiały w kurzu krwawy ślad.

Linda Lobo przybyła do zachodniego Teksasu, a zachodni Teksas przybył do niej przez patio z trzycalowymi kłami, które teraz zbieleją w słońcu pustyni. W noc, kiedy Jack zabił

pekari, leżała obok niego i spoglądała w kierunku Szklanej Góry na ogromne teksańskie rozgwieżdżone niebo. Przed tygodniem skończyła trzydzieści osiem lat i zastanawiała się, czy życie naprawdę na tym polega i czy nie ma w nim nic więcej. W ostatnim liście matka napisała, że Gary przejrzał na oczy i chce do niej wrócić. Matka uważała, że to dobry pomysł, zbawienny ze względu na Sarę Margaret, ale Linda tylko potrząsała głową z obrzydzeniem, czytając ten list.

Przysłuchując się pochrapywaniu Teksas Jacka Carmine'a, wyciągnęła dłoń i dotknęła jego włosów; doskwierało jej lekkie poczucie winy. Po jakimś czasie Jack przewrócił się na bok i przestał chrapać. Słyszała kroki Earla na dworze, a później wycie kojota w oddali. Potem nastąpiła martwa cisza, lecz Linda Lobo bardzo długo nie mogła zasnąć.

X

Nowy Orlean, 27 października 1993

Pies stojący przed Cafe Baignet i wpatrujący się w Vaughna Rhomera był chudy i brązowy, z białymi łatami na pysku - produkt niepewnego ojcostwa i bezplanowych kojarzeń w ciągu ostatnich dwustu lat na bocznych uliczkach Nowego Orleanu. Suka ważyła niecałe trzydzieści funtów i przez cztery lata swego życia mieszkała pod gnijącym pomostem portowym na wschód od Targu Francuskiego, posługując się umiejętnościami, których nauczyła ją matka, i przekazując je piątce swego przychówku - przynosiła szczeniakom otwartą puszkę, to skrawki kanapek od turystów, czasem martwą rybę zabita przez śrubę statku. Trzy dni temu poznała Vaughna Rhomera i teraz patrzyła, jak unosi kieliszek brandy i odwzajemnia ukłon kobiety.

Pierwszego dnia Vaughn tylko przyglądał się psu wężącemu nad brzegiem rzeki i myślał, że gdyby jej nogi były odrobinę krótsze, kwalifikowałaby się na przerośniętą gąsienicę. Drugiego dnia zagwizdał cicho i zawołał: „Witaj, piesku!”. Trzeciego dnia, tego właśnie ranka, przyniósł do kafejki dodatkową bułkę i rozglądał się za psem. Przyszła jakiś czas później i wzięła mu bagietkę z ręki; siedział wtedy na murku i dyndał nogami nad brzegiem. Spoglądał poprzez wodę w kierunku Algierii i wspominał ulubiony opis ze swego notesu.

Tylko o tym myślałem przez bardzo długi czas, tylko o wyjeździe i na początku nie miało znaczenia nawet to, dokąd bym się wybrał. Od samego początku, teraz widzę to wyraźnie, moja praca fotografika była tylko częściowo pasją, częściowo zaś pretekstem, umożliwiającym mi podróżowanie. Widziałem tysiąc miejsc - pewnie nawet jeszcze więcej - gdzie chciałbym spędzić całe życie, gdzie mógłbym się osiedlić, poznać ludzi, jak inni to robili przede mną. Mógłbym mieć sklepik w tamtym małym, zakurczonym miasteczku na zboczu wzgórza w Nevadzie; mógłbym dołączyć do aśramy w Pondicherry w Indiach; albo otworzyć warsztat samochodowy w górskim miasteczku w południowo-zachodnim Teksasie lub wypasać owce w Pirenejach czy też zostać rybakiem w jakiejś nadmorskiej meksykańskiej wiosce.

Wybór jest trudny i poważny, jakkolwiek by na to spojrzeć. Droga versus spokojne życie.

Nigdy się zbytnio nad tym nie zastanawiałem, dopóki nie stuknęła mi pięćdziesiątka. Wtedy poznałem kobietę, dla której gotów byłem rzucić wszystko, włącznie z drogą. Ale między nami stało wiele innych rzeczy, i to była moja jedyna szansa, a potem wróciłem na szlak razem z moim aparatem fotograficznym. W późniejszych latach rzuciłem podróże, lecz nadal jestem sam. Wszystkie te lata spędzone na szlaku (plus moja własna niechętna ludziom natura) nie przygotowały mnie należycie na zbliżanie się do bliźnich. Ta kobieta, ta kobieta - była moją jedyną szansą na to, o czym mówię, a jednak, kiedy się teraz nad tym zastanawiam, widzę, że nie miałem przy niej najmniejszej szansy.

Więc w ciągu tych wszystkich lat, gdy czytałeś pod żółtą nocną lampką i marzyłeś o odległych miejscach i może nawet chciałeś je odwiedzić, miejscach, w których bytem z tysiąc razy, ja przechodziłem pod twoim oknem i zazdrościłem ci. Chciałem mieć twoją lampkę i krzesło, twoją rodzinę i twoich przyjaciół. Kiedy przejeżdżałem pod oknami twego domu, noc była pewnie deszczowa, a mój sprzęt leżał na siedzeniu obok mnie, szukałem motelu, który niezbyt nadweryżyłby mój budżet. Pewnie go znalazłem, przespałem noc i o świcie ruszyłem dalej, wspominając twoją żółtą lampkę.

Przepisane z „Wybrzeża podróżników” Roberta L. Kincaida, z „Zebranych esejów o życiu na szlaku” pod redakcją Michaela Tillmana (wydanych w Denver przez Rocky Mountain Classic, 1992), s. 314-315. Cały artykuł po raz pierwszy opublikowany w lipcu 1980 r. przez „The American Traveler”, s. 43-49. Skopiowane do notesu V. H. Rhomera #11, 3/12/92

Vaughn Rhomer poczuł lekkie szturchnięcie w lewy łokieć i zerknął w dół. Suka wpychała swój nos, a potem górą część ciała między jego ramię a bok; położyła mu pysk na kolanach i zlizywała cukier puder z nosa. Zauważył parchy na jej łbie i uszach, lecz mimo wszystko zaczął ją głaskać, omijając brzydkie miejsca; zastanawiał się, jaka maść mogłaby pomóc zwierzęciu. Suka odpoczywała tak przez długi czas, rozkoszując się dotykiem jego dłoni; nie pamiętała, by ktokolwiek wcześniej ją pieścił.

Jutro będzie musiał wracać do domu, ale tego popołudnia pójdzie do sklepu na Royal Street i kupi puszkę psiej karmy. W jednej z kieszeni jego wojskowego plecaka znajdował się otwieracz do puszek; przed wyjazdem postanowił odwiedzić nabrzeże - jako prezent pożegnalny ofiaruje suce nieco jedzenia.

Ariendo Vincent zaczął grać powolnego walca w tonacji b - moll, którego Vaughn Rhomer nigdy wcześniej nie słyszał; melodia była miękka, ciepła i kragła niczym nowoorleańska noc. Suka obserwowała z boku, jak Cohana Eliason odstawia na blat stolika kieliszek brandy, wstaje i wyciąga ramiona do miłego mężczyzny, który przyniósł bagietkę na nabrzeże. Vaughn Rhomer wstał i ruszył z wolna w kierunku kobiety, a biało-brązowa suka

opuściła łeb i pobiegła na południe, w stronę rzeki.

XI

Nowy Orlean, 27 października 1993

Jeżeli byłoby ci dane zatańczyć tylko jeden taniec w życiu, powinieneś móc go zatańczyć z kobietą imieniem Gumbo w Nowym Orleanie, gdy pogoda pod koniec października jest ładna, a Ariendo Vincent gra na swoim altowym saksofonie w tonacji b - moll. Mężczyzna pod sześćdziesiątkę wiedział, jak tańczyć walca, bo robił to nieraz z Marjorie, w takt muzyki Rythm Kings Arta Whalena w piątkowe wieczory w klubie VFW. Murzynka zarzuciła szal na lewe ramię i położyła dłoń na ramieniu mężczyzny, zaskoczona, jak lekko się porusza i jak doskonale ma wyczucie rytmu.

Gdyby Ariendo Vincent mógł się uśmiechać i grać na saksofonie jednocześnie, zrobiłby to w tej chwili; jak każdy uliczny muzykant, który widział już wszystko w swoim życiu, zrozumiał, że tym razem dzieje się coś wyjątkowego. Zagrał melodię do końca, po czym jeszcze raz, za trzecim razem zagrał własną wariację wyciągając nuty, pozwalając im biec własnym tempem; nie spuszczał oczu z małego człowieczka w brązowym ubraniu, który uśmiechał się do Cohany Eliason i do którego ona się uśmiechała.

Ludzie dzielą się na tych, którzy marzą, i tych, którzy ruszają w drogę; tych, którzy tylko przyglądają się kobietom tańczącym w blasku ogniska, podczas gdy wody rzeki płyną, a żółwie śpią na brzegu, i jest tych paru, którzy wstają i tańczą z kobietami, zanim odejdą z biegiem rzeki i nie wrócą, dopóki woda nie zakreśli koła i nie popłynie z powrotem do źródeł. Vaughn Rhomer wstał, wyłamał zamek i uciekł na szlak. W jakiś przedziwny sposób wiedziała o tym i Cohana Eliason, i Ariendo Vincent. A najwięcej wiedział o tym Vaughn Henry Rhomer, podróżnik letnich autostrad, który aż do tej pory wędrował tylko w marzeniach. Wytńczył ze swą partnerką na chodnik, przed Ariendo Vincenta i dalej w stronę ogromnej rzeki, i znowu z powrotem, prowadząc ją w szalonych obrotach przez noc z szalem powiewającym za nimi i błagając moce światła, ciemności i wszystkie stadia cienia między nimi, by to nigdy się nie skończyło, by muzyka płynęła jak wszystkie rzeki i wracała ponownie do źródeł, i znowu z nich wypływała, i tak w nieskończoność.

XII

Zachodni Teksas 1987

Kiedy skrzypek zagrał pierwsze trzy nuty „Zblakłej miłości”, Jack Carmine wstał i spojrzał na Lindę Lobo. Rozmawiała z ludźmi siedzącymi nieco dalej przy stole, zastawionym długą karawaną butelek po piwie lone star, niektórych pustych, innych właśnie zmierzających ku temu stanowi szczęśliwości. Jack starał się przekrzyczeć muzykę.

- Bob Wills! - zawołał.

Linda osłoniła ucho dłonią i spojrzała na niego pytająco, więc powtórzył to samo, decybelami nadrabiając braki w dykcji:

- BOB WILLS... TO PIOSENKA STAREGO BOBA WILLSA!

Skinął w stronę parkietu ośrodka miejskiego Alpine, a ona podążyła za nim. Jack wziął ją w ramiona.

- Podoba mi się twój zapach, panno Lindo. Czy to te nowe perfumy, które kupiłaś w mieście parę dni temu?

Kiwnęła głową i popatrzyła w twarz Jacka Carmine’a skrytą pod czarnym stetsonem.

- Jacku Carmine, ty chyba znasz każdą piosenkę country, jaką kiedykolwiek napisano.

- Ależ skąd... czterech czy pięciu za skarby nie mogę sobie przypomnieć. Tę jednak znam. Te pierwsze trzy nuty można by równie dobrze nazwać podpisem. Tutaj wszyscy rozpoznają pierwsze trzy nuty „Zblakłej miłości”... przynajmniej starsi obywatele.

Kiedy skrzypek skończył piosenkę, orkiestra zmieniła instrumenty i przeskoczyła na szybszy kawałek, jedną z melodii Waylona Jenningsa. Jack poprowadził Lindę dookoła parkietu.

- W zachodnim Teksasie Bob Wills nadal jest królem... - zaśpiewał w takt muzyki.

Od początku Linda polubiła w Teksasie dwie rzeczy. Po pierwsze, było tak, jak przepowiedział Jack - wydawało się jej cały czas, że przyjechała z wizytą do obcego kraju, w którym wszystko robi się zupełnie inaczej niż u niej w domu, kraju ranczerów o głęboko zakorzenionych tradycjach kulturowych, kraju włóczykijów, bójek barowych, pustych szybów wiertniczych i rozbitych małżeństw. Po drugie, mężczyźni potrafili tańczyć, naprawdę potrafili tańczyć.

Wprost nie mogła się doczekać potańcówek od czasu do czasu organizowanych w mieście; piła wtedy i rozmawiała z ludźmi znacznie więcej niż zazwyczaj, jakby chciała nadrobić braki po wielu dniach samotnie spędzonych na ranczu. Jack znał tu wszystkich. Nieraz obserwowała go, jak stoi przy filarze albo siedzi w barze, rozmawia z ludźmi, potrząsa ich rękami i szczerzy zęby w szerokim uśmiechu. Ludzie go lubili; przemawiał ich językiem, był jednym z nich. Zdarzało się, że podchodziła jakaś kobieta i ujmowała go pod ramię, patrzyła mu w oczy z uśmiechem i mówiła rzeczy, których Linda Lobo nie mogła usłyszeć. Doznawała wówczas ukłucia zazdrości; źle się czuła, patrząc na ich swobodną konwersację i wyobrażając sobie, jak wiele lat temu robili różne rzeczy na tylnym siedzeniu pikapa.

Ale Jack nie był o nią zazdrosny. Mężczyźni lubili tańczyć z Lindą, lecz zawsze najpierw pytali go o pozwolenie, zanim zwrócili się do niej. W takich wypadkach Jack uchylał kapelusza i odpowiadał:

- To zależy od panny Lindy, ale uprzedzam was, panowie, że ona na parkiecie przeradza się w istne tornado. Niełatwo jest sobie z nią poradzić.

To niekoniecznie była prawda. Niektórzy z nich byli znacznie lepszymi tancerzami niż ona; poruszali się w namiętny, nieomal uduchowiony sposób, wirując po parkiecie i wprowadzając ją w skomplikowane piruety wymagające niezwyklej sprawności nóg, i nigdy nie gubili rytmu. Mniej więcej o północy zabawa nabierała gorętszego tempa, orkiestra podkręcała wzmacniacze, a ludzie zaczęli coraz szybciej wirować pod reflektorami miejskiego ośrodka. Jedynym sposobem, by nie dać się im zdeptać, było dotrzymywanie im kroku. Pot spływał po twarzy Jacka Carmine'a, gdy tańczył z Lindą dokoła parkietu, z butelką piwa wetkniętą w tylną kieszeń dżinsów, z dłonią w tylnej kieszeni jej spodni; nie zawsze udawało mu się utrzymać rytm, ale zawsze świetnie się bawił.

Po północy orkiestra grała gorąco i głośno, stalowe struny gitar właściwie krzyczały, dwieście par butów tupalo o podłogę, a sto stetsonów unosiło się i opadało, i obracało się w kierunku poranka. Potem jechali wraz z Jackiem pikapem z powrotem na ranczo, gdzie robili sobie kanapki z jajkiem. Jack Carmine opierał się o framugę kuchennych drzwi z kanapką w jednej, a butelką piwa w drugiej ręce. Patrzył przez okno na Górę Małego Konia i mrucał:

- Tu jest piękniej niż w jakimkolwiek innym zakątku ziemi, tańcząca damo.

Po czterech miesiącach pobytu Lindy Lobo w Teksasie, gdy dni zaczęły się robić coraz cieplejsze na początku marca, Jack zaczął wspominać o ogromnych pomarańczowych maszynach, o wyjeździe na północ, o polach pszenicy, które biegną, złote i żyzne, w dal, kiedy jesienne kanadyjskie niebo robi się kobaltowoniebieskie. Powiedział, że ranczo jest za małe, by mogli się z niego wyżywić, i że musi wyjechać, by przywieźć skądś gotówkę, która pozwoli im przetrwać następną zimę.

Linda zaproponowała, by może znalazł sobie pracę bliżej Alpine, i dodała, że sama mogłaby zacząć pracować jako kelnerka, by Jack nie musiał jechać z kombajnami na północ. Wiedziała jednak, że chodzi o coś więcej niż tylko pieniądze; miało to coś wspólnego z

osobowością Jacka Carmine'a i tym wszystkim, co pchało go w nieznane.

On starał się zwalczyć wołanie szlaku, powtarzał, że trzeba myśleć o Sarze Margaret, że Earl musi doglądać bydła, więc kto niby ma się zająć dziewczynką, gdy Linda pójdzie do pracy? Pierwszego lata rozejrzał się po okolicy i zahaczył się z ekipą budowlaną przy lokalnym college'u; zarobił jednak znacznie mniej, niż mógłby zdobyć, jeżdżąc kombajnem.

Wieczorami wracał do domu bardzo zmęczony.

- Wnoszę i wynoszę rury z sal lekcyjnych, w których sam siadywałem dwadzieścia pięć lat temu, i mam takie dziwne wrażenie, że koło się zamyka... że właściwie nic się nie zmieniło.

- Nigdy mi nie mówiłeś, że chodziłeś do college'u. Kim chciałeś zostać?

- Nauczycielem. Kiedyś miałem nagły przechył w stronę idealizmu... to było na krótko przedtem, jak zawróciłem o sto osiemdziesiąt stopni i zostałem na tej drodze na dobre. Trudno jest być lepszym, niż się chce być... jak mi się zdaje. Z drugiej strony, po jakimś czasie nauka zaczęła mi przypominać wskazówki w supermarkecie: skręć w lewo przy tapetach, potem w prawo przy zastawie stołowej, trzecia półka od góry.

Linda właśnie kończyła wycieranie naczyń; przechodząc od zlewu do szafki, zrobiła krok nad Jęczyduszą. Jack siedział przy kuchennym stole, starym skrzydle drzwi położonym na kozłach do heblowania drewna przywleczonych z tartaku. Na dworze ostatnie drzewko pekanowe Rainy Carmine starało się ze wszystkich sił zakwitnąć, a od strony Góry Małego Konia dobiegał cichy odgłos ptasich trelów. Kuchenne drzwi z odłóżką białą farbą wyglądały jak abstrakcyjny obraz, choć Jack obiecał je oskrobać i ponownie pomalować, czego nigdy nie zrobił; podobnie jak nigdy nie naprawił starej pękniętej sprężyny, która nie pozwalała zamknąć ich na klamkę. Mówił, że pomaluje drzwi, lecz woli je niedomknięte.

- Czasem myślę nad zapisaniem się do college'u - odezwała się Linda przez ramię. - Kiedy jeszcze mieszkałam w Dillon, zastanawiałam się nad powrotem do Altoona i zapisaniem się na pierwszy rok college'u w Des Moines.

Jack Carmine podniósł solniczkę i obejrzał ją ze wszystkich stron; balansował nią na grzbiecie prawej dłoni, przesuwając rękę tam i z powrotem nad stołem.

- Dlaczego i z jakiego powodu? - Potem wziął pieprzniczkę i powtórzył z nią tę samą operację.

- Wydawało mi się, że to jakoś pomoże mi się rozwinąć. Że może dzięki temu będę się mogła bardziej usamodzielnąć.

Kiedy bawił się solniczką i pieprzniczką, zauważyła drobne ranki i zadrapania na jego dłoniach. Zawsze zdumiewało ją to, jak ogromne ma dłonie w porównaniu z resztą ciała. Ponadto jego twarz i ręce zawsze wydawały się znacznie starsze od reszty ciała.

- No cóż, jeżeli potrafisz to przeprowadzić, zbytnio się nie zmieniając, na pewno warto - rzekł. - Zdaje mi się, że teraz mamy na świecie erę papierkową. Jeżeli masz w ręku papierek, że ukończyłaś studia, z łatwością dostaniesz dobrze płatną pracę, która będzie polegać na

siedzeniu na tyłku i przeglądaniu jeszcze większej sterty papierów leżących przed tobą, i wydawaniu papierków osobom, które także siedzą na tyłkach i przeglądają papierki.

Bardzo to przypominało obraz, który nieraz widziała przed oczyma. Często wyobrażała sobie siebie chodzącą na zajęcia, a potem ewentualnie w todzie i birecie w wiosenny majowy dzień, kiedy jakiś starszy jegomość wręczy jej dyplom, w którym będzie napisane, że Linda Lobo jest mądra i może dostać dobrą pracę. Wyobrażała sobie biura z klimatyzacją i jeśli dostatecznie mocno się skupiła, widziała siebie idącą korytarzem z teczką w dłoni, dobrze ubraną, znaną i szanowaną.

W szkole średniej nie wiodło się jej źle; Linda nie była głupia i dobrze o tym wiedziała. Ale college? Zawsze wydawał się stworzony dla innych ludzi, tych, którzy nosili stopy książek z biblioteki, mieli same piątki i pracowali przy gazetce szkolnej. Ona należała do innej grupy, do tych, którzy nigdy zbyt wiele nie zastanawiali się nad przyszłością i uważali, że w końcu i tak wszystko sprowadza się do małżeństwa i dzieci. W lecie i po szkole pracowała jako kelnerka w kafejce w śródmieściu, serwując hamburgery i zapiekanki; wiedziała, że mężczyźni z cementowni obserwują ją i mówią o jej piersiach, długich nogach i zgrabnym tyłeczku. Jednak zamiast na lekcjach jej uwaga skupiona była w tamtych czasach na Lukasiu Mathenie oraz na tym, co robili w trawie parku Hayes lub na siedzeniu jego samochodu, gdy pogoda była brzydka. Przyszłość wydawała się im wtedy taka odległa, gdy znajdowali się w jego fordzie rocznik pięćdziesiąt pięć - z bladym światłem płynącym z tablicy rozdzielczej, cicho grającym radiem, bluzką Lindy zawieszoną na kierownicy i jego dłońmi na jej ciele.

Zamknęła szafkę, złożyła ścierkę, którą wycierała naczynia, i położyła ją na blacie.

- Przecież ty chodziłeś do college'u, Jack.

- Przez jakiś czas owszem, ale potem zdecydowałem, że już nigdy więcej tego nie zrobię. Jest coś złego w organizacji szkolnej... jakbyśmy kształcili nie te, co trzeba, części istoty ludzkiej. Zabieramy się do jakiegoś maleńkiego fragmentu mieszczącego się tutaj - wskazał lewą stronę swej głowy - podczas gdy pozostałe części odpowiedzialne za muzykę, tańczenie, śpiewanie i wszystko inne krzyczą: „Hej, a co ze mną?!”

- Więc jakie stąd wnioski? - spytała Linda Lobo.

- Uważam, że nie powinno wydawać się dyplomów ukończenia studiów nikomu, kto nie używał piły łańcuchowej, nie prowadził kombajnu na północ przez całe lato albo nie potrafi naprawić silnika samochodowego na podwórku za domem. Powinno się umieszczać na dyplomie ukończenia studiów jakieś uściślenie, na przykład: „W zakresie myślenia o rzeczach takich jak wschody słońca, z wyłączeniem rzeczy pożytecznych”. Czy zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego szkoły są demolowane, a gabinety dentystyczne nie? Jest w tym wszystkim coś, nad czym powinniśmy się wszyscy zastanowić. Jesteś wspaniała, panno Lindo, ale jeżeli chcesz się zapisać do college'u, mamy tu jeden w Alpine, całkiem blisko, ten, w którym noszę rury. Możesz zasiąść w jednym z tych drewnianych krzesełek, które mają wycięte na

poręczach inicjały, a ja będę puszczał do ciebie oczko, przechodząc obok i ciągnąc za sobą czterostopową rurę o średnicy dwóch cali. Może nawet pochylę się i pocałuję cię w kark, byś nie zapomniała o tym, co naprawdę ważne, podczas gdy ty będziesz się uczyć przekładać papierki.

Linda stała przy zlewie i wyglądała na dwór.

- No cóż, przynajmniej się nad tym zastanowię, to wszystko. Wydaje mi się to nieco przerażające, ale może kiedyś spróbuję. Jakiś czas temu widziałam w telewizji program o starszej kobiecie, która poszła do college'u i wszystko dobrze się jej potem ułożyło.

Jack podszedł do niej tanecznym krokiem.

- Jedyną przerażającą rzeczą w tym wszystkim jest to, że mogłabyś stracić te wszystkie cechy, które składają się na twoją dobroć. Pojedźmy do miasta, napijmy się dobrego piwa i połammy kije bilardowe w Crystalu. Ten cholerny Billy Leaton pobił mnie dwa tygodnie temu na osiem bil, więc muszę trochę poćwiczyć, zanim moje zdolności kompletnie mnie opuszczą.

W piątkowy wieczór w lipcu Linda Lobo po raz pierwszy zobaczyła Jacka w ataku szału; zataczał się dokoła domu po podwórku oświetlonym tylko gwiazdami, wrzeszczał niezrozumiale na Leona, by zabrał ze sobą czerwonych, i dygotał całym ciałem, jakby strzelał z wyimaginowanego karabinu maszynowego. Nie wiedziała, co robić, więc tylko wykrzykiwała jego imię i pytała, co u Boga Ojca wyprawia? Earl przybiegł pędem z obory, złapał Jacka i usiłował położyć go do łóżka i uspokoić, lecz Jack walczył z nim i w końcu mu się wyrwał. Earl stał wtedy tuż obok Lindy i patrzył, jak pikap podskakuje na pylistej drodze w kierunku autostrady; tylne światła unosiły się i opadały jak sam Jack.

Następnego dnia Linda Lobo przemierzyła ciemną sosnową podłogę z pięćdziesiąt razy w drodze do okien od drzwi frontowych, potem do kuchni, tylnych drzwi i znowu do okien. W porze lunchu zrobienie kanapek Sarze Margaret zajęło jej dziesięć minut - posmarowała chleb masłem orzechowym i majonezem, przesuwając nożem z niezwykłą precyzją, pokrywając każdy fragment z wojskową dokładnością, jakby wykańczała arcydzieło. Sara Margaret zjadła lunch i rozkładając ramionka jak tylko mogła najszerzej, opowiedziała Lindzie o „ogromnie wielkim robaku ze śmiesznym języczkiem”, którego widziała tego ranka w ogródku. Linda wypila kawę i nie zwracała większej uwagi na córeczkę, nawet gdy Sara Margaret wystawiła język i zaczęła nim gwałtownie poruszać, by lepiej zobrazować swe ranne przeżycie. Kiedy dziewczynka zapytała, gdzie jest Jack, Linda odpowiedziała tylko, że wyjechał na chwilę i wkrótce wróci.

Wczesnym popołudniem w domu rozlegało się tylko ciche posapywanie Sary Margaret śpiącej w swoim pokoju i tykanie kuchennego zegara. Linda siedziała w salonie i wpatrywała się w pusty kominek. Potem przeniosła się do sypialni i przez wiele godzin leżała na łóżku, nasłuchując chrzęstu kół pikapa, który nie nadjechał.

Około siódmej Jęczydusza zaczął szczeakać. Linda była w kuchni, lecz przeszła przez

salon na frontowy ganek i zobaczyła smugę kurzu ciągnącą się za Jackiem Carmine'em, który jechał w stronę domu. Tego wieczora tańczyli w salonie, a potem przenieśli się na dwór i tańczyli coraz dalej po drodze, mimo iż muzyka Waylona Jenningsa milkła w oddali. Jack zaczął mówić o wyciągnięciu materaca i pojechaniu na Górę Małego Konia, by popatrzeć na wschód słońca, a potem, za parę miesięcy, o podróży do Meksyku.

Tamtej jesieni Jack uśmiechał się do niej przez stolik w hotelu Holland. Linda miała na sobie czarną sukienkę, którą kupił jej dokładnie rok temu.

- Niech to będzie taka nasza rocznica - powiedział wcześniej tego samego dnia. - Wyszprzątam ciężarówkę, ty włożysz tę swoją czarną sukienkę i pojedziemy do jakiegoś ładnego lokalu, może do hotelu w mieście, jeśli nie masz nic przeciwko temu. A żeby wszystko było jak należy, włożę białą koszulę i krawat.

Okazało się jednak, że koszuli nic już nie uratuje, a krawat gdzieś się zapodział.

- Ten cholerny krawat gdzieś tu był; jestem tego pewien, bo trzymałem go specjalnie na pogrzeby. Zawsze chodziłem na pogrzeby, lecz nigdy na stypy. Jak się teraz nad tym zastanawiam, kiedy ostatni raz widziałem ten krawat, Jęczydusza miał go na karku z okazji jakiegoś polowania. Wszystko jedno, wypoleruję swoje wysokie kowbojki, włożę stetson i będę robił za prawdziwego dżentelmena z zachodniego Teksasu.

Zostali w hotelu całą noc, a gdy wyszczerzył zęby w uśmiechu i zapytał, czy chce spać w osobnym pokoju, uśmiechnęła się do niego dokładnie tak samo, jak zrobiła to rok wcześniej.

- Nie w tym życiu, Jacku Carmine... nie w tym życiu. A na pewno nie dziś w nocy.

To były dobre czasy, gdy nie istniało dla niej nic lepszego niż on.

Ale był też długi, powolny upadek, nieubłagana mroczna strona Jacka Carmine'a. Bez względu na to, co ona, Earl czy ktokolwiek inny usiłowałiby zrobić, upadek Jacka miał własny motor, nadzorowany przez tego, kto siedział na stole stolarza i obserwował szalony wyścig poniżej. Jego napady furii stawały się coraz częstsze, zdarzały się co kilka tygodni - nagle, niespodziewanie, bez żadnego powodu, który można by przewidzieć lub przeczuć; wspomnienia, terkot wojennej kroniki filmowej doprowadzały go do szału i łez. Wrzeszcząc o dzieciach na drucie kolczastym i o tym, jak można zmieść dach chaty salwą z karabinu maszynowego, jakby była to ogromna miotła, zataczał się po podwórku z butelką lone stara, z rękami ułożonymi tak, jakby trzymały karabin kaliber 50 i dygotał od wyimaginowanych odrzutów broni. Potem krzyczał o łowcach skalpów i łotrach, którzy strzelają w plecy, i na Leona, by zabrał to w cholere, by zabrał czerwonych do diabła; Linda łapała go za ramię i wrzeszczała, że, na miły Bóg, Leon już go nie słucha.

A on odpowiadał jej krzykiem:

- To zabijanie... nie rozumiesz? Zabijałem wszystko, każdą cholerną osobę, która się do mnie zbliżyła! Kobiety, dzieci, wszystko, co tylko podeszło mi pod celownik!

Później leżała cichutko w łóżku i słyszała jego kroki przemierzające werandę tam i z powrotem. I dźwięk jego głosu, monotonnego, jakby recytującego mantrę, mieszającego

słowa poety ze słowami Jacka Carmine'a.

- Więc widzisz, to było tak: ze snu matki mojej spadłem w „przestrzeń” i trzymałem się jej kurczowo, aż moje mokre futerko zamarzło doszczętnie... Więc widzisz, to było tak: ze snu matki...

W ciemnościach, wiele godzin później, słyszała ciche szuranie stóp i widziała Earla w nocnej koszuli, jak delikatnie kładzie Jacka Carmine na łóżku obok niej, a Jęczydusza depcze mu po piętach. Jeżeli zaś to wszystko, co było w nim brzydkie i straszne, nie dawało się ułagodzić słowami i dotykiem, słyszała ryk silnika samochodu. Czasem znikał na kilka dni i nikt nie wiedział, dokąd pojechał ani dlaczego oprócz Earla Chaveza, który przyszedł pewnego dnia na schodki werandy i opowiedział Lindzie wszystko, co wiedział o Jacku Carmine. Ale nawet on nie znał dokładnie całej tej smutnej historii.

Po piątym z takich napadów szału w ciągu niecałych trzech miesięcy Linda siedziała na frontowym ganku w późne popołudnie i kołysała się w bujanym fotelu, który był starszy od niej. Wte i wewte, wte i wewte, powoli i z bezmyślną precyzją, kołysała się i patrzyła na drogę wiodącą na północ. Coraz częściej myślała o tym, że jej życie składa się głównie z wypatrywania Jacka Carmine'a na drodze wiodącej na północ, z wypatrywania ciemnej chmury kurzu, która podążała za nim, gdy na jakiś czas pozbywał się dręczących go demonów i wracał do niej, oczyszczony i znowu gotowy na całonocne tańce.

Mały kamyk pod jednym z biegunów fotela lekko ją irytował, lecz była zbyt zmęczona, by wstać i go usunąć. Porywisty wietrzyk wiejący z zachodu zainteresował się kosmykiem jej włosów i najpierw przegonił go na policzek, a potem w drugą stronę, dopóki nie znużyła się tą grą i nie przypięła włosów spinką. Jęczydusza chrapał obok niej, a Sara Margaret budowała coś ze starych kości na wyżwirowanej ziemi. Linda Lobo kilka dni wcześniej skończyła trzydzieści dziewięć lat.

Kilkadziesiąt kroków dalej na lewo Earl Chavez wyszedł z szopy i zmierzał w kierunku domu... posiadłości Jacka Carmine'a. To była kraina należąca do Jacka i jego ranczo, a oni wszyscy utrzymywali się z tego, co Jack przyniósł do domu. Jack-Siłacz (czasami), który potrafił sprostać wszystkiemu, co napotkał na szlaku. I Jack-Gałąż-Pustynnej-Wierzby (czasami), który skręcał się z żalu jak piskorz i tarzając się po ziemi krzyczał na Leona, by wreszcie zabrał tych cholernych czerwonych do diabła.

Earl Chavez był już o jakieś sto jardów od niej; zdjął kapelusz i przetarł czoło bandaną.

Kamień pod płozami fotela wreszcie się poddał i roztań na proch, który uleciał z następnym powiewem wiatru. Linda Lobo piła lemoniadę, lecz stan jej żołądka niezbyt na to pozwalał, pochyliła się więc i postawiła szklankę na poręcz ganku. Serce biło jej nierówno, to przyspieszając, to znowu zwalniając; martwiła się o Jacka Carmine'a i martwiła się jednocześnie o siebie i Sarę Margaret. One dwie, jej córeczka i ona, przypominały, co?... coś samotnego i nie na miejscu... jak mewy krążące nad sercem pustyni, którym nie starcza już ani wody, ani czasu, które pożyją jeszcze parę dni, ale nie więcej.

Trzymała dłonie na kolanach; potem przyglądała nimi włosy i oparła je na poręczach fotela.

- Dzień dobry, panienko - odezwał się Earl Chavez.

- Witaj, Earl. - Nie miała ochoty na pogaduszki i ledwie wydusiła z siebie te dwa słowa.

Siedzieli tak we dwoje, ona na bujanym fotelu, a on na schodkach. Oboje patrzyli na drogę wiodącą z rancza do autostrady i nic nie mówili. Dom stał frontem ku północy, był niski, przysadzisty i miał metalowy dach z trzydziestostopniowym spadkiem. Kiedyś od zwirowanego podjazdu do frontowych drzwi biegingy tarasy zrobione z podkładów kolejowych i kamieni. Teraz rozpadły się gdzieniegdzie. A miejsca na kwiaty świeciły pustkami. Linda Lobo zastanawiała się kiedyś, jakie kwiaty rosły na tych tarasach i czy w ogóle cokolwiek miało szansę wyrosnąć w tej szarej pylistej ziemi upstrzonej pokruszonym szkłem.

Z ganku spoglądało się w stronę autostrady i linii kolejowych Południowego Pacyfiku, odległych o dwie mile. Jeżeli wiatr wiał w odpowiednim kierunku, stukot pociągów towarowych niósł się aż pod dom. Za torami i autostradą znajdowała się dolna granica ogromnego basenu permskiego, rozciągającego się pod żółtymi promieniami słonecznymi aż do środka Teksasu. Earl Chavez siedział na górnym stopniu i spoglądał na północ, w tym samym kierunku, w którym patrzyła Linda Lobo.

Zaciągnął się swoim camelem, odkaslnął, wyrzucił papierosa i splunął w kurz. Zupełnie nie przypominał człowieka, którego Linda wyobrażała sobie, przyjeżdżając na ranczo; spodziewała się grubego, miłego Meksykanina z okrągłą, lśniąca twarzą - tak właśnie zawsze myślała o Meksykanach, opierając się na zasłyszanych informacjach. A Earl Chavez był chudy jak Jack i tylko o dwa cale niższy, miał muskularne ręce i szerokie bary, okryte zapinaną na zatrzaski dzinsową koszulą, i szczere oczy. Nieraz obserwowała go na koniu i zauważyła, jak swobodnie siedzi na dziewięcioletnim wałachu imieniem Kaktus, jak lekko przemyka między bydłem i sprawia, że krowy robią dokładnie to, czego on chce.

Nie patrząc na nią, Earl odezwał się:

- Panienko, to twoje prawo, by wiedzieć... więc postaram się wyjaśnić ci, przynajmniej częściowo, dlaczego Jack jest taki, jaki jest.

Obrócił się i oparł o słupek ganku; spoglądał na nią przez chwilę, po czym skoncentrował się na wyciąganiu kolca *mesquite* z podeszwy buta. Wreszcie złożył ręce na podciągniętych do piersi kolan i patrząc to na podłogę, to prosto w oczy Lindy, rozpoczął swą opowieść.

- Widzisz, panienko, Jack zawsze był samotnikiem i zgrywał niebezpiecznego faceta... od dnia swoich narodzin. Po części taką miał naturę, a po części była to wypracowana poza. Miałem wtedy osiemnaście lat i właśnie zacząłem pracować dla pana Carmine'a. Pamiętam, jak Jack kiedyś powiedział: „Earl, powinienem być przyjść na świat z tabliczką ostrzegawczą przyczepioną do czoła: Tylko Do Tymczasowego Użytku; Konieczne Części Zamienne”.

Pół mili na północny wschód trzy myszołowy krążyły nad korralem; ledwo je było widać na tle kurtyny deszczu padającego jakiejś dziesięć mil dalej.

- Wygląda na to, że Marathon dziś nieźle zmoknie. Nam też by się przydało - mruknął Earl, zanim podjął swą historię. - Niech panienka nie da się nabrać Jackowi. Czasem udaje starego zmęczonego kowboja, mówi jak rodowity Teksaszczyk, co to oprócz zachodniego Teksasu nic na oczy nie widział i nie ma o niczym pojęcia. Ale Jack ma umysł starego pana Poly'ego. Eddie junior odziedziczył co innego, słuch i dryg do muzyki, pewnie po pani Carmine... ona bardzo ładnie grała na fortepianie, naprawdę. Jedyna rzecz, która zawsze strasznie gryzła Jacka, to sposób, w jaki pan Carmine gospodarował tym ranczem. Jack zawsze kochał to miejsce, nie chciał robić nic, tylko hodować bydło, budować płoty i robić wszystko inne, co wiąże się z pracą na ziemi. Od czasu, gdy minęło mu osiemnaście lat, praktycznie nie odzywał się do ojca. Najzabawniejsze jest to, że pan Carmine chyba nawet tego nie zauważył. Kiedy Jack skończył szkołę średnią, wyjechał na północ, do pracy na polach naftowych; tam zmęźniał, stwardniał. Potem zaczął chodzić do college'u i ciągnął to kilka lat, zanim rzucił studia. Studiował historię. Lubił się uczyć, ale nie znosił szkoły jako takiej. Zdaje mi się, że po prostu był na to zbyt niespokojny. Kiedy rzucił college, zaczęło się nim interesować wojsko, bo mniej więcej w tym czasie wysyłaliśmy wszystkich tych chłopców do Wietnamu; choć z drugiej strony nic mu nie groziło, bo miał żonę i dziecko. Ale, rozumie panienka, pewnego lata, gdy pracował na północy, jeżdżąc kombajnem, spotkał w Wichita takiego faceta, weterana z Wietnamu, który stracił obie nogi, bo nadepnął na minę przeciwpiechotną, i w ogóle był bardzo rozgoryczony tą wojną. On i Jack strasznie długo rozmawiali o tym, co się tam dzieje. Jack był tym zafascynowany, mimo że opowiadał mu to facet siedzący na wózku inwalidzkim.

To by pasowało, pomyślała Linda Lobo. To by pasowało do Jacka Carmine'a i tego, kim był. Jack Carmine lubił krawędzie, granice, lubił wtykać kij w mrowisko; był to jego sposób na zapomnienie, kim jest i dokąd może go ponieść rozwój wypadków.

Sara Margaret zniknęła jej z oczu, więc zawołała do niej:

- Sara Margaret, nie oddalaj się zbyt daleko; zostań tam, gdzie mogę cię zobaczyć.

Earl znowu splunął w kurz i przetarł usta wierzchem dłoni.

- Jack rzucił naukę, przez trzy lata pracował na ranczu albo jeździł po kraju z kombajnami czy też kładł wodociągi na północy. Dobiegał już wtedy trzydziestki, lecz nadal mówił tylko o Wietnamie. Pewnego dnia pojechaliśmy we dwóch na Górę Małego Konia i strasznie długo gadaliśmy. Oczywiście całe miasto było zdania, że komunizm należy powstrzymać w zarodku, czyli w wietnamskiej dżungli, ale to nie miało wiele wspólnego z poglądami Jacka. Pamiętam, jak mi powiedział: „Earl, w tej południowo-wschodniej Azji dzieje się wiele rzeczy, które powinno się zobaczyć; trzeba brać czynny udział w tworzeniu historii, a nie tylko czytać o niej w gazetach. To nie ma nic wspólnego z utrzymaniem demokracji na świecie, o ile mi wiadomo, to po prostu coś, co warto zobaczyć”. Kilka miesięcy przed swoimi trzydziestymi urodzinami, w tym znanym stylu starego Jacka Carmine'a, po prostu pojechał do El Paso i zgłosił się na ochotnika. To było lato

sześcioletniego dziewiątego roku. Niech mnie szlag, jeżeli kiedykolwiek się dowiem, jak przebrnął przez obóz treningowy; Jack nigdy nie był za dobry w wykonywaniu rozkazów. Co to on zwykł mówić?... mówił, że ma wrodzony talent do anarchii wszelkiej maści. Spytałem, co chce przez to powiedzieć, a on odparł, że lubi sytuacje, w których nie widzi się granic, więc trzeba je albo odszukać, albo samemu ustanowić. Wiem, że miał jakieś kłopoty podczas szkolenia, uderzył sierżanta czy coś takiego. Spędził jakiś czas w kiciu. Ale Jack zawsze miał sokoli wzrok i kiedy nie pił, potrafił wspaniale strzelać; umiał też naprawiać samochody i ciężarówki. Więc, na mój rozum, doszli do wniosku, że właśnie tego potrzebują w armii, wypuścili go, przepchnęli przez resztę szkolenia i wysłali do Wietnamu. Nie wracał przez ponad sześć lat, przepustki wykorzystywał w jakichś odległych zakątkach świata. Cały czas, po odbyciu służby obowiązkowej, ponownie zgłaszał się na ochotnika, byleby tylko móc dłużej zostać w Wietnamie. Większość chłopaków uciekała stamtąd najszybciej jak mogła, ale nie Jack. Pisał do domu listy, udawał, że nie robi nic niebezpiecznego, ale to nieprawda. Jack i ja jesteśmy przyjaciółmi od bardzo dawna i gdy wrócił, często rozmawialiśmy o tym, co się tam działo. O ile wiem, nigdy z nikim innym o tym nie gadał. Mówił: „Earl, nie uwierzysz w to...” i opowiadał jakąś historyjkę o tym, co tam widział. Trudno było mi pogodzić się ze wszystkim, co mówił, ale przysięgał, że to wszystko prawda i że widział to na własne oczy. Na przykład o tym, jak proszono mechaników, by robili lśniące metalowe laski dla oficerów, zamiast zajmować się naprawianiem *howitzerów** [przyp.: Działka o krótkiej lufie służące do wystrzeliwania naboju pod kątem (przyp. tłum.)], albo o tym, jak można było kupić amerykańskie strzelby M-16 czy inny wojskowy sprzęt od handlarzy ulicznych w Sajgonie, jak wielu chłopaków ćpało narkotyki i o innych, którzy podczas walki strzelali swym oficerom w plecy. Ale jednak było w tym coś, co go tam trzymało, mimo że został ranny. Widziałaś tę bliznę na jego łopacie? Opowiada znajomym, że to pamiątka po wypadku na polowaniu. Ale to nieprawda. To blizna po szrapnelu - gdy podchodzili do lądowania, trafiono w skrzynkę amunicji, którą przewoził helikopterem. Podobno wyrzuciło Jacka na zewnątrz; w przeciwnym razie zginąłby na miejscu, tak mi opowiadał. Mówił jednak, że Wietnam to najbliższe czystemu pandemonium miejsce na ziemi i właśnie to go tam trzymało. Zadzwoił kiedyś na Gwiazdkę i pani Carmine spytała, kiedy wróci do domu. A Jack jej na to: „A niby po co mam wracać do domu, skoro moja żona uciekła z dentystą z Odessy? Mam wrócić na ranczo, które praktycznie już nie istnieje, kłaść wodociągi i rznąć piosenkarki country?” Wszystko to okazało się istną bombą zegarową. Zdawało się, że o wszystkim zapomniał, ale to odżyło. To właśnie wtedy zaczął miewać te swoje napady i zaczął się drzeć na Leona, żeby coś zrobił z tym wszystkim.

- Ale co ma z tym wszystkim wspólnego gitarzysta ze starej kapeli Boba Willsa? - zapytała Linda.

- Ależ nie, on nie mówi o Leonie Boba Willsa, gdy tak szaleje. Przez długi czas Jack obsługiwał karabin maszynowy na helikopterach. Pod sam koniec latał z pilotem, który

nazywał się Leon Carmichael. To o tym Leonie teraz gada. Uważa, że Leon Carmichael może mu pomóc odlecieć od tego wszystkiego, co gryzie go w sercu, dokładnie tak samo, jak ratował skórę jemu i innym chłopakom w Wietnamie. Pod koniec jego pobytu w Azji zdarzyło się coś gorszego niż wszystko inne i to coś utrzymuje przy życiu dręczącą go bestię. Wspomnił mi o tym tylko raz. Obejmowałem go wtedy, tam przy szopie, kiedy miał szczególnie fatalną noc, leżał na ziemi, spoglądał na mnie i mamrotał coś bez ładu i składu. Zdaje się, że to się stało podczas ostatecznej ewakuacji Sajgonu. Był w ostatnim helikopterze, który oderwał się od ziemi w Wietnamie, ściągał żołnierzy piechoty morskiej z dachu amerykańskiej ambasady. Kiedy Jack jest sobą, nigdy o tym nie mówi, więc nie mam pojęcia, co się tam tak naprawdę wydarzyło. Bobby McGregor, ten przyjaciel Jacka, co to nagrywa piosenki, był tam i widział to, ale też nie chce o tym rozmawiać. Cokolwiek to było, było na tyle paskudne, że wykończyło Jacka Carmine'a. Jeżeli chce panienska wiedzieć, dokąd teraz pojechał, to zaryzykowałbym dwa miejsca. Czasem jedzie przez granicę do Ojinaga i upija się w trupa na parę dni. Jeżeli nie ma go dłużej niż dwa dni, zazwyczaj zakładam, że pojechał do Wichita, by pogadać z tym facetem, co stracił nogi w Wietnamie. Robi tak co najmniej raz na rok. Czasem wspólnie łapią samolot do Waszyngtonu i siedzą przez kilka dni pod pomnikiem ofiar tamtej wojny, dotykają palcami nazwisk ludzi, których tam znali, a którym nie udało się wrócić do domu. Gdziekolwiek by pojechał, wróci i wszystko będzie w najlepszym porządku, dopóki za kilka miesięcy znowu go nie napadnie. Powiem paniencie jeszcze jedno. Jack Carmine ma ogromne pokłady siły; potrafi pracować ciężiej niż trzech najlepszych robotników, jakich znam, rozśmieszy cię i nigdy nie zawiedzie w potrzebie. Widzę, że zależy mu na tobie tak, jak jeszcze nigdy w życiu na nikim mu nie zależało. Ale jeżeli z nim zostaniesz, weźmiesz na swoje barki ciężar życia z bólem, swoim i malutkiej. Zawsze był niespokojny, a teraz ma jeszcze te wspomnienia z Wietnamu, które sprawiają, że czasem nawet się go boję. A jak już powiedziałem, przyjaźnimy się z Jackiem od bardzo, bardzo dawna. Bywały czasy, że te jego napady zdarzały się raz na wiele miesięcy. Ale w ostatnich latach nadchodzą coraz częściej, choć bronił się przed nimi bardzo dzielnie przez jakiś czas zaraz po naszym przyjeździe. Myślę sobie, że za którymś razem zupełnie mu odbije, i żadne z nas nie będzie w stanie mu pomóc.

Sara Margaret przybiegła na ganek; w rączce niosła czaszkę młodego pekari.

- Popatrz, mamusiu, widać zęby i wszystko...

Linda Lobo wzięła czaszkę do ręki i długi czas przyglądała się jej, kołysząc w fotelu.

Po jakimś czasie Earl wstał, podciągnął dzinsy i otupał buty z kurzu.

- On wróci, panienko. Kiedyś wróci. Zawsze wraca. On nie ma gdzie się podziąć.

Earl odszedł zakurzoną, pylistą drogą. Nisko wiszące słońce przesuwalo jego cień przez kaktusy i kurz, dopóki nie dotarł do korrali i nie zniknął za płotami i metalowymi bramkami.

XIII

Nowy Orlean, 27 października 1993

Ariendo Vincent powoli i długo grał walca, powtarzając frazy w kółko i w kółko od nowa, pozwalając, by dźwięk jego saksofonu zbladł i rozplątał się w ciszy. Wyczuwając to, Vaughn Rhomer i Cohana Eliason zakończyli swój taniec. Kiedy Ariendo Vincent zagrał ostatnią nutę piosenki, Vaughn Rhomer po raz ostatni wykonał szeroki, powolny obrót, podczas którego Murzynka zrezygnacyjnie podniosła parasolkę i torebkę ze stolika.

- Muszę już iść - powiedziała, cała w bielach i żółciach, i uśmiechnęła się do niego. - Pięknie tańczysz i może kiedyś jeszcze poprosimy Arienda, by znowu dla nas zagrał.

Przez chwilę Vaughn Rhomer miał ochotę zapłakać; chciał ją prosić, by została, by pozwoliła postawić sobie brandy. Ale starzy podróżnicy wiedzą, kiedy nadchodzi kres tańca, czas rozstania - a Vaughn Rhomer był w tej chwili starym podróżnikiem. Ukłonił się lekko i powiedział:

- Dziękuję.

Nie dodał już nic więcej i tylko stał tam, z brązowym kapeluszem w obu dłoniach. Murzynka skinęła Ariendo Vincentowi, który także się uśmiechał; najpierw patrzył na Vaughna Rhomera, a potem kiwnął głową Cohanie Eliason, która przerzuciła szal przez ramię i odeszła w mroki nocy.

Vaughn Rhomer włożył pięciodolarowy banknot do skrzyneczki Vincenta.

- Uważaj na siebie, stary - powiedział cicho Ariendo Vincent. - I trzymaj się wspomnienia tej chwili.

Wróciwszy do swego pokoju, Vaughn Rhomer nie mógł sobie przypomnieć drogi do hotelu ani powrotu do Toulouse. Zamówił dobre cygare i brandy, dokładnie tę samą, którą pił w Cafe Beignet, po czym wyszedł przez francuskie drzwi na nieduży balkonik. Vaughn Rhomer uśmiechał się; cały czas się uśmiechał i nie potrafił przestać.

Oparł się o poręcz balkonu i z cygarem w jednej, a kieliszkiem brandy w drugiej ręce wpatrywał się w nowoorleańską noc. Pokiwał głową.

XIV

Charlotte, Karolina Północna, późny październik 1993

Garderoba była świeżo pomalowana na miętowozielony kolor i wyłożona lustrami. Bobby McGregor, gdy usiadł w odpowiedniej pozycji, mógł widzieć się z każdej strony, co nie było wcale takie złe, jeśli nie przyglądać się zbyt dokładnie. Lepsze jednak to niż lata spędzone w barach country i tanich hotelikach, lepsze od strojenia instrumentów w brudnych toaletach i kuchniach pełnych karaluchów, gdzie kelnerzy i kucharze łapali za gryf gitary i warczeli, by wynieść się do wszystkich diabłów.

Lester Virdeen wetknął głowę przez drzwi.

- Wchodzimy, Bobby. Za parę minut zaczynamy.

Reszta kapeli stała w korytarzu za Lesterem, wszyscy w dżinsach i kowbojskich butach, w błękitnych koszulach, czarnych bandanach i szarych stetsonach.

Bobby McGregor wyciągnął z futerału swoją gitarę D-28 martin z 1957 roku.

- Daj mi A, Lester.

Lester Virdeen szarpnął strunę skrzypiec.

- Smyczkiem, zrób to dla mnie, proszę.

Lester przytrzymał skrzypce między ramieniem a podbródkiem i przeciągnął smykem po strunach, a Bobby podciągnął nieco A na martinie.

- No i jest, A-440, i mruczy - odezwał się Lester. - Jak sobie radzisz? Wszystko w porządku?

Twarz Lestera Virdeena rozświetlał uśmiech. Miał już prawie siedemdziesiąt lat i nadal grał na skrzypcach najlepiej ze wszystkich w kraju oraz zastępował ojca młodszym chłopakom z zespołu.

- Taak, w porządku - odrzekł Bobby. - A jak z Glenem? Z jego żołądkiem już lepiej?

- No cóż, przynajmniej przestał już wymiotować. Lekka grypa albo zatrucie pokarmowe, na mój gust. Te młode chłopaki nie śpią po nocach, tylko piją za dużo piwa i jedzą za dużo świństw. Cały czas im powtarzam, że to nie letnia wycieczka i że powinni odżywiać się w drodze dokładnie tak samo jak w domu.

Bobby uśmiechnął się.

- Może właśnie to robią.

Lester potrząsnął głową w sposób wyrażający zgodę i dezaprobatę jednocześnie.

- Jak ci już kiedyś wspominałem, najlepsza kapela nie powinna mieć ani jednego grajka poniżej sześćdziesiątki. Tak czy inaczej, Glenowi poprawi się natychmiast, gdy tylko wyjdzie na estradę, zacznie walić w te swoje talerze i zapomni się w muzyce.

Bobby skinął głową.

- Idź tam i przygotuj wszystko. Pomóż im.

- Jasne... - Lester zamknął za sobą drzwi i odszedł.

Dwadzieścia sekund później zza ciężkiej kurtyny rozległ się dziki ryk, gdy zespół wszedł na scenę.

Bobby McGregor pracował samotnie nad martinem, używając do tego ustnego stroika.

- Taak? - mruknął w odpowiedzi na pukanie do drzwi. Młody człowiek o fatalnej cerze wsadził głowę do pomieszczenia.

- Jest tu fotograf z „Observera” i pyta, czy może zrobić kilka zdjęć.

Przez otwarte drzwi Bobby usłyszał, jak jego chłopcy grają piosenkę na rozgrzewkę, a skrzypce Lestera Virdeena mkną gorącymi rytmami „Dróg zachodniego Teksasu”.

- Dobra, ale powiedz mu, że mam tylko jakieś dwie minuty. - Do diabła, pomyślał, oni zawsze czekają aż do ostatniej sekundy, do czasu, kiedy żołądek ci się zaciśnie, a pot na dłoniach będzie miał w sobie dość chemikaliów, by przeżarły się na wskroś przez gitarę. Postawił butelkę millera na podłodze za sobą.

Fotograf przecisnął się bokiem przez drzwi, uderzając o nie torbą z kamerą; z szyi zwisał mu 35-milimetrowy aparat fotograficzny canona i lampa błyskowa. Na estradzie Lester właśnie skończył swój popisowy numer i Maclean Stockton zaczynał swą solówkę; pierwsze nuty zagrał perfekcyjnie, a potem nadepnął na pedał pogłaśniający, czym sprawił, że nuty z górnych rejestrów fendera strata zaczęły ciąć niczym noże. Bobby McGregor uśmiechnął się do siebie. Z biegiem czasu kapela coraz lepiej się dostrajała.

- Tylko parę zdjęć, panie McGregor. - Fotograf pracował w pośpiechu; właśnie wkładał nową rolkę filmu do aparatu. - Dopiero pół godziny temu dowiedziałem się, że to ja mam zrobić reportaż z tego koncertu.

Zespół grał szybko i czysto; Maclean Stockton właśnie zaczął te swoje synkopowe przeskoki, które wrzucał od czasu do czasu do repertuaru, ośmionutowe liźnięcia, które podpatrzył na mandolinie Jessie McReynoldsa. Maclean Stockton nigdy w życiu nie był u dentysty ani nie skończył średniej szkoły, ale nadgarstek miał jak piłę łańcuchową i giętkie mięśnie, które zawdzięczać można tylko dobrem genom i stałym ćwiczeniom.

Bobby wskazał na butelkę millera.

- Będę wdzięczny, jeżeli nie sfotografuje pan piwa.

- Nie ma sprawy. Potrzebuję tylko parę pańskich portretów. Resztę dorobię podczas koncertu.

Aparat zajęczał, lampa błyskowa naładowała się ponownie i trzasnęła.

Gdzieś za plecami fotografa i korytarzem, na estradzie, Jimmy Gonzales wziął się do swej gitary.

- Mam jeszcze jakieś trzydzieści sekund - odezwał się Bobby McGregor.

- Proszę, jeszcze tylko kilka.

Bobby z uśmiechem potrząsnął głową i pomyślał, że wszyscy fotograficy to pesymiści. Zawsze chcą jeszcze tylko kilku zdjęć, a potem znowu jeszcze paru. Wstał, zarzucił martina na ramię i wyciągnął z kieszeni dzinsów kostkę.

- Przykro mi, ale na tym koniec. Muszę zaśpiewać kilka piosenek.

- Bardzo panu dziękuję, panie McGregor. Życzę połamania nóg.

Kapela ciągnęła właśnie jazzową wariację piosenki odpowiedniej dla maklerów giełdowych, Lester i Maclean grali teraz razem; Bobby McGregor sprawdził, czy na pewno ma zapięty rozparek, po czym wszedł na estradę w światła reflektorów i aplauz widowni. Uchylił kapelusza w stronę widowni i skinął głową Lesterowi Virdeenowi. Lester cztery razy zastukał smyczkiem o skrzypce, a perkusista poszedł za jego przykładem i czterokrotnie musnął talerze... i ruszyli, a stalowe struny gitar utworzyły drogę, po której można było chodzić w jesienną noc, w Charlotte w Karolinie Północnej.

*Gdybym miał to wszystko powtórzyć,
Zrobiłbym jeszcze raz tak samo,
Z wyjątkiem tych chwil,
Kiedy potraktowałem ją tak źle...*

Dwie godziny później zakończyli nową piosenką; pojawiła się na listach przebojów zaledwie dwa tygodnie temu, a już osiągnęła piętnaste miejsce.

„Bandyta” na koncercie w Charlotte.

*Nazywała go „Bandytą”
Z sobie tylko znanych powodów.
Uśmiechała się szeroko
Za każdym razem, gdy to mówiła.
Mawiała: „Hej, Bandyto,
umyjmy pikapa,
zawieź mnie na kolację,
a ja włożę najlepszą sukienkę...
... byś mógł się mną chwalić.*

Więc dalej, Leon,

*Zagrajmy to jeszcze raz.
Sprawmy, by zabrzmiało to jak nóż
Skrobiący po wietrze
Wiejącym znad Teksasu,
Na ramionach burzy,
Z ubraniem zakurzonym
Odjazdy samotnymi pociągami.
Zagrajmy to jak dźwięk
Długiego wypadania z łask,
Pogłębiającego zmarszczki dookoła oczu,
Na zjedzonej przez słońce twarzy,
Która uśmiechała się do wszystkiego,
Dopóki wszystko nie stało się zamglone
Od dziur w twym życiu,
Gdy czasy doprowadzały cię do szaleństwa.*

*Potrafiła tańczyć teksański two-step
W takt muzyki Boba Willsa,
Podobały się jej migoczące
Światła w starych salach balowych.
Ale zaczęła mieć dość
Umierających dni, samotności
I tęsknoty za innym życiem.
Zaczęła mieć dość
Umierających marzeń
I dźwięku starych gitar.
Więc dalej, Leon...*

Bobby McGregor zagrał solówkę basową, której nauczył go Maclean, mruknął: „Pomóż mi, Lester” i odstąpił od mikrofonu, podczas gdy kapela ruszyła w instrumentalny przerywnik.

Sajgon, tuż po świcie 30 kwietnia 1975 roku. Jedenastu żołnierzy piechoty morskiej zostało na dachu ambasady amerykańskiej, ostatnie ludzkie fragmenty wielkiego, świętego i bezsensownego amerykańskiego safari w południowo-wschodniej Azji. Podając w koło butelkę Johnny Walkera Black Label i połykając resztki metaamfetaminy słuchali, jak major mówi, że piloci śmigłowców mogli zapomnieć, że oni nadal siedzą na dachu, a Wietkong

wkracza do śródmieścia Sajgonu z wszystkich kierunków. Major mówił także, że być może będą musieli zejść na dół po osłonach raketowych ambasady i przedrzeć się aż do morza. Nie ma mowy, nigdy w życiu, myślał sobie wtedy Bobby McGregor.

Ludzie usiłowali przetrząść dzieci ponad murem ambasady, błagając Amerykanów, by wzięli je ze sobą. A te dzieci wisiały potem na drucie kolczastym i krzyczały. Młody żołnierz piechoty morskiej powiedział:

- Major ma, kurwa, rację, po prostu o nas zapomnieli; jada, kurwa, do domu, a nas zostawiają tutaj.

Worki z piaskiem i gaśnice barykadowały drzwi na dach, a po ich drugiej stronie setki Wietnamczyków, którzy wrzeszczeli i krzyczeli, i usiłowali wdrzeć się na dach, a drzwi dygotały w zawiasach. Bobby McGregor pamięta, jak odciągnął bezpiecznik swojego M-16 i wycelował broń w drzwi, kiedy major powiedział:

- Musimy kupić sobie trochę czasu; kiedy przedrą się przez te cholerne drzwi, kładźcie ich pokotem.

Bobby spędził dwa lata w Wietnamie i przez ten czas udało mu się nikogo nie zabić. Ale w tej chwili był gotów to zrobić. Co prawda, pomysł niezbyt mu się podobał, ale był zdecydowany wykonać rozkaz majora.

I wtedy nad płonącym, dymiącym Sajgonem, pod czerwonym słońcem pojawił się samotny CH-46, eskortowany przez sześć śmigłowców bojowych typu cobra, które podskakiwały i chwiały się niczym ważki na wietrze.

- Gaz łzawiący! - wrzasnął major, i puścili go w klatkę schodową i dokoła dachu, co było wyjątkowo głupie, gdyż wirniki helikopterów natychmiast wyciągnęły go z powrotem do góry, prosto na nich. Bobby McGregor podbiegł do otwartych drzwi śmigłowca i uskoczył w bok dokładnie w tej samej chwili, gdy strzelec pokładowy otworzył ogień do snajpera przyczajonego na dachu budynku po drugiej stronie ulicy. Ten obraz został mu w pamięci szczególnie wyraźnie; strzelec, starszy już facet z twardą miną i oczyma ukrytymi za okularami przeciwsłonecznymi, z hełmem zsuniętym nisko na czoło - niezawodny robot bojowy z obiema dłońmi na karabinie maszynowym; nic nie odwracało jego uwagi oprócz łez ciekących mu po policzkach od gazu. Helikopter uniósł się w powietrze, mimo iż Bobby jeszcze nie wdrapał się do środka i wisiał z boku, dyndając nogami w powietrzu. Strzelec złapał go za przód kamizelki kuloodpornej i wciągnął do środka. Na kieszonce munduru miał nazwisko: „Carmine”.

Jimmy Gonzales dał znak zakończenia przerwy instrumentalnej, dał Bobby'emu McGregorowi ładny podkład na dominującej siódemce i Bobby wrócił do mikrofonu śpiewając:

*Podobał się jej dźwięk stalowych strun gitary
I deszczu na starym blaszanym dachu,
Płakała, gdy nadchodził koniec
Starych, smutnych filmów.
A mnie podobał się jej smak
W martwym, upalnym powietrzu lata,
Jakby zmieszany z jej perfumami
I zapachem świeżo ściętej koniczyny.
Więc dalej, chłopcy...*

Na bis zagrali inną z piosenek Bobby'ego, „Czerwony Sajgon”. Jego agentowi strasznie się nie podobała i twierdził, że powinni ją wyrzucić z repertuaru, że jest cholernie długa i cholernie smutna, że przypomina to, o czym ludzie chcą zapomnieć. Bobby jednak zachował ją i teraz zagrał, jak zawsze lekko potykając się na słowach, i jak zawsze mając przed oczyma ten moment, gdy Jack Carmine wciągnął go do helikoptera. Odwrócił się wtedy i popatrzył na niego, a strzelec otworzył ogień: całe jego ciało dygotało od odrzutów potężnego karabinu kaliber 50, a pas z amunicją karmił potwora niczym najszybszy wąż świata, rozwalając na strzępy kobiety i dzieci, kiedy ludzie wreszcie wyważyli drzwi i wypadli na dach budynku. Karabin nagle umilkł i strzelec nazwiskiem Carmine nie wystrzelił już ani jednego pocisku przez całą drogę nad morze i do chwili, gdy wylądowali na krążowniku „Midway”. Zaprzyjaźnili się później, ale żaden z nich nigdy nie wspominał o tym, co wydarzyło się tamtego ranka na dachu amerykańskiej ambasady w Sajgonie.

Później nastąpił obowiązkowy wywiad, gdy Bobby wkładał martina z powrotem do pudła.

„Taak, publiczność była naprawdę wspaniała...” „Nie mam pojęcia, czemu podobają im się te piosenki, po prostu podobają się i już. Staram się o tym zbytnio nie myśleć; obawiam się, że jeżeli będę się zbyt usilnie nad tym zastanawiał, jeszcze przestaną mnie lubić...”

Dziennikarka, zaskoczona, notowała jego słowa: „Ludziom podobają się te piosenki, bo są dobre...” To brzmiało naprawdę fajnie; sprawiało wrażenie, jakby się przechwalał. Przecież miała zaledwie siedem lat, gdy Jack Carmine wciągnął Bobby'ego McGregora do lecącego śmigłowca. A poza tym nie przepadała za Bobby'm McGregorem i jego muzyką.

A Bobby stał, ze skórzanym pudłem z gitarą przewieszonym przez ramię, i odpowiadał na jej pytania. „Teraz pojedziemy do Dallas...”

Potem odszedł ciemnym korytarzem i zastanawiał się po drodze, co też w tych dniach porabia Jack Carmine.

XV

Nowy Orlean, 28 października 1993

Vaughn Rhomer przygotował swój ekwipunek i zadzwonił do recepcji po boya, by mu pomógł.

- Ma pan tu całe mnóstwo bagażu - odezwał się uprzejmie boy. - Musi pan strasznie dużo podróżować.

- Oj tak, dużo, dużo - odparł Vaughn Rhomer ubrany w spodnie koloru khaki, błękitną bawełnianą koszulę z guzikami z prawdziwego rogu i epoletami na ramionach oraz w antypoślizgowe, sznurowane wojskowe buty za kostkę.

Zapłacił rachunek i wyjechał z hotelowego garażu o siódmej czterdzieści pięć rano, skręcił w lewo, do Toulouse, i pojechał na nabrzeże. Na siedzeniu obok niego spoczywała puszka psiej karmy i wojskowy otwieracz.

Siedząc na ławce nad brzegiem rzeki, rozglądał się za suką, lecz nigdzie jej nie dostrzegł. Nie rozczarowało go to, gdyż lubił przyglądać się statkom płynącym po rzece, ogromnym statkom o dziwnych nazwach, jak na przykład „Aleksandryjska Jedność (Valetta)”. Przespacerował się brzegiem, porozglądał za muszelkami lub małymi kamyczkami, które mógłby zawieźć jako pamiątki z podróży dla Mary Harding, bibliotekarki z Otter Falls, w podziękowaniu za to, że pomogła mu z kartoteką. Była mniej więcej w jego wieku, samotna, i zastanawiał się teraz, czy nie warto by jej kiedyś zaprosić na obiad, zwłaszcza po tym, jak powiedziała, że podziwia go za decyzję samotnego wyruszenia w tę podróż.

- Dobrze pan robi, panie Rhomer. Często podróżowaliśmy razem z mężem, zanim mu się zmarło. Brakuje mi tego, lecz nie mam ochoty jeździć sama lub z jakąś inną kobietą. - Tak właśnie powiedziała, gdy siedział w bibliotece i zbierał informacje na temat Nowego Orleanu.

Vaughn Rhomer z takim skupieniem obserwował rzekę, że nie zauważył psa, dopóki nie usłyszał cichego skomlenia; dopiero wtedy zerknął w dół i zobaczył ją siedzącą kilka stóp od niego.

- Witaj, piesku - powiedział, otworzył puszkę i wygrzebał ze środka karmę wojskowym nożem. Jack Carmine przysłał mu ten nóż bardzo dawno temu, po tym, jak Vaughn wyraził podziw dla noża, który Jack nosił przy pasku. Wyłożył karmę na plastikową tackę znalezioną

w pobliskim śmietniku, wytarł nóż o trawę i podsunął psu jedzenie.

Popatrzyła na niego, nadal oddalona o dziesięć stóp, nadal niepewna. Rzucił w jej kierunku spory kawałek; cofnęła się przerażona gwałtownym ruchem jego ręki, lecz zaraz wróciła, powąchała jedzenie i połknęła je jednym kłapnięciem szczęk. Przysunął tackę jeszcze bliżej w jej stronę i uśmiechnął się, gdy podeszła do niej; jedząc, zerkął na niego od czasu do czasu.

Jakiś tysiąc mil w górę rzeki znajdował się sklep „Najlepsza cena” i warzywa, które na pewno będą w okropnym stanie, gdy wróci do swego działu. Był już najwyższy czas ruszać w drogę. Odetchnął powoli i głęboko, spojrzął na rzekę, potem na psa, i wstał z ławki.

- Do widzenia, moja mała. Uważaj na siebie.

Suka skończyła jeść i ruszyła za nim, najpierw kilka kroków z tyłu, a potem tuż obok nogawki jego spodni. Dotarłszy do buicka, wyciągnął kluczyki, przykucnął i pogłaskał psa. Potem bez wahania otworzył drzwi pasażera i poklepał lekko siedzenie.

- Chodź, mała, wskakuj.

Spojrzała na niego i zamachała ogonem. Raz jeszcze poklepał siedzenie.

- Jeżeli chcesz ze mną jechać, musisz się zdecydować.

Ze swoimi krótkimi nóżkami nie nadawała się zbytnio na skoczkę, ale udało się jej wleźć na podłogę samochodu, skąd wdrapała się na fotel. Vaughn Rhomer obszedł samochód dokoła, usiadł za kierownicą; popatrzył na psa, a ten odwzajemnił mu się spojrzeniem brązowych ślepi. Rhomer uśmiechnął się i włączył silnik, potem przejechał przez Jackson Square i w górę Saint Peter. Później do skrzyżowania Saint Peter z Rampart, a wreszcie do Basin. Różowe azalie kwitły w parku po lewej stronie Rampart, więc pokazał je psu, który siedział spokojnie na fotelu, czasem wyglądając przez okno, a czasem popatrując na Vaughna Rhomera. Wkrótce potem minęli drogowskaz do autostrady I-10.

- To znak dla nas - odezwał się Vaughn Rhomer. - Przed nami rozciąga się Wielki Szlak, moja mała.

Mijały godziny, a ruch na autostradzie był niewielki; podeszwa wojskowego buta Vaughna Rhomera naciskała na pedał gazu i buick mknął na zachód. Minęli lotnisko i wjechali w wiejską okolicę. Droga wiodła głównie przez różnego rodzaju mosty nad bagniskami i rozlewiskami. Na niebie nie było żadnych chmur poza kilkoma lekkimi obłoczkami wiszącymi nisko nad horyzontem na zachodzie; małe białe ptaszki pływały po wodzie lub pożywiały się przy linii brzegowej i na mulistych mieliznach. Białe płotki przydrożne mijały ich w zawrotnym tempie, a co rusz migał znak: „Jeziro Pontchartrain” albo „Bonnet Carre Spillway”.

- W Iowie nie mamy takich nazw - odezwał się Vaughn Rhomer wskazując na nie. Pies zamachał ogonem i zaczął ziać.

Do domu. Jechali do domu. Do pustego budynku, gdzie nie ma już Marjorie, do firmy, która obcina premie i zwalnia starych pracowników, zastępując ich młodszymi.

Lekkie zmarszczki na powierzchni jeziora Pontchartrain, słupy wysokiego napięcia maszerujące wzdłuż brzegu, dziwnie wyglądające kawałki drewna dryfujące po powierzchni i martwe drzewa stojące w wodzie.

Znaki:

„Zjazd 210, 55 na północ, 2 mile do Hammond”.

„Wjeżdżacie do parafii Świętego Jana”.

Za dwie minuty Vaughn Rhomer powinien skrócić w stronę domu, w stronę Trolley Car Boulevard i Pokoju Rhomera; i wtedy w radiu ktoś wspomniał nazwisko Thomasa Martina. Vaughn Rhomer pochylił się, dostroił częstotliwość i pogłośnił.

Wczoraj zmarł jeden z szarlatanów angielskiej literatury. Thomas Martin, który był przykuty do wózka inwalidzkiego od wczesnego dzieciństwa, napisał serię fikcyjnych książek awanturniczo-podróżniczych, w których opisywał wyprawy do egzotycznych i nieznanymi miejsc na Ziemi. Towarzystwo Podróżnicze potępiało go za „oburzające kłamstwa i wierutne bzdury”, które pisał, ale wielu ludzi ceniło prozę Martina i udawało, że wierzy w każde słowo, mimo iż doskonale wiedzieli, iż wszystko jest fikcją. Thomas Martin, który podróżował tylko w swej wyobraźni, zmarł mając osiemdziesiąt siedem lat.

Nie wszyscy wiedzieli, że proza Thomasa Martina była fikcją. Vaughn Rhomer zerknął na psa, po czym zwolnił i zatrzymał buicką przy poboczu drogi. Na znaku napisane było „Parkować tylko w nagłych wypadkach”, lecz on wymamrotał:

- To właśnie może być nagły wypadek.

Wyciągnął spod przedniego siedzenia swój atlas drogowy Randa McNally’ego i przez chwilę studiował stroniczki na końcu, po czym odłożył go na miejsce. Później przez pełne dwie minuty siedział z dłońmi opartymi na kierownicy i patrzył prosto przed siebie, na zachód, wzdłuż drogi I-10. Kiedyś zapytał swego siostrzeńca Jacka, jakie mapy drogowe są najlepsze, a Jack odrzekł:

- One wcale nie są potrzebne, wuju Vaughnie, po prostu wsiadasz w samochód i jedziesz.

Na północy była pani Butro i młode kobiety w szortach tak kusych, że prawie ich nie było. Na północy były cięcia budżetowe, grób Razberry i dzieci, które przyjeżdżając z wizytą mówiły.

- Jennifer, nie ruszaj radia dziadka, kiedy masz brudne ręczki.

Vaughn Rhomer nie chciał być dziadkiem i nie chciał, by Jennifer dotykała brudnymi łapkami jego radia marki World Traveler.

Przepuścił mijające go samochody, włączył się do ruchu i nadepnął na gaz.

„Zjazd 210, 55 na północ, jedna mila do Hammond”.

Teraz miał już do zjazdu zaledwie sześćdziesiąt sekund, później drogą 55 do St. Louis i z St. Louis 61 na północ. Vaughn Rhomer przeliczył w myślach pieniądze, jakie mu zostały, i

ocenił, że ma jakieś dwa tysiące dolarów w gotówce plus czeki podróżne. Był czwartek, a on musiał być w pracy w poniedziałek. I robić co? Kapitan Rzodkiewka znowu w akcji? Żółte lampki nocne i bezpieczeństwo. Powrót Człowieka Selera. Wnuki, BBC o północy i stopniowe staczanie się w niedołęstwo oraz ekwiwalent domu starców. Powolny walc w tonacji b - moll dźwięczał mu w głowie, przed oczyma widział twarz kobiety imieniem Gumbo i słyszał słowa Arienda Vincenta: „Trzymaj się wspomnienia tej chwili”.

Vaughn Rhomer popatrzył na sukę, a suka na niego. Wyszczrzył do niej zęby w szerokim uśmiechu.

- Co myślisz o wycieczce do... Meksyku?

Nadepnął na gaz i nie odpuszczał, dopóki nie zobaczył siedemdziesięciu mil na liczniku; wyciągnął cygaro i uchylił nieco okno, by dym nie przeszkadzał suce. Znowu na nią zerknął.

- Myślisz, że pasowałyby do ciebie imię „Bandida”? Podoba ci się? - Pies uśmiechnął się do niego. - W takim razie postanowione, Bandido. Przy pierwszej sposobności kupimy ci chustę do noszenia na szyi... może żółtą?

Przejechał obok zjazdu na drogę 55 i nawet dodał jeszcze gazu. Przemknął przed znakiem:

„Nicość - na wprost przed tobą”.

- W Nicości kupimy lekarstwo na twoją łepetynę i uszy, Bandida, i dopiero wtedy będziesz gotowa na wycieczkę w nieznane. Mam nadzieję, że nie będziesz zazdrosna, gdy poproszę do tańca kilka seniorit... albo raczej senior. Może też zaproszę na naszą wycieczkę tę miłą panią bibliotekarkę. Dobrze, tak też mi się wydawało, że nie będziesz zazdrosna. Pojedziemy przez Alpine i zobaczymy, czy siostrzeniec Jack jest w domu. Napijemy się dobrego alkoholu, poopowiadamy stare historyjki, a potem pojedziemy do Taos i wpadniemy na kilka dni do Lorraine. Później ruszymy prosto na południe i zatrzymamy się dopiero w małym meksykańskim miasteczku nad brzegiem morza. Pojedziemy tam, gdzie zawiedzie nas autostrada, posłuchamy grania *mariachis* i popływamy na ogromnej fali przy blasku księżyca.

W miasteczku o nazwie Nicość znalazł weterynarza i kupił maść na parchy Bandidy.

- Miała ciężkie życie - rzekł weterynarz. - Niech ją pan jak najszybciej wysterylizuje.

Na przedmieściach Nicości kupił styropianowy pojemnik chłodniczy, lód, sześciopak piwa corona, dziesięć puszek psiej karmy i czapkę z logo LSU Tigers.

Jadąc na zachód, nadal czuł zapach perfum Cohany Eliason; przypomniał sobie walca w tonacji b - moll i zaczął go nucić. Nazwał tę piosenkę „Taniec z Gumbo”. Na przydrożnym znaku napisane było: „Houston, 321 mil”.

Trzy godziny później Vaughn Rhomer przekroczył granicę Teksasu i spokojnie zmierzał w kierunku Beaumont. Po prawej stronie drogi ekipa budowlana robiła coś na polu. Słońce świeciło mocno i Vaughn Rhomer wskazał psu robotników.

- Tam jest strasznie gorąco, Bandida. Ciężka, gorąca praca, na starość człowiek nie lubi takiej roboty. Zdaje się, że kładą rurociąg czy coś w tym stylu.

Sto jardów dalej, na polu, szef ekipy mówił coś, a inny mężczyzna opierał się na łopacie i patrzył w stronę autostrady. Był nagi do pasa i spocony; prawie nie zauważył psa wyglądającego z okna niebieskiego buicka jadącego na zachód. Jego czapeczka była zblakła, mocno zużyta i nadawała się już do wyrzucenia, lecz znalazł ją w szafie zeszłej wiosny. Miała nad daszkiem logo drużyny North Stars. Mężczyzna pochylił się i zakaszał mocno, prawie na granicy wymiotów. Potem wyprostował się, przetarł czoło przedramieniem, nacisnął czapczkę na czoło i wykopał następną łopate piachu.

XVI

Lot 402 z La Paz w Meksyku do Dallas, 28 października 1993

„Cóż, siedzę sobie w San Antone, czekam na pociąg o ósmej...” Kapela Szeryfa Tuckera grała ostro; słycać ją było ze słuchawek kobiety siedzącej obok, dopóki nie przerwał jej komunikat pilota. Kapitan powiedział, że są na trasie i obecnie lecą na północny wschód ponad Górami Davisa. Zsunęła nieco okulary przeciwsłoneczne i popatrzyła przez czyste, pustynne powietrze, podczas gdy muzyka wróciła: „Będę pracować cały tydzień, zarobię sto dolarów i znowu ruszę w drogę...”

Z wysokości trzydziestu ośmiu tysięcy stóp widziała długi pociąg towarowy jadący przez zachodni Teksas. Gdzieś tam poniżej znajdowały się niemal dwa lata jej życia, unoszące się w beżowym kurzu między brązowymi wzgórzami.

- Nie chcę, byś myślała, że jesteś pierwszą osobą, która zostawia mnie tu samego...

Earl, Jęczydusza i Kaktus. Zastanawiała się, co u nich słycać, wierzyła, że mają się dobrze; wszyscy trzej byli już w mocno podeszłym wieku, gdy widziała ich po raz ostatni.

Mężczyzna siedzący w fotelu obok przejścia nachylił się nad nią i wyjrzał przez okno. Gorące skrzypce, elektryczne gitary i flet włączający się w przerwach instrumentalnych; a potem głos wokalisty:

„Oj, gdybyś spisał imiona wszystkich kobiet i pozwolił mi wybrać jedno...”

Mówił coś do niej, więc uniosła słuchawki znad uszu.

- Przepraszam, możesz powtórzyć?

- Powiedziałem, że nie miałem pojęcia, iż w Teksasie są góry. Nie mogą być zbyt wysokie, bo nigdy o nich nie słycałem. Podejrzewam też, że nie ma tam na dole nic więcej... to tylko jedna wielka pustka. - Skinęła głową, a on poprawił krawat i wrócił do lektury.

Znowu popatrzyła na zachodni Teksas przepływający pod skrzydłami i podkreśliła dźwięk Kapeli Szeryfa Tuckera, zbliżającej się do finału:

„Nie, to nie pierwszy raz, gdy ten stary kowboj samotnie spędza noc...”

Muzyka - ten typ muzyki daje ci poczucie, że jedziesz szybko i wszystko zostawiasz za sobą, że próbujesz nowego życia, praktycznie nigdzie nie wyruszając. Ta muzyka tworzy niemal dotykany obraz: poruszające się koła i długie, kręte pociągi zmierzające na zachód

przez pustynną noc, blask gwiazd na torach położonych z dobrymi intencjami... koła, gumowe opony mknące lekko przez październikową przeszłość, srebrna moneta w powietrzu - „ty wybierasz” - Gitchee Gumee gdzieś z przodu, a potem skręt do Little Marais, homary i tort urodzinowy, i Jack Carmine wyglądający strasznie śmiesznie w czapeczce ze śmigielkiem... siedzenie z nim po turecku na łóżku i jedzenie kanapek i jajecznicy, i śmiech, gdy opowiadał jeszcze jedną z niewyczerpanego zapasu historyjek, i sposób, w jaki na niego patrzyła, i wspomnienia tamtej nocy, która zakreśliła koło ponad delikatnym rozpasaniem - jej i Jacka Carmine'a - jak unosiła się ku niemu ciągle i ciągle od nowa, jak przyciskała brzuch i piersi do jego szczupłego ciała, brązowej twarzy, ramion, jak robiła z nim wszystko, co tylko kobieta może robić z mężczyzną, przechodząc od łagodności do dzikości, szalonego uderzania o siebie, a potem znów do łagodnych słów i lekkich pieszczot, i jak myślała, że jeżeli wszystko się tak utrzyma, może umieści słowo „miłość” na powrót w swym słowniku.

Jack Carmine, przemawiający do niej łagodnie w tamtych chwilach, mówiący jej to, co chciała usłyszeć, że wszystko od tej pory będzie już tylko lepsze, że nagość i szaleństwo tej chwili są czymś najwspanialszym na świecie, a ona najwspanialszą z kobiet na świecie; i pragnęła go bardziej w te stare październikowe noce niż kogokolwiek kiedykolwiek. Jack usiłujący grać „Kobietę na niepokodę” na swej ustnej harmonijce i zawinięty w koce na Górze Małego Konia, popijający piwo z butelki o świcie, mówiący: „Cholera, powinien być jakiś sposób, by zachować taki poranek, wsadzić go do słoika czy czegoś takiego i oglądać, gdy tylko przyjdzie człowiekowi na to ochota”.

W kabinie pierwszej klasy stewardesa podawała pasażerom gorące ręczniki. Wedle tabliczki na piersi miała na imię Elena i właśnie mówiła ludziom siedzącym za nimi, że łośoś z wody jest jednym z dań przewidzianych na lunch. Dodała, że karty dań przyniesie za kilka minut.

Mark Elwin wytarł dłonie w ręcznik i spojrzał na kobietę siedzącą obok niego.

- Wszystko w porządku?

- Tak, oczywiście. - Generalnie rzecz biorąc.

Minęło już siedem lat od Northern Food Processor i baru Rainbow, i jej pierwszej wyprawy odległymi drogami do zachodniego Teksasu. Była teraz trochę cięższa, wiek i uporządkowane życie nieubłaganie popychały ją ku temu stanowi. Cztery lata wcześniej zapisała się na zajęcia w college'u w Des Moines, w niezdarnym i szalonym porywie zamienienia każdego mijającego dnia w lepszy. Mark Elwin miał tam cykl gościnnych wykładów o polisach ubezpieczeniowych, a później rozmawiali o tym, jak może się ubezpieczyć na życie samotna kobieta z dzieckiem. Zadzwonił do niej tydzień później i zaprosił na randkę. Od tego się zaczęło; pobrali się rok później, a on okazał się dobrym mężem, dobrym ojcem dla Sary Margaret, niezłym kochankiem w łóżku i świetnym facetem w wielu innych dziedzinach. Zachęcał ją, by kontynuowała naukę w college'u, powtarzał, że ona tego potrzebuje, a poza tym żona wiceprzewodniczącego ogólnokrajowej firmy

ubezpieczeniowej powinna mieć dyplom ukończenia studiów. Studiowanie i bycie gotową na każdy wyjazd z nim nie było dla niej łatwe. A jednak udało się jej jakoś połączyć oba te obowiązki i po półtora roku otrzymała dyplom ukończenia studiów na Uniwersytecie Drake. Temat jej pracy dyplomowej brzmiał: „Leon McAuliffe: gitara i westernowy swing”. Mark Elwin zapytał ją kiedyś, dlaczego chce pisać o czymś tak obcym i dawno zapomnianym, ale odpowiedziała mu tylko, że muzyka Boba Willsa i jego Tekszańskich Playboyów była brzemieniem w następstwa krokiem w rozwoju amerykańskiej muzyki w ogóle.

Jednak było w tym wszystkim coś, jakiś rodzaj kruchej nieszczerości wcinającej się w jej życie, przebrzmiałych niedomówień nieuczciwego układu. Zawsze miała to poczucie przynależności do innego świata, poczucie lekkiej niepewności w świecie, po którym Mark Elwin poruszał się ze swobodą i wdziękiem. Dopasowała się do mapy świata Jacka Carmine’a bez żadnych problemów, do muzyki country i piwa lone star, do starych pikapów i autostrad w zachodnim Teksasie, do „Zblakłej miłości” i setki stetsonów poruszających się pod światłami na sali Ośrodka Miejskiego w Alpine. Rozumiała, że Jack Carmine był logicznym następstwem lat jej dorastania, Lucasa Mathena, tylnych siedzeń fordów, serwowania zapiekanek i cheeseburgerów, i niemyślenia za wiele o tym, co kryje się w przyszłości.

Teraz żyła z planami układanymi na miesiąc naprzód. Teraz miała hotel Plaza w Nowym Jorku, obiady w najlepszych restauracjach, orkiestrę symfoniczną, którą powinni wspomóc, jak twierdził Mark, gdyż Des Moines nie miało własnej orkiestry symfonicznej. Przypomniła sobie, jak siedziała kiedyś na spotkaniu, na którym omawiano finansowe problemy orkiestry, i z jakiegoś powodu pomyślała o Jacku Carmine, i wyobraziła go sobie siedzącego obok. Jacka we flanelowej koszuli, podartych dżinsach i starych butach, w skórzanej opasce na nadgarstku, z harmonijką ustną sterczącą z kieszonki na piersi. Uśmiechnęła się wtedy i nawet roześmiała cicho do siebie na myśl o tym, jakie rozwiązanie Jack zaproponowałby orkiestrze:

- Spokojnie, panowie, przyjmijmy kapitalistyczny punkt widzenia i sprawmy, by cały ten interes był trochę bardziej intratny - podkreśmy nieco szybkość, zagrajmy Bacha szybciej.

Potem wyciągnąłby swoją harmonijkę i zagrał „Dziewczęta z Buffalo”, tańcząc jednocześnie two-stepa na podłodze sali konferencyjnej.

W późnych dniach października, najczęściej w późnych dniach października, przez wiele lat obracała się na południowy zachód i wpatrywała w głąb siebie: w samochodzie z chodzącymi bezgłośnie wycieraczkami, na podwórku za domem, gdy dym z liści szedł prosto do nieba, albo w łóżku, gdy wokół słychać było tylko równomierne oddechy innych. I czasem - w późnych dniach października najczęściej - usiłowała przywołać do siebie to wszystko; tęskniła za Jackiem Carmine’em i chciała zacząć wszystko od nowa, chciała złapać Sarę Margaret i popędzić na pustynię, skręcić w lewo na zachód od Fort Stockton, pojechać sześćdziesiąt mil w stronę słodkich wyżyn Teksasu, które z oddali wydawały się jeszcze słodsze. Tęskniła za tym wszystkim i rozpaczliwie pragnęła, by wróciło, lecz jednocześnie wcale tego nie chciała.

Teksas Jack Carmine - lustro w pewnym sensie tego słowa, odbijające jasno i wyraźnie sumę tego wszystkiego, przed czym przestrzegala ją matka, i dlatego jednocześnie pokazujący jej cały wachlarz innych możliwości. Teksas Jack Carmine, na swój własny sposób troszczący się o nią bardziej niż ktokolwiek inny na świecie. Wspominała, jak stał oparty o swą półciężarówkę, z czarnym stetsonem zsuniętym nisko na czoło, w okularach przeciwsłonecznych, ubrany w czystą koszulę, dzinsy i wypolerowane kowbojskie buty, czekając, by zeszła z ganku w swej czarnej sukience i po raz pierwszy pojechała z nim do miasta na uroczystą kolację.

Zatrzymała się wtedy na ganku, obróciła dokoła własnej osi i spytała:

- Jak ci się podobam?

A Jack sięgnął do samochodu i zatrąbił głośno, potem podszedł do niej, wziął ją na ręce i zaniósł do auta, całując po szyi i szepcząc:

- Tańcząca damo, jesteś wszystkim, co kiedykolwiek mogłem sobie wymarzyć. Zabieram cię dziś wieczór na wspaniałą zabawę, po czym nastąpi noc niezwykłych ekscesów, do których tylko my dwoje jesteśmy zdolni. Zadałem sobie ten trud i odkurzyłem siedzenie forda specjalnie dla ciebie.

Wsadził ją do pikapa i zamknął drzwi, potem stał i patrzył na nią z tym dziwnie chłopięcym wyrazem twarzy, który zdążyła już poznać; zawsze patrzył tak na nią w podobnych chwilach - jakby podarowano mu coś wyjątkowego, a on teraz bał się, żeby mu tego nie odebrano. Tamtego dnia wyjął z kieszeni swą harmonijkę i rzekł:

- Napisałem dla ciebie piosenkę; pierwszą i ostatnią w moim życiu. Przez ostatnie trzy tygodnie przy każdej okazji zamykałem się w szopie i ćwiczyłem. Nazywa się „Tańcząc na Górze Małego Konia”.

Stał tak w kurzu, w swoich ręcznie robionych kowbojkach, z kapeluszem naciśniętym na oczy i grał prostą melodię, którą doprowadził do perfekcji.

Kiedy skończył, wyszczerzył zęby w uśmiechu i dodał:

- Właśnie widziałas Jacka Carmine'a w absolutnie szczytowej formie muzycznej. Pewnie już nigdy w życiu nie uda mi się tego tak zagrać.

- Kowboju - szepnęła, wyciągając rękę i dotykając jego policzka. - Czasem jesteś istnym ósmym cudem świata.

Jack Carmine uśmiechnął się do niej, zerknął spod czarnego stetsona i jak zwykle zmagał się sam z sobą, by utrzymać uczucia na wodzy. Po drodze do miasta cały czas trzymali się za ręce i uśmiechali do siebie nawzajem. I patrząc to na autostradę, to na nią, Jack powtórzył słowa, które często wypowiadał w takich chwilach:

- Zapierasz mi dech w piersiach, tańcząca damo.

A ona ścisnęła go mocno za rękę, słysząc te słowa.

Jej pierwsze dni w zachodnim Teksasie upłynęły wolno i spokojnie. Były to dni, które wydawały się dłuższe niż w innych miejscach, i to jeszcze potęgowało wrażenie, jakby jej

życie zwolniło bieg. Dni, tygodnie i miesiące; brązowy kurz, wiatr i cisza. Linda zasadziła ogródek, a Earl zabierał Sarę Margaret na przejażdżki na Kaktusie - sadzał ją przed sobą na siodle i pozwalał jej trzymać wodze. Jack naprawiał płoty i reperował pompy, a potem spędzali długie noce w łóżku, pijąc lone stara, kochając się i śmiejąc do księżyca.

Gdyby tak to pozostało, może przetrwałyby napady szału Jacka. Może zostałyby i pomogła mu jakoś się z nimi uporać. Ale z czasem wycieczki na Górę Małego Konia z dmuchanym materacem stawały się coraz rzadsze, czarna sukienka wisiała w szafie zawinięta w plastikową torbę i bywały długie okresy, podczas których Jack nie odzywał się do nikogo, z rzadka tylko utyskując, że kończą się pieniądze i że musi się rozejrzeć za lepszą robotą, niż jest w stanie znaleźć w Alpine. Czasem siodłał jedyne konia na ranczu, pakował juki i wyruszał w góry, gdzie spędzał kilka dni tylko w towarzystwie swojej strzelby. Rankami, gdy wiał silny wiatr i świt gotował się czerwono nad wzgórzami, leżała w łóżku i przysłuchiwała się odległemu grzmotowi strzelby odbijającemu się od zboczy i pędzącemu kanionami.

Earl powiedział:

- Jack wbił sobie do głowy, że nie jesteś tu szczęśliwa z powodu pekari. Mówi, że pozbędzie się ich raz na zawsze, poluje po zmroku, przy latarce. Trudno powiedzieć, ile zabił, ale na pewno całe mnóstwo. Odcina im uszy i pokazuje mi po powrocie; trzyma je w torbie, w szopie. Zdaje się, że jak na razie zamienił turlanie się w kurzu i wrzeszczenie do Leona na zabijanie dzikich świń i wymiotowanie później. Choć z drugiej strony wszystko to jedna cholera... sądząc po wyrazie jego oczu.

Jack Carmine; wyobraziła go sobie tam, w kanionie, ze strzelbą w ręce, w starej skórzanej kamizelce, poruszającego się między krzewami *mesquite* niczym grzechotnik diamentowy, który poluje tylko w nocy. Wyobrażała sobie ogromne ciemne kształty przebiegające przez snop światła jego latarki i Jacka podążającego za nim z oczyma utkwionymi w muszce, ładującego miedziane naboje i pociągającego za spust raz za razem...

W lecie jej drugiego roku na ranczu Jack powiedział, że zabił wszystkie pekari i że nie musi się nimi już więcej przejmować. Dodał też, że zaciągnął się do ekipy kombajnistów i że wyrusza z nimi na północ. Posprzeczała się o to; Linda powiedziała, że na pewno nie wróci przez wiele miesięcy, i że to nie fair w stosunku do niej.

Po raz pierwszy od bardzo dawna naprawdę się wściekła i rąbnęła patelnią o kuchnię.

- To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi, Jack; to ma coś wspólnego z tym, że Jack Carmine po prostu musi gdzieś wyjechać. Myślę, że Rainy miała rację, wy, Carmine'owie, wszyscy jesteście stuknięci. Może ona to zносиła, ale ja nie zamierzam.

- No cóż... - Jack oparł się o lodówkę i zatknął kciuki za pasek z dziwnym, twardym wyrazem twarzy - ...po pierwsze, powinnaś wiedzieć, że Rainy Carmine wcale nie była niewinnym obserwatorem tego, co tu się działo. Kiedy wzbijał się kurz i gówno latało w powietrzu, wcale nie uciekała i nie chowała się po kątach, tylko jeszcze i nam dokładała po łbach. - Zakończył tę kłótnię mówiąc: - Tańcząca damo, zająłem się dla ciebie dzikimi

świniami. Teraz pojedę zdobyć dla nas pieniądze, bym mógł znowu zaprosić cię do hotelu na kolację w wielkim stylu. Wyprasuj swą czarną sukienkę i przygotuj się, a wrócę, zanim się obejrzysz. Może zawędrujemy do Meksyku i powylegujemy się przez jakiś czas na plażach?

Patrzyła, jak pikap wjeżdża na drogę numer 90 i skręca w prawo. I Teksas Jack Carmine znowu wyruszył, by poprowadzić wielkie pomarańczowe maszyny na północ, ku jesieni. Przysyłał jej pocztówki:

*Uważaj na siebie, tańcząca damo,
wrócę pod koniec października.*

Albo:

*Pszenica jest złota, a niebo błękitne.
Drżę przed świtem i marzę o zachodzie słońca.*

Zadzwoił z Wichita i innych miejsc dalej na północ, nieomal na granicy z Kanadą, pytał, jak się mają ona i Sara Margaret.

- Posłałem tysiąc dolarów do Pierwszego Narodowego Banku w Alpine; idź i kup coś ładnego sobie i muchacha. Zależy mi na tobie, panno Lindo.

Trzydzieści dziewięć, wkrótce czterdziestka. Umówiła się na spotkanie w college'u w Alpine i rozmawiała z kobietą, która zajmowała się doradzaniem „dojrzałym studentom”. Tak, wszystko jest możliwe, dofinansowanie także, ale Linda zauważyła, że pozostali studenci są znacznie od niej młodszy, i rozmyśliła się. Wróciła na ranczo i zabrała się do pracy w ogródku; wyciągała chwasty i myślała o długich, prostych szlakach i o tym, że następną jesienią Sara Margaret dorośnie do pójścia do przedszkola.

Jack nie wytepił wszystkich pekari. W sierpniu, zaraz po zachodzie słońca, sprzątała w domu i rozmyślała nad tym, że już od prawie trzech tygodni nie miała żadnych wiadomości od Jacka. Sara Margaret bawiła się gdzieś za domem, gdy Linda usłyszała dziwne dźwięki na ganku. Dzika świnia stała tam i węszyła, wtykając kły pod siatkowe drzwi. Linda zdjęła strzelbę Jacka ze ściany, odciągnęła kurki, jak jej kiedyś pokazywał, i strzeliła do pekari przez drzwi z siatki. Trafiała zwierzę w brzuch, więc długo to trwało, zanim w końcu umarło; wydawało przerażające dźwięki, walczyło o oddech, krwawiło i oddawało kał na całym ganku, skrobiąc kopytkami po deskach i usiłując wstać. Patrzyła, jak dzika świnia umiera, i miała wrażenie, że zwierzę cały czas się jej przygląda.

Potem przez trzy godziny siedziała przy kuchennym stole i trzymała worek z lodem przy policzku, gdzie kolba strzelby rąbnęła ją przy odrzucie. Zapomniała, że Jack mówił jej, iż powinna mocno zaprzeć strzelbę o ramię. Rozmyślała, jak jeszcze nigdy w życiu, myślała o swojej przyszłości, o tym, że robi się coraz starsza i nie ma dokąd pójść, o Sarze Margaret i o

tym, że dziewczynka dorasta do przedszkola i mieszka sama w sercu pustyni. Dwukrotnie wychodziła i przyglądała się dzikiej świni leżącej na ganku w kałuży zasychającej krwi. Potem spakowała walizkę, którą Jack Carmine kupił jej prawie dwa lata temu, i zebrała rzeczy Sary Margaret. Następnego ranka Earl zawiózł je do miasta starym land cruiserem Poly'ego Carmine'a i siedział wraz z nimi w szerokim wagonie służącym za stację autobusową linii Trailway. W południowo-wschodnim Teksasie panowała deszczowa pogoda, i gdy tak czekali, nad ich głowami przesuwały się burzowe chmury.

Po burzy autostrady stały się lśniące i mokre na jakiś czas i koła autobusu wydawały na nich syczący dźwięk, gdy Linda i Sara Margaret jechały na wschód drogą numer 90, przez skrzyżowanie z drogą 67, obok łuku z napisem „Kraęle C” i zgiętym słupem, obok czarnej sukienki nadal wiszącej w szafie w domu, gdzie zostawiła ją owiniętą w folię, obok miejsc, w których znajdowała się w innym czasie, w innym życiu.

Sara Margaret klęczała na siedzeniu obok Lindy i patrzyła, jak wjazd na ranczo znika za nimi.

- Dlaczego stąd wyjeżdżamy, mamusiu?

Linda odpowiedziała jej cichym głosem, w którym słychać było ogromne zmęczenie.

- Sara Margaret, nadszedł czas, byśmy ruszyły naprzód z własnym życiem, zanim staniemy się na to za stare.

Sara Margaret miała bardzo poważną minę.

- A co z Jackiem, Earlem, Jęczyduszą i Kaktusem? A co z nimi? Czy oni też pojedą? Pojadą z nami do Iowy? Kiedy Earl będzie mógł znowu mnie zabrać na przejażdżkę na Kaktusie?

- Nie wiem, kochanie. Jeszcze nie znam wszystkich odpowiedzi. Chciałabym, żeby tak było, ale nie jest. Może przejrysz te komiksy, które kupiłam ci w sklepie?

Sara Margaret usiadła i wpatrzyła się w fotel przed sobą; rączki zacisnęła na kolanach i nie odzywała się ani słowem.

Linda patrzyła na zakurzoną drogę wiodącą do rancza, gdy obok niej przejeżdżali, a później obróciła się do tyłu i spoglądała na Górę Małego Konia, dopóki nie zniknęła w oddali. Potem ujęła Sarę Margaret za rączkę.

- Nie wiemy, ile jest ostatnich samolotów, moja mała, ale łapiemy zawsze jeden po drugim i zawsze uważamy, że następny jest już ostatni. Zdaje się, że poprawianie biegu spraw zawsze polega na wyjeżdżaniu skądś. Ale pewnego dnia wszystko się ułoży... Po prostu musi się ułożyć.

W ciemnościach nocy Sara Margaret zasnęła z głową na kolanach Lindy, a autobus puł przez zachodni Teksas w kierunku Dallas, skąd złapały połączenie z Des Moines.

Linda nie miała pojęcia, że Jack wyruszył na jej poszukiwanie. Kiedy zadzwonił na ranczo w tydzień po jej wyjeździe, Earl Chavez starał się nie podawać mu żadnych szczegółów, lecz wreszcie rzekł:

- Ona wróciła do domu, Jack. Uważam, że powinieneś zostawić ją w spokoju.

Przez całą noc i prawie cały następny dzień Jack jechał na wschód, do Altoona. Ale matka Lindy go okłamała i powiedziała, że nie ma pojęcia, gdzie znajduje się córka, a on ma zabierać swój cholerny pikap z jej posiadłości.

Przez jakiś czas włóczył się po Altoona; myślał, że może ją gdzieś zobaczy i spróbuje jej wszystko wyjaśnić, skłoni ją, by zmieniła zdanie, a potem pojedzie wraz z nią i Sarą Margaret z powrotem do Teksasu. O zmierzchu kupił sześciopak piwa i pojechał do parku Hayes; przez długi czas siedział tam na masce swego samochodu, słuchał śpiewu szarańczy, co stanowiło niechybny znak zbliżania się jesieni. Około dziesiątej wyruszył w drogę powrotną do Alpine.

Linda nigdy do końca nie uporządkowała swoich uczuć do Jacka Carmine'a. Na początku łączyło ich coś, co miało wiele wspólnego z poczuciem dzikości i wolności, jej ostatni zryw do chwytania życia na gorąco i kochania się na szczycie góry o świcie. Nauczył ją czegoś o życiu na szlaku, o jego blaskach i cieniach. Dał jej jeszcze coś innego - trudno właściwie powiedzieć co - ale zaczęło się od czarnej sukienki. Poczula to tego wieczora, gdy kupił jej tę sukienkę; miało to coś wspólnego z poprawianiem własnego wizerunku. Teksas Jack Carmine zawsze potrafił poprawić jej samopoczucie i samoocenę.

Były później okresy, gdy czuła się winna, że opuściła go w taki sposób. Pewnego razu napisała do niego długi list, zaadresowany do „Pana Jacka Carmine'a, mieszkającego w okolicach Alpine, w Teksasie”, w którym usiłowała mu wszystko wyjaśnić. Celowo nie zostawiła adresu zwrotnego i wysłała list z hotelu Plaza w Nowym Jorku, gdzie była wraz z Markiem w podróży służbowej.

Jack Carmine nigdy nie przeczytał tego listu. Wiedział, co jest w nim napisane nawet bez czytania; zgadywał, jakie będzie zakończenie tej piosenki już od chwili, gdy Linda Lobo wyszła w czarnej sukience z przymierzalni w sklepie w Otter Falls. Jack nosił list w tylnej kieszeni spodni przez trzy dni; zastanawiał się nad spaleniem go, lecz w końcu tylko zakopał go daleko w jednym z kanionów za ranczem.

Kiedy Bobby McGregor dawał koncert w Des Moines, Linda obdzwoniła wszystkie hotele w mieście, zanim go odnalazła.

Po raz pierwszy spotkali się, kiedy Bobby grał w El Paso. Wtedy na tournée pojechała z nim jego żona Sharon - we czwórkę pili piwo i rozmawiali przez pół nocy. Bobby i Jack najwięcej gadali, wspominając ogromne pomarańczowe maszyny, bary w Shreveport i czasy, gdy Jack wysiadł w Cheyenne i pojechał do Meksyku.

- Taak, i nie przysłał mi ani jednego zdjęcia, mimo iż obiecywał - mruknął Bobby, zerkając na Lindę; zastanawiał się, czy wszystko, co rysuje się pod jej ubraniem, jest prawdziwe, i zazdrościł Jackowi Carmine'owi, który wiedział to na pewno.

- Nie miałem czasu na robienie zdjęć. - Jack uśmiechnął się szeroko. - Byłem zbyt zajęty robieniem rzeczy, które ludzie zazwyczaj tylko fotografują.

Sharon przewracała oczyma, przysłuchując się tej gadce dwóch starych kumpli

wspominających dawne dobre czasy.

Pięć lat później w kafejce w Des Moines Linda i Bobby rozmawiali o pogodzie i ogólnie o wszystkim, a potem zeszli na temat Jacka Carmine'a i już przy nim zostali. Bobby powiedział, że rozumie, jak ona się czuje i dlaczego nie mogła zostać z Jackiem. Kiedy tak o tym rozmawiali, poważnie i logicznie w jasnym świetle dnia, w Des Moines, kawał drogi od Góry Małego Konia i tańczenia na pylistej drodze w takt muzyki Waylona płynącej z domu, Lindzie Elwin wszystko wydawało się takie proste.

Każde z nich miało do opowiedzenia własne historyjki o Jacku, zabawne i czułe, i musieli przyznać, że im dłużej o nim rozmawiali, tym bardziej Teksas Jack Carmine stawał się w ich oczach większy, większy niż samo życie. I, w jakiś dziwny sposób, historyjki te same się napędzały.

Bobby zaproponował jej bilety na koncert, lecz Linda Elwin odmówiła uprzejmie mówiąc, że jej mąż nie wychodzi z domu wieczorami, chyba że do filharmonii. Bobby uśmiechnął się i powiedział, że rozumie, zerknął na zegarek i dodał, że musi pędzić na próbę dźwięku, bo wprawia nowego grajka i musi go jeszcze przećwiczyć.

Kiedy Linda zapłaciła za kawę, uścisnęli sobie ręce na chodniku, a potem z powodu, którego żadne z nich nigdy nie potrafiło wyjaśnić, objęli się i trwali tak przez jakiś czas.

Potem Linda spojrzała na Bobby'ego McGregora i rzekła:

- Czasem tęsknię za nim, Bobby... naprawdę za nim tęsknię... i za tym życiem... a w każdym razie za jakimś jego fragmentem, za dzikością... nieprzewidywalnością.

Skinał głową i nadal trzymał ją w ramionach, spoglądał jej w twarz, wdychał jej zapach i myślał, że nie pachnie jak miastowa kobieta. Pachniała wszystkimi autostradami, które biegną przez wiosnę i lato ku smutnookim zakończeniom i, do diabła, w tej chwili niebezpiecznie zbliżył się do powiedzenia rzeczy, których nie powinien mówić, lecz strasznie chciał powiedzieć. Opuścił to sobie, zachował się odpowiednio i nie wyznał jej, że choć raz w życiu chciałby zobaczyć ją nagą, i że potem nie brakowałoby mu już niczego i już nigdy o nic nie prosiłby tego, który zawiaduje podobnymi sprawami tam, w górze. Nieraz później żałował, że tego nie powiedział; czuł, że w tamtej chwili mogłaby na to przystać, mogłaby pójść z nim do pokoju hotelowego i rozebrać się w jakimś symbolicznym geście powrotu do świata Jacka Carmine'a i symbolicznym odzyskaniu samej siebie z tamtych dni.

Mogłaby to zrobić, gdyby ją poprosił. Linda Elwin rozumiała mężczyzn i po wyrazie jego oczu odgadła, o czym myśli Bobby McGregor. Prawdopodobnie nie zrobiłaby tego, lecz mogłaby, i później cieszyła się, że nic nie powiedział.

Jadąc do domu tamtego dnia Linda myślała o Sarze Margaret i o tym, że już nie pyta o Jacka, nie czeka na jego przyjazd i nie tęskni za jego grą na harmonijce. Jednak kilka miesięcy wcześniej zauważyła równo złożoną bandanę leżącą w szufladzie komody Sary Margaret. Jack Carmine podarował ją dziewczynce pewnego dnia wiele lat temu, kiedy kurz unosił się w powietrzu, a słońce nad zachodnim Teksasem prażyło niczym palnik propanowy.

Zdjął wtedy bandanę z szyi i rzekł:

- Zarzuć to na głowę, muchacha. To ochroni cię przed słońcem.

Tamtego dnia poszli na spacer do kanionów, a w drodze powrotnej Jack niósł Sarę Margaret na barana.

Wracając do zachodniego Des Moines i patrząc w słońce, Linda Elwin miała łzy w oczach, na początku tylko kilka. Zatrzymała BMW na parkingu jakiegoś supermarketu i przez kilka minut płakała rozpaczliwie; nawet nie bardzo wiedziała, dlaczego płacze. Ale miało to coś wspólnego ze starą harmonijką i drogami wijącymi się przez pustynię, coś wspólnego z Górą Małego Konia i ciepłą wodą w basenie pośrodku cholernej teksańskiej głuszy. Miało to coś wspólnego z iluzorycznym poczuciem wolności i wyobrażeniami, które nachodziły ją uporczywie w kilku ostatnich latach - wyjechaniem gdzieś w nieznane i zatrzymaniem się w jakimś tanim hoteliku, w zakurzonej meksykańskiej wiosce, w której nigdy wcześniej nie była, upicie się w trupa i rżnięcie bez przytomności przez kilka dni z facetem, którego imienia nie zna i nigdy nie pozna. Miało to coś wspólnego ze sposobem, w jaki odeszła od Jacka Carmine'a i z wyborami, jakich dokonała dla dobra swojego i Sary Margaret.

Ale czas jest jak stara soczewka z bursztynu: kiedy spoglądasz w nią, pamiętasz tylko dobre rzeczy, a złe zostawiasz za sobą. Dobre obrazy zostają z tobą, jakby były na wieczność zamknięte w słoiku, do którego Jack chciał kiedyś schować wschód słońca. Trzymała je tam i czasami, w późnych dniach października, najczęściej w późnych dniach października, wyciągała je i oglądała przez dłuższy czas. I wiele lat później, w odrzutowcu zmierzającym do Dallas, wspominała swą pierwszą wyprawę do Teksasu z Jackiem Carmine'em; wyłowiła ją z dna pamięci, przyjrzała się jej i uśmiechnęła. Muzyka dźwięczała jej w uszach - Waylon i Merle, i Emmylou, muzyka dalekich autostrad - i nie znajdowała się wtedy praktycznie w żadnym miejscu ani czasie, co wtedy zupełnie jej wystarczyło, a było znacznie lepsze niż to miejsce, z którego przybyła. Był późny październik, a ona jechała w kierunku ciepłego słońca z Teksas Jackiem Carmine'em, podróżnikiem letnich autostrad i wędrowcem w nieznane.

Mark Elwin zerknął na nią znad swego łososia z wody.

- Wspaniale się opaliłaś w Cabo San Lucas. Do twarzy ci, a poza tym opalenizna będzie ci pasować do tego lawendowego kostiumu, który kupiłaś.

- Dzięki. - Uśmiechnęła się, szczęśliwa, że jest z nim.

A daleko w dole zachodni Teksas zniknął za ogonem boeinga 737.

Lecieli ponad drogą I-10 i Vaughnem Rhomerem.

W stronę Dallas.

A potem Des Moines.

Do domu.

Na lotnisku Dallas-Fort Worth czekali z Markiem na samolot do Des Moines. Mark czytał artykuł o szukaniu w życiu nowych wyzwań, a Linda siedziała obok niego i przyglądała się pasażerom chodzącym tam i z powrotem, we wszystkich tych dziwnych kierunkach, w

których się udają, zanim się zjawią na powrót. Wysoki mężczyzna w kowbojskich butach, ze skórzanym pudłem na gitarę przerzuconym przez ramię przeszedł korytarzem i zerknął na nią. Uśmiechnęła się do Bobby'ego McGregora i omal się do niego nie odezwała. Zwolnił na chwilę, zobaczył mężczyznę siedzącego obok niej i skinął głową, lekko dotykając runda stetsona, zanim poszedł w swoją stronę.

XVII

Zachodni Teksas, 28 października 1993

Vaughn Rhomer zatrzymał się na noc w Katy, na obrzeżach Houston. Przemycił psa do swego pokoju i zamówił pizzę z pobliskiej restauracji. Następnego ranka wraz z Bandidą byli w drodze przed wschodem słońca; koło południa zrobili sobie postój i piknik tuż przed Junction.

Vaughn Rhomer machnął swą kanapką i powiedział do suki:

- To tutaj nazywane jest Teksańską Krainą Wzgórz, moja mała; jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie, jak twierdzą niektórzy.

Pies zajęty był jedzeniem kanapki, więc nie odpowiedział. Vaughn Rhomer zastanawiał się nad swoimi słowami. „Jak twierdzą niektórzy”. Do diabła, sam tak mogę twierdzić, pomyślał, byłem tu i widziałem na własne oczy, a nie tylko słyszałem, jak kiedyś.

Z przydrożnej budki telefonicznej zadzwonił do Otter Falls i skontaktował się z kierownikiem „Najlepszej ceny”.

- Co takiego?! - zapytał Bert Freeder, słysząc wycie wiatru po drugiej stronie drutu, które nieomal zagłuszało słowa Vaughna Rhomera.

- Dokładnie to, co powiedziałem: odchodzę. Niech wyciągną moje dokumenty emerytalne. Dam znać, dokąd mają przesyłać czeki.

- Jezu Chryste, Vaughn, nie poradzimy tu sobie bez ciebie. Nie możesz mówić poważnie... w twoim wieku tak po prostu wyruszać do Meksyku?! Wstrzymaj się z wyciąganiem dokumentów przez parę tygodni. Przemyśl wszystko jeszcze raz.

- Bert, po prostu prześlij mi te dokumenty. Nie wracam do roboty. Przyślę ci pocztówkę z Meksyku. - I Vaughn Rhomer odłożył słuchawkę.

Jakąś godzinę przed zachodem słońca zatrzymał się na skrzyżowaniu dróg 67 i 90. Wiele lat wcześniej Jack narysował mu mapę, jak odnaleźć ranczo, w razie gdyby Vaughn kiedykolwiek wybierał się w te strony. Vaughn Rhomer długo wpatrywał się w mapę, dopóki nie nauczył się jej na pamięć, tak na wszelki wypadek. Skręcił w lewo na drodze numer 90, przejechał kilka mil i odnalazł bramę z napisem „Ranczo Kragłe C”. Powoli pojechał zakurzoną drogą w kierunku starego domu, który w blasku zachodzącego słońca miał kolor

pośredni między różowym a czerwonym.

Nikt nie odpowiedział na pukanie do frontowych drzwi ani na walenie w tyłne.

- Jack?! - zawołał, a Bandida spojrzała na niego. - No cóż, drzwi są otwarte, więc jestem pewien, że Jack nie miałby nic przeciwko, byśmy się rozgościli. - Bandida wbiegła za nim do kuchni.

Wszystko wydawało mu się tu znajome. Jack nieraz opowiadał mu o życiu na ranchu, a Lorraine od czasu do czasu pisała o tym, jak to wygląda w zachodnim Teksasie. Zauważył od razu kuchenny stół zrobiony z drzwi położonych na dwóch drewnianych koźlach i przypomniał sobie, jak Jack opowiadał mu historię tego mebla.

- Widzisz, Poly cały czas trzymał swoje dokumenty porzucane na całym stole. Rainy strasznie się tego czepiała, lecz on odpowiadał, że życie jest za krótkie, by zawracać sobie głowę odkładaniem rzeczy na miejsce. Ostrzegała go, by wreszcie sprzątnął z tego cholernego stołu, żebyśmy choć raz mogli zjeść przyzwoicie kolację, a nie stać z talerzami w rękach dokoła pieca. Mówiła, że nie ma nawet gdzie grać w pokera i jeżeli czegoś z tym nie zrobi, to ona się tym zajmie w drastyczny sposób. Pewnego wieczora, gdy Poly'ego nie było w domu, bo właśnie zajęty był przegrywaniem kolejnej swojej bitwy, w Rainy się zagotowało; popatrzyła na stół zawalony na dwie stopy mapkami i dokumentami i aż poczerwieniała. Skrzyknęła wszystkich na ranchu i kazała im wynieść stół na tyły domu. Był strasznie ciężki, z solidnego dębu, podobno pamiętał jeszcze czasy dziadka Smylera, jak wszystko w tym domu. Staliśmy wszyscy dokoła, zbyt przerażeni, by cokolwiek powiedzieć a ona przyniosła z obory wiadro węgla. Dobrze się domyślasz spaliła ten cholerny stół i wszystkie śmieci Poly'ego przy okazji. Kiedy paliło się już fest, Rainy poszła do domu i przyniosła kielbaski; kazała nam znaleźć patyki i piec je nad ogniem. Powiedziała, że to jedyna kolacja, jaką nam przyrządzi tego dnia. Miejscowy grajek nawet napisał piosenkę o tym wydarzeniu; nazwał ją: „Noc, kiedy spalono stół”.

Vaughn Rhomer przesunął palcami po powierzchni drzwi, które stały się stołem, i rozejrzał się dokoła. Broń: strzelba wisząca na kołkach nad drzwiami, rewolwer o perłowej rękojeści wiszący w kaburze na gwoździu. Stary pistolet. Dotknął delikatnie porysowanej kolby z kości słoniowej.

Przeszedł do salonu i przyjrzał się starym skórzanym meblom z szerokimi drewnianymi poręczami. W pokoju było mroczno, nieomal ciemno i czuć było starym dymem drzewnym z kominka. Vaughn Rhomer wyobraził sobie Jacka i tę śliczną kobietę, którą przywiózł ze sobą do Otter Falls siedem lat temu - Linde Jakaśtam - siedzących tu i rozmawiających przy kominku. Z salonu wchodziło się prosto do ogromnej sypialni; Vaughn Rhomer nie mógł się powstrzymać przed wejściem tam. Jack wspominał, że z łóżka może podziwiać wschody słońca nad Szklaną Górą i Vaughn chciał choć raz zobaczyć, jak wyglądają góry widziane z okna sypialni.

Długa szafa na ubrania biegła przez połowę ściany; drzwi były otwarte. Na podłodze

leżała para zniszczonych - sądząc po rozmiarze - damskich kowbojek ze startymi obcasami. Kilka pomiętych koszul wisiało na drewnianym drążku, obok czegoś czarnego zawiniętego w plastik. Dotknąwszy palcami zakurzonej torby, Vaughn przekonał się, że zawiera suknię, szykowną wieczorową suknię. Na oparciu wysokiego krzesła w hiszpańskim stylu wisiała czapeczka z doczepionym śmigielkiem. Przez otwarte okno wpadł północny wiatr i unióśł sztywne żółte zasłony, poruszył śmigielko na czapce, które zrobiło trzy czwarte obrotu i znowu stanęło.

Vaughn Rhomer usłyszał zgrzyt opon na zwirowanym podjeździe, więc przeszedł na tył domu, a potem na ganek. Zza węgła wyszedł Meksykanin w dżinsach, kowbojskich butach i pomiętym kapeluszu z piórem myszołowa zatkniętym przy rondzie.

- Ńdobry - odezwał się. - W czym mogę panu pomóc?

- Nazywam się Vaughn Rhomer i jestem wujem Jacka Carmine'a, z Iowy. Przejeżdżałem tędy i pomyślałem, że wpadnę i przywitam się.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

- A taak, Jack nieraz o panu wspominał, zawsze bardzo miło. Ja jestem Earl Chavez, pracuję dla Carmine'ów od prawie pięćdziesięciu pięciu lat. Teraz niewiele jest tu do roboty, mamy tylko parę sztuk bydła, ale Jack był na tyle dobry, że pozwolił mi tu zostać.

- Jack jest w okolicy?

- Nie, przykro mi. Wyjechał z jakąś brygadą... kładą gdzieś gazociąg czy coś w tym stylu. Ale niech pan zostanie, zaraz zrobię jajecznicę i fasolkę, jeżeli jest pan głodny.

Bandida leżała na podłodze, a Earl Chavez i Vaughn Rhomer rozmawiali do późna w noc. Około drugiej, po jajecznicy, fasoli i kilku kolejkach whisky, Vaughn zapytał, co się stało z psem, Jęczyduszą, którego Jack tu kiedyś miał.

- Zmarło się starszuskowi ze cztery lata temu - odparł Earl. - Pochowaliśmy go przy tamtym rozpadającym się szybko wiertniczym na tyłach. Sikał na niego tak często, że doszedłem do wniosku, że jakoś go sobie przywłaszczył. Trzymam między moimi rzeczami list z prośbą, by i mnie tam Jack pochował, tuż obok Jęczyduszy; z tych samych powodów.

Vaughn Rhomer skinął głową a Earl Chavez przyglądał mu się oczyma przekrwionymi przez lata wypatrywania zbłąkanych sztuk bydła w palącym słońcu i kurzu.

- Życie było dla pana wcale dobre, prawda, panie Rhomer? Jeśli wolno mi spytać...

- Mniej więcej - odrzekł Vaughn; pomyślał, że w porównaniu z Earlem Chavezem musi się wydawać okropnie miękki i różowy. Earl Chavez w spłowiełej koszuli w zielono-czerwone paski, z zatraskami zamiast guzików i wystrzępionym kołnierzykiem; musiał być starszy od niego o jakieś dziesięć lat, a mimo to nadal wyglądał twardo i czerstwo. Vaughn Rhomer zauważył, jak wielkie i muskularne są jego przedramiona.

- A dla pana, panie Chavez?

- Mniej więcej podobnie... podobnie. - Earl przyglądał się swoim dłoniom i masował je sobie podczas rozmowy. - Wszyscy kowboje marzą o tym, by kiedyś mieć własne ranczo, ale

ta praca nie pozwalała na odłożenie dostatecznej ilości pieniędzy. Kończy się z chorymi kolanami i artretyzmem w rękach, powykręcanych od mocowania się z krowami, które trzeba wysłać do miastowych ludzi, którzy z kolei uważają, że wołowina rośnie na drzewach w foliowanych paczkach.

Uniósł dłonie i pokazał Vaughnowi popuchnięte, czerwone kłykcie, a potem zerknął na stół i dodał cicho:

- Dni idą jeden za drugim i bardzo szybko twoje życie się kończy, a ty jesteś dalej w tym samym miejscu, w którym byłeś te wszystkie lata temu. Okazuje się, że dawno się poddałeś i nie zamierzasz robić już tego wszystkiego, co pięćdziesiąt lat temu zaklinałeś się, że zrobisz. Rozmawiałem o tym niedawno z takim jednym gościem imieniem Sam. Sam miał rację; powiedział mi coś takiego: „Poza tym, że stawki są marne i że po pięćdziesięciu latach ciężkiej pracy nie masz nic oprócz poobijanych kości, kowbojowanie to najlepsza robota pod słońcem”. Jack zaproponował, że podpisze ze mną dokumenty, kilka lat temu, gdy po drugiej stronie Alpine wystawiono na sprzedaż takie małe ranczo. Ale bałem się, że nie będę się w stanie na nim utrzymać; byłem też przerażony, że Jack może stracić to, co zostało z Krągłego C, jeżeli mnie się nie ułoży, więc pozwoliłem, by okazja przeszła mi koło nosa.

Vaughn Rhomer popatrzył na to samo miejsce na stole, w które wpatrywał się Earl Chavez, i pomyślał o emeryturze z „Najlepszej ceny”. Może nie była wspaniała, ale nie była też taka zła. Wystarczyłoby tego na spokojne i tanie życie w jakiejś meksykańskiej wiosce nad brzegiem oceanu.

Jakiś czas przed świtem Vaughn Rhomer zapytał o kobietę, Linde Jakaśtam. Earl Chavez nalał im następną kolejkę whisky i odparł:

- Nie chcę o tym za dużo mówić; to prywatne sprawy Jacka i to on powinien panu o tym opowiedzieć. Ale powiem tyle, że ona była najlepsza. I była chyba jedyną rzeczą na tym świecie, na której Jackowi naprawdę zależało. Ja też bardzo ją lubiłem... naprawdę... bardzo ją lubiłem. To były chyba najlepsze dni, jakie tu spędziliśmy. Lubiałem też tę małą dziewczynkę. Zabierałem ją ze sobą na przejażdżki; siedziała przede mną na siodle i trzymała wodze... sam nigdy nie miałem dzieci. Czasem się zastanawiam, co się z nimi stało... mam nadzieję, że wszystko ułożyło im się jak trzeba... pannie Lindzie i jej małej córeczce.

Spojrzał w lewo, przez kuchenne okno, na pierwsze blaski słońca wyłaniające się z Szklanej Góry; wspominał lepsze dni, gdy kobiece bluzki łopotały na wietrze, kiedy w ogródku rosły pomidory, a mała dziewczynka jeździła z nim na obchód bydła.

Bandida zaczęła nagle warczeć; wstała i na sztywnych nogach podeszła do siatkowych drzwi. Kiedy jej warczenie przybrało na sile, Earl Chavez rozprostował zeszywniałe palce i zdjął strzelbę z kołków. Otworzył drzwi kopnięciem i wyszedł na ganek z winchesterem w ręku. Vaughn Rhomer podążył za nim.

- Cholerne pekari - warknął Earl Chavez. - Jakies sześć lat temu Jack twierdził, że zabił wszystkie. Ale to nieprawda, tyle mogę panu powiedzieć, panie Rhomer. Jack zrobił w życiu

wiele, ale na pewno nie wybił całej populacji świń w okolicy. One przetrwają nas wszystkich. Zdaje się jednak, że dziś nie podejda do domu, tylko zostaną w krzakach. - Uśmiechnął się do Vaughna Rhomera i skinął głową w kierunku Bandidy. - Byłaby dobrym psem ranczerskim. Może ma nieco za krótkie łapy, ale bije w niej dzielne serce.

Vaughn Rhomer przykucnął i pogłaskał psa; po chwili wstał i wyciągnął dłoń.

- Panie Chavez, bardzo miło było mi pana poznać. Muszę już ruszać. Dziękuję za whisky i miłą rozmowę. I proszę powiedzieć Jackowi, że wpadłem, by się przywitać. Niech mu pan także powie, że ostatnim razem, gdy mnie pan widział, jechałem do Meksyku.

Vaughn Rhomer ruszył w kierunku swego samochodu, lecz w pewnej chwili odwrócił się i powtórzył:

- Panie Chavez, niech mu pan na pewno powie, że pojechałem do Meksyku. Że miałem ze sobą tylko psa i nie byłem pewien, kiedy wrócę. Proszę mu także podziękować ode mnie za wskazanie drogi. On zrozumie.

Earl Chavez skinął głową.

- Jack zawsze to potrafił... wskazywał innym drogę. Na pewno mu powtórzę, panie Rhomer. Będzie mu bardzo miło, że pan tu wpadł, nawet jeśli jego nie było. Niewielu ludzi odwiedza Jacka Carmine'a ostatnimi czasy.

Otworzył siatkowe drzwi i splunął w kurz podjazdu; potem wszedł do domu.

Na zachód od Alpine wzdłuż autostrady pędził pociąg linii Południowy Pacyfik, przyspieszając przed przełęczą Paisano. Księżyc był krągły i jasny nad drogą numer 90, a w radiu śpiewał Jimmy JakiśTam; rytm piosenki pasował do łoskotu kół pociągu. Vaughn Rhomer nie znał ani piosenkarza, ani tej piosenki, ale nucił do wtóru i usiłował zapamiętać choć kilka słów o życiu, w którym liczy się tylko taniec.

Epilog

Słowa Bobby'ego McGregora:

Kiedy dobiegasz do czterdziestki, wszystko zaczyna ci się zlewać, wydarzenia i ludzie łączą się w jedno i nieco rozmywają. Ale ostatnie Boże Narodzenie, Boże Narodzenie 1993 roku, wryło mi się bardzo wyraźnie, ostro i czysto w tym zakamarku umysłu, w którym chowamy wszystko to, o czym warto pamiętać. Pamiętam Elenę. Elenę i odgłos obcasów moich butów.

Najpierw zajmijmy się obcasami. Są skórzane i stukały o kafelki na podłogach większej liczby lotnisk, niż jestem w stanie zapamiętać; to takie szybko cichnące echo wiecznego życia w drodze. Rok temu: na lotnisku O'Hare, w Chicago, znowu to stukanie. Miarowy, długonogi rytm; usiłuję złapać ostatni samolot do Sioux Falls w Wigilię Bożego Narodzenia.

O'Hare zamknięto dwa dni wcześniej z powodu potężnej burzy, więc siedziałem w Atlancie i czekałem, aż Chicago znowu zacznie przyjmować samoloty. Pogoda na południowym wschodzie była ładna, więc kapela wróciła do Nashville bez żadnych problemów. Uścisnęliśmy sobie dłonie i pożegnaliśmy się, gdy oni ładowali sprzęt i świąteczne prezenty do autobusów na lotnisku. Długa droga; dwa miesiące samolotów i oklasków, i jasnego światła kłującego w oczy. I piosenek - słodkich, smutnych, starych lamentów wszystkich piosenkarzy. Charlotte, Dallas, Denver, Houston, Orlando, Memphis, i dużo, dużo więcej z finiszem w Atlancie.

Na lotnisku O'Hare byłem spóźniony o trzydzieści sześć godzin, więc się spieszyłem. W dół ruchomymi schodami z hali dworcowej C, do podziemi i w kierunku bramy F. Sześćostrunowa gitara martina podróżowała w czarnym skórzanym futerale na lewym ramieniu. O kafelki podłogi stukało pudło z *samsonite*, które ciągnąłem za sobą. Małe kółeczka i obcasy butów, synkopa moich obecnych dni.

Dwie minuty od F6 z głośników popłynął głos Perry'ego Como, który śpiewał „Cicha noc”. Perry, stary gładkolicy Perry, opowiadał mi o tym, jak to ładnie i cicho jest na świecie. Obcasy butów, małe kółeczka i wszystkie te niemowlęta na przestrzeni lat, ale tylko jedno z nich było miłe i delikatne, wszystkie inne darły się i płakały, a matki kołysały je przy piersi w restauracjach na lotniskach, w pobliżu automatów z polskimi parówkami.

Jak się okazało, mogłem się nie przejmować i iść wolniej. Samolot linii United spóźniał

się i miał opuścić Sioux Falls dopiero o jedenastej dwadzieścia; nadal z powodu burzy. W oddali na betonowych płytach wielkie samoloty wyglądały jak gigantyczne insekty pełzające wśród stert brudnego śniegu.

Potem zatoczyliśmy szeroki łuk i poleciliśmy w stronę, gdzie zaczyna się Zachód. Do Sioux Falls, my, czternaścioro pasażerów tego lotu, dotarliśmy trochę przed pierwszą. Po ośmiu tygodniach na parkingu pikap był cały pokryty lodem i śniegiem, i z zimna nie chciał zapalić. Pojechałem za miasto brudnymi autostradami, aż w końcu skręciłem w moją ulicę. Światła w domu były zapalone, a kobieta, która opiekowała się nim pod moją nieobecność, zostawiła mi czternaście stron zapisów wiadomości telefonicznych i krótką notatkę od siebie: „Wszystko jest w porządku. Ludzie z gazowni przyszli naprawić wyciąg (przyślą rachunek później). Czarny Kocur czuje się świetnie, ale chyba za tobą tęskni. Wesołych Świąt”.

Wyjąłem butelkę millera i usiadłem przy stole w kuchni; zdjąłem kapsel i wypilem pół butelki dwoma długimi łykami. Czarny Kocur zszedł po schodach i wskoczył mi na kolana, mrużąc coś do mnie po kociemu. Ostatni zapis w dzienniku telefonów brzmiał: „12/24/ 7:15 po południu; Sharon z San Miguel Allende - «Wesołych Świąt, zadzwoń, jeśli masz ochotę»,,. Zostawiła numer do Meksyku. Rozwód uprawomocnił się dwa lata temu, ale nadal utrzymujemy ze sobą kontakty, finansowe i inne. Przyjmowałem propozycje koncertów w Denver i Houston, żeby ona mogła się na zimę zaszyć w San Miguel.

Było zbyt późno, by dzwonić do matki do Belle Fourche, trzysta mil dalej na zachód. Przekopałem się przez stertę poczty i poddałem się, gdy znalazłem kopertę z grubego papieru oznaczoną: „W środku jest twój osobisty, wykonany na zamówienie produkt”. Nie mogłem sobie przypomnieć, bym cokolwiek zamawiał.

Nigdy nie przepadałem za świętami ani za uroczystym ich obchodzeniem. A jednak jest coś w Wigilii Bożego Narodzenia, jak mi się zdaje... tępy łomot nieprzyjemnego poczucia osamotnienia zaczynał mi się dawać we znaki. Bycie samym, czyli spędzanie świąt we własnym towarzystwie, niebezpiecznie graniczyło z samotnością, od której uciekałem. Wigilia niesie ze sobą pewne obciążenie, może kaca z czasów mego dzieciństwa, gdy w domu mamy było ciepło i pachniało świątecznymi wypiekami.

Zadzwoił telefon. Pomyślałem, że to Sharon raz jeszcze usiłuje zachować świąteczny rytuał. Skądkolwiek dzwoniła, w tle było słycać głośną muzykę. Muzykę i krzyki, lecz żadnego głosu.

A potem:

- BOBBYBOBBYBOBBY, TO TY?! - Jack Carmine, Teksas Jack. Nie miałem od niego wiadomości już od wielu lat.

- Jack, jak miło słyszeć twój głos - powiedziałem szczerze. - Gdzie ty się podziewasz, u wszystkich diabłów?

- Jestem w hotelu Crystal... w Alpine... jest tu świetne przyjęcie... zostawiam po sobie ślad, który wyczują najstarsze psy! - W podniesionym głosie Jacka słycać było teksański

akcent i zbyt wiele wypitej tequili. - Wesołych Świąt, staruszkule! - Tequila wyciszyła „ch” i „t” w tych słowach. Jack śmiał się głośno: - Wczoraj usłyszałem twoją nową piosenkę na KALP... brzmi lepiej niż za pierwszym razem; to chyba dzięki kapeli. Już ją prawie znam na pamięć. Pamiętam, że kopałeś w tym temacie już z piętnaście lat temu, gdy mieliśmy jechać do Bakersfield, a ja wysiadłem gdzieś w Wyoming. Już wtedy śpiewałeś małe fragmenty... mam rację, nie? To ta piosenka, prawda? Hej, słyszałem też tę twoją piosenkę pod tytułem „Bandyta”... To historia mojego życia, Bobby. Wiesz, o której piosence mówię?

Wiedziałem, o której piosence mówi, sam ją przecież napisałem - piosenkę o kobiecie, która zostawia faceta, a on ją wspomina: „Wołała na niego «Bandyta» z powodów znanych tylko sobie...”. Historia życia Jacka, historia mojego życia: „Czy to ją widzę tańczącą wzdłuż autostrady? Nie, to tylko gorące powietrze faluje nad rozpalonym asfaltem Teksasu”. Pomyślałem, że dobrzy starzy przyjaciele się starzeją; że nie są już tak dobrzy podczas Wigilii, tylko starsi. I samotni. Starsi, samotni, część jakiegoś innego świata, który umiera i nigdy już nie wróci. Dobrzy starzy kumple, którzy przysłuchują się milknącemu w dali odgłosowi pociągów, niczym pasażerowie, którzy zostali na stacji.

- Bobby, mam nadzieję, że nie używasz żadnych wzmacniaczy, co? Podobało mi się, jak starzy kowboje brali sześciostunowe gitary i grali prosto do mikrofonu. Widziałem ostatnio takiego gościa w telewizji, takiego z okrągłą buźką i w szarym stetsonie, który miał mikrofon przyczepiony do ucha. Wyglądał, jakby przyjmował zamówienia w firmie wysyłkowej. Mam nadzieję, że ty jeszcze do tego nie doszedłeś, Bobby.

Nic nie odpowiedziałem, bo nie miałem najmniejszej szansy wykrztusić choćby słowa. Jack terkotał jak najęty i nie pozwalał mi otworzyć ust.

- Jezu, Bobby, pamiętasz dawne dobre czasy? Do diabła, były dobre, prawda, Bobby? Jak jeździliśmy tymi wielkimi pomarańczowymi kombajnami od Teksasu aż do Saskatchewan? A pamiętasz, jak po Weyburn złapała nas burza śnieżna i musieliśmy ciąć całą noc?

Zaczekałem, aż przestanie gadać i odparłem, że owszem, pamiętam; dodałem także, że stare czasy były naprawdę dobre, i pociągnąłem następny łyk piwa. Pogłaskałem Czarnego Kocura po grzbiecie. Po drugiej stronie Jack zaczął kasłać ciężko, prawie się dusić, więc spytałem, co obecnie porabia.

Głos miał ochrypły, jakby drapiący.

- Przez ostatnie kilka miesięcy pogoda dała mi się trochę we znaki; złapałem ten cholerny kaszel, który nie chce przejść i zostawić mnie w spokoju. Ale dzisiaj czuję się lepiej, znacznie lepiej. Sprowadza się to tylko do paru rzeczy, Bobby, zimnej kawy rano i ciepłego piwa po południu, ale to nic, czego lekkie podkreślenie głośników by nie naprawiło.

W tej chwili dotarł do mnie głos kobiety i krzyk Jacka, by oddała mu tę cholerną słuchawkę. Wrzasnęła: „Jemu trzeba tylko kolejnej tequili!” i odwiesiła słuchawkę na widełki.

Siedziałem potem jeszcze długi czas i myślałem o Jacku. Brakowało mi go; za dawnych

czasów sporo razem podróżowaliśmy, lubiłem go, kochałem może nawet, jeżeli mężczyźni mogą się kochać nawzajem.

Myślałem o nim i o tym, jak w ten czy inny sposób wyzwolił nas wszystkich. To, że byliśmy przy nim, wystarczało. Kochał nas w specyficzny sposób, a my o tym wiedzieliśmy - i dzięki temu nauczyliśmy się lepiej myśleć o samych sobie. Pokazał nam, że możemy być wariaci więcej, niż się nam zdawało, a także że nasze myśli mogą zmierzać ku miejscom, do których on nigdy nie dotrze ani nawet nie chciałby dojść, gdybyście go o to spytali. Uwolnił nas wszystkich, mimo iż sam nie potrafił dać sobie rady z życiem i nigdy nie dotarł na drugą stronę tęczy.

Trudno powiedzieć - na koniec - czy to on nas zawiódł, czy też było to na odwrót. Kiedyś uważałem, że to pierwsze jest prawdziwe, ale z biegiem czasu zacząłem zmieniać zdanie. Do diabła, choć czasem był trudny we współżyciu i większość z nas została odepchnięta... a może... może po prostu sami uciekliśmy... usiłowaliśmy stworzyć dystans pomiędzy nami a tym, co było wewnątrz Jacka, co nas tak bardzo przerażało. Lub czasami - i mówię to tak szczerze, jak tylko potrafię - zastanawiam się, czy przypadkiem nie byliśmy zbyt przestraszeni myślą, że pomoc Jackowi Carmine'owi, gdy tego najbardziej potrzebował, zabrałaby za dużo czasu i energii, które mogliśmy wykorzystać na robienie innych rzeczy. Kiedy chodzi o miłość i troszczenie się o innych ludzi, nie ma prostych odpowiedzi, a do rozłożenia równo winy potrzeba byłoby ogromnej kielni.

Jednak nadal pamiętam go w tym jego czarnym stetsonie, palącego jedno z tych cienkich cygar, podpierającego ścianę budynku w Ojinaga w późnych latach siedemdziesiątych, szczerzącego zęby w uśmiechu i mówiącego:

- Bobby, naprawdę wierzę, że wszystko będzie dobrze... wierzę, że nic się nam nie stanie.

Zapytałem go, co przez to rozumie, ale on tylko potrząsnął głową i zaczął tańczyć na ulicy, ćwicząc jak zawsze ten swój teksański two-step i machając ręką, bym poszedł w jego ślady. Kiedy go dogoniłem, cały czas się uśmiechał.

- Zróbmy coś, o czym moglibyśmy potem opowiadać, dopóki starość całkiem nie poprzestawia nam klepek w głowach - powiedział. Obaj mieliśmy na sobie stare garnitury, które kupiliśmy w meksykańskim sklepie z używaną odzieżą; złapał mnie wtedy za rękaw i pociągnął do następnego z tych zapomnianych przez Boga barów, które tak uwielbiał.

Właśnie tak pamiętam Jacka, spokojnego żartownisia na tle glinianej ściany w przygranicznym miasteczku. Lubię o nim myśleć właśnie w tych kategoriach, nie chcę roztrząsać tego, czym się stał - jak słyszę - nie przyjmuję do wiadomości, że może wyglądać o dziesięć lat starzej niż na swoje pięćdziesiąt cztery wiosny. Nie chcę wierzyć, że zapomina o ustanowionych przez siebie zasadach, że rozbija się w poszukiwaniu burdy, że rozwała sobie ręce walcząc z każdym, kto mu się nawinie, w barach od zachodniego Teksasu po Saskatchewan, płacząc czasem pośrodku zamieszania, które sam wywołał. Podobno kombajniści nie chcą go już przyjmować do roboty, bo sprawia za duże kłopoty.

Oprócz tego, co zdarzyło się w Wietnamie, wiem, że przez Lindę tak się stoczył i zamknął w sobie, bo jak spakowała się i wyjechała, Jack kompletnie stracił panowanie nad sobą. Kiedy kobiety odchodzą... Linda, Sharon... zawsze szukają kogoś lepszego niż Jack czy ja. Chyba trudno im się dziwić. Mogłem zadzwonić do niej, do Sharon w San Miguel, i powiedzieć coś o miłym urlopie, ale nie zrobiłem tego. Wiedziałem, że nie jest tam sama, a będzie udawać, że tak jest.

Przejrzałem kartki świąteczne: od matki, mojego agenta, prawnika, od fanklubu, od kilku znajomych muzyków. Kolorowe kartki z wydrukowanymi wierszykami, miłymi i mdłymi zarazem; „kupne kartki”, jak zawsze nazywał je mój tatko.

Agent dołączył do swych życzeń recenzję.

Ostatni koncert Bobby'ego McGregora to prawdziwe zaskoczenie. Kiedy obserwuje się go na scenie, chudego jak patyk, co krok odgarniającego z twarzy długie brązowe włosy w jasnym świetle jupiterów, sprawia wrażenie niedożywionego. Chciałem go polubić, chciałem, by koncert mi się podobał, ale w jego głosie i oczach czai się coś bardzo dziwnego. Jakieś przeczucie śmierci, która kroczy w jego stronę, jakaś zapowiedź tragedii, coś związanego z deszczem na samotnych autostradach i szarością duszy; przygnębiło mnie to i sprawiło, że zatęskniłem za starymi dobrymi rockandrollowymi świątecznymi przebojami...

Odrzuciłem wycinek na bok. Oni nigdy tego nie rozumieją. Po prostu nie rozumieją, że ta zapowiedź tragedii sprawia, iż muzyka staje się faktem. Piosenkarze przybywają z odległych miejsc na grzbiecie błyskawicy, która wraz z nimi niesie samotność i smutek. Wszyscy wiemy, że błyskawica nigdzie nie dotrze i zawsze leci w dół; dlatego właśnie śpiewamy takie piosenki, jak śpiewamy, i robimy to w ten specyficzny sposób.

Dziennikarz, który napisał ten artykuł, powinien pójść na „Dziadka do orzechów”. Wesole historyjki, dzieci i zabawne baletki. Niektórzy noszą baletki i wierzą, że na koniec wszystko będzie dobrze. Inni noszą kowbojki, które stukają, i wierzą w co innego: że trzeba wyjść na zewnątrz i zobaczyć świat, póki jeszcze trwa. Jak w jednej z moich piosenek: „Jedni sięgają po klucze, inni wyciągają ręce do deszczu. Jedni biegną ku blaskowi ogniska, inni gonią odległe pociągi”.

Minęła druga, a ja nadal piłem piwo i głaskałem Czarnego Kocura; coraz bardziej czułem na piersi ciężar samotności. Na zewnątrz zerwał się wiatr, w oddali widać było kolejne chmury śniegowe, dokładnie tak, jak przepowiadała stewardesa. Nazywała się Elena Martinez. Miała długie czarne włosy z kilkoma szarymi pasemkami, splecione we francuski warkocz, jedną z tych fantazyjnych rzeczy, które kobiety potrafią robić ze swymi włosami. Nigdy nie potrafiłem rozgryźć, jak to robią, a potem noszą te fryzury; nie wiem, na czym to polega, że ściągają wszystkie włosy i upinają je tylko jednym grzebykiem, tak by się to nie rozpadło, i tylko dwa pasemka zostają wolne. Jack Carmine powiedział kiedyś, że podoba mu

się wygląd kobiecego karku, gdy uniesie się z niego wszystkie włosy, poza kilkoma pasemkami nadal leżącymi na skórze. Pamiętam, że mówił o tym w kontekście skazy na doskonałości - luźnego kosmyka na karku - że ma to wyjątkową siłę oddziałującą na jego wyobraźnię.

Elena siedziała przez kilka chwil naprzeciw mnie; powiedziała, że pochodzi z Los Angeles, lecz Wigilię Bożego Narodzenia musi spędzić w hotelu Holiday Inn w Sioux Falls. Miała na oko trochę powyżej czterdziestki i była nieco zniszczona od serwowania zbyt wielu paskudnych dań i pokazywania zbyt wielu osobom, jak działa maska tlenowa. No i nie była zbyt szczęśliwa z powodu postoju w Dakocie. Powiedziałem, że wcale jej się nie dziwię czy coś w tym stylu, a chwilę później przerwał nam głos pilota w głośnikach, obwieszczający, że mamy się przygotować do lądowania. Elena przeszła wzdłuż rzędów siedzeń i upewniła się, czy wszystkie fotele mają podniesione oparcia i czy wszystkie stoliki są schowane. Kiedy wychodziłem, pożegnała mnie w drzwiach i życzyła wesołych świąt.

Druga trzydzieści; noc powoli mija. Opuściłem Czarnego Kocura na podłogę, otworzyłem skórzane pudło i wyjąłem martina. Kupiłem go już używanego. Był ze mną przez dwadzieścia pięć lat, nieco porysowany, ale o basach niczym grzmot. Zagrałem powoli wszystkie nuty aż do G i zacząłem cicho śpiewać: „Jej szczupłe ciemne dłonie uczyniły znak krzyża i z wdziękiem zapaliły świecę pachnącą jodłami...” Jakże chciałem wreszcie skończyć tę cholerną piosenkę. Pracowałem nad nią w pokojach hotelowych przez ostatnie kilka miesięcy.

Za dawnych dobrych czasów... znowu zacząłem myśleć o dawnych dobrych czasach. I o Jacku, o długiej żółtej pszenicy gnącej się pod naporem śniegu na południe od Weyburn i o głosie Jacka nadchodzącym do mnie przez radio CB:

- Utrzymaj się, Bobby. Trzymaj się swego pokosu; jestem tuż przed tobą, po twojej lewej stronie i jadę szybko. Kiedy śnieg odpuszcza na minutę, widzę twoje przednie reflektory.

Jezu, jak te lata szybko minęły. Zbyt szybko. Charlotte w jeden wieczór, następna noc już w innym mieście. Zbyt szybko. Albo, spoglądając na to pod innym kątem, może nie dość szybko, nie dość szybko, by zabrać mnie na szczyt, zanim będę za stary. Garth Brooks i Bobby McGregor tego roku, ktoś inny zaraz potem, następnego. Bobowi Willsowi udało się to około 1935 roku, kiedy tłumaczył Leonowi McAuliffe'owi, co ma robić podczas przerw instrumentalnych:

- Uśmiechasz się, kiedy ode mnie przejmujesz muzykę, i uśmiechasz się, gdy ją oddajesz. A tymczasem grasz, jakbyś miał wszystkich diabłów za plecami.

O to właśnie chodzi, by brać i oddawać, i grać ze wszystkich sił, i uśmiechać się, czy masz na to ochotę, czy nie. Leon i Lester, i wszyscy inni, którzy biorą, grają i ruszają dalej, gdy jesteś skończony. Jak to zwykł mawiać Jack:

- Bobby, prędzej czy później wszyscy zaginiemy w akcji. Druga czterdzieści pięć. Butelki po piwie na stole, już cztery, i stale wznoszące się rumowisko samotnej Wigilii.

Jack... Jack Carmine i Linda A-Coşam. Nigdy nie otrząsnąłem się z wrażenia, jakie

zrobiła na mnie Linda. To siódmy akord, którego nie jestem w stanie objąć umysłem. Rozmyślałem, czy by do niej nie zadzwonić. W noce takie jak ta, kiedy jesteś przybity, samotny, masz ochotę pogadać o przeszłości, przekonać się, czy ci, których znałeś, żyją jeszcze i dobrze się mają. Chcesz, by dźwięk ich głosów powiedział ci, że to więcej niż sen, że naprawdę byłeś w innym miejscu, w innym czasie, i zdawało ci się, że to będzie trwać wiecznie.

Wyobraziłem sobie, co powiedziała by jej mąż, kiedy odłożyłaby słuchawkę.

- Kto, u diabła, dzwonił do ciebie w środku nocy?

- Och, to tylko taki jeden gitarzysta, stary znajomy. Chciał mi życzyć wesołych świąt.

Dzwonienie do Lindy to fatalny pomysł. Złe pomysły zdawały się wprost czaić na dnie butelek po piwie.

Aj, Linda-Linda, w kowbojskich butach i dżinsach. Pojedziemy do Teksasu, weźmiemy po drodze Jacka Carmine'a i ruszymy do Meksyku... Ale po zastanowieniu - tym razem pojedziemy bez Jacka. Ten jeden, jedyny raz będziemy tylko we dwoje. Pozbędziemy się twoich eleganckich ciuchów. Albo jeszcze lepiej, pozbędziemy się wszystkich twoich ciuchów, upijemy się i zrobimy to na łóżku, na podłodze albo siedząc w brudnej umywalce w łazience, jak lubiły to robić dziwki z Ojinaga. Bez znaczenia; i potem mógłbym to wszystko oddać z uśmiechem.

Znalazłem numer baru w hotelu Crystal w Alpine i zadzwoniłem. Nikt nie odpowiedział, przyjęcie najwyraźniej dobiegło końca. Przez chwilę wpatrywałem się w telefon, po czym sprawdziłem numer w książce telefonicznej i ponownie wykręciłem. Kiedy Elena Martinez odebrała, miała zaspany głos, lecz powiedziała, że może być gotowa za dwadzieścia minut, jeśli chcę po nią przyjechać.

Jedni sięgają po klucze, inni wyciągają ręce do deszczu. Może w Wigilię Bożego Narodzenia możliwe jest jedno i drugie. Kiedy zajechałem pod Holiday Inn, Elena czekała w holu. Wybiegła i pospiesznie wsiadła do pikapa; miała na sobie czarne wełniane spodnie i biały golf pod płaszczem.

- Jak się masz, kowboju? Miło, że zadzwoniłeś. Właśnie siedziałam całkiem sama, piłam szkocką i oglądałam „Dziadka do orzechów” w telewizji. Moja mama zabierała mnie na to przedstawienie co roku w czasie świąt. Widziałeś to kiedyś?

- Raz - odparłem. - W telewizji.

- Widziałam, jak wychodzisz z samolotu z gitarą. Jesteś muzykiem?

- Czasami, kiedy biegam za pociągami i gnam na grzbiecie błyskawicy w kierunku nieznanych miejsc.

Spojrzała na mnie zaciekawiona.

- A za czym gonisz dziś w nocy? - Mówiła cicho, a w jej głosie słyhać było lekki meksykański akcent; w świetle padającym z tablicy rozdzielczej wyglądała łagodnie i ślicznie.

Włączyłem wycieraczki i powiedziałem:

- Dziś wieczorem biegnę ku blaskowi ogniska, trzymam w ręce klucz i na jakiś czas zsiadam z wielkiej, smutnej błyskawicy; no i zamierzam uśmiechnąć się szeroko, jeśli choć po trosze to wszystko mi się uda.

- No cóż, Bobby McGregorze, nie jestem pewna, czy rozumiem, o co ci chodzi, ale możemy się postarać, by ci się udało. - Słyszałem uśmiech w jej głosie.

Na ostatnich sześciu milach pod miastem śnieg padał gęsto. Przez jakiś czas siedzieliśmy w mojej kuchni, kuchni typowego mężczyzny, zbyt prostej i funkcjonalnej, jak mi się naraz wydało. W jakiś dziwny sposób sama obecność kobiety zmienia twoje spojrzenie na świat, odciąga cię od czystej, twardej funkcjonalności i wiedzie w stronę rzeczy mniej określonych, miększych i niespełniających jedynie wymogów praktyczności. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałem. Nagle zapragnąłem mieć mały wazonik z kwiatami na stole albo ładne błękitne zasłonki w oknach zamiast wyblakłych od słońca żaluzji. Oczywiście, to moje prywatne zdanie i pewnie niewiele osób je podziela w czasach, gdy nie powinniśmy dostrzegać większych różnic między mężczyznami a kobietami. Jack Carmine i ja urodziliśmy się chyba, by żyć w innych czasach; może w nich żyjemy.

Staliśmy wraz z Eleną na ganku na tyłach domu, patrzyliśmy na padający śnieg i parę naszych oddechów unoszącą się w zimnym powietrzu. Objęła mnie w pasie i zerknęła na mnie. Dotknąłem jej włosów, wyczułem grzebyk, potem opuściłem dłoń na jej szyję i przesunąłem palcami po skórze. Nucilem pod nosem melodię „Bandyty”, lecz przerwałem, gdy na mnie popatrzyła.

Oparła się o mnie; przyglądała się opadającym płatkom i mówiła tak cicho, że musiałem się nachylić, by usłyszeć jej słowa.

- W obecnych latach mego życia w moim sercu mieszka zima, kowboju... zawsze... zawsze jednak czuję się strasznie daleko od domu, zwłaszcza dziś w nocy.

Powiedziałem, że ja także znajduję się daleko od domu, choć w nieco inny sposób. Dodałem, że wraz z upływem lat coraz bardziej mi to dokucza. Powiedziałem, że cały czas słyszę w oddali huk grzmotu, przypominający basy w gitarze martina. Elena odrzekła, że wie, co czuję, tylko że ona słyszy szum fal na plaży na meksykańskim wybrzeżu. Tuliliśmy się do siebie długo, a śnieg padał ukośnie w świetle latarni na ganku i wirował lekko przy ziemi.

Ogólnie rzecz biorąc, wszystko zakończyło się spokojnie, w miarę jasno. Kiedy twoje serce przeszło już wszystkie ponure kolory zimy, czasem brak ci tych chwil. Czasem właśnie tak postępujesz, w poszukiwaniu ciepła usiłujesz dostać się do domu i nie zabłądzić w głębokim śniegu, w nieznannej krainie, w miejscu, gdzie nikt nie rozumie twoich słów i nie potrafi wskazać ci drogi.

Dwudziestego szóstego oparłem się o framugę drzwi w łazience i przyglądałem się, jak Elena upina włosy. Uśmiechnęła się do mnie w lustrze.

- O czym myślisz?

Uśmiechnąłem się.

- Zawsze się zastanawiałem, jak wy, kobiety, splatacie włosy we francuski warkocz; tak to się chyba nazywa. Teraz już wiem.

Elena Martinez wyjechała na wybrzeże wczesnym popołudniem. Wraz z Czarnym Kocurem ruszyłem do Teksasu jakąś godzinę później - chciałem przedstawić go Jackowi Carmine'owi, zanim wszyscy zrobimy się za starzy na bieganie, zanim grom stanie się zbyt głośny i zanim błyskawica zacznie opadać ku ziemi, ku smutkowi i innym paskudnym rzeczom na tym świecie.

„Jingle Bell Rock” leciała w radiu, kiedy dotarliśmy do granicy Kansas; Czarny Kocur siedział na tylnym siedzeniu za moją głową i mruczał. Myślałem o Elenie; miałem nadzieję, że zdążyła do domu na święta. Wymieniliśmy numery telefonów, obiecaliśmy, że postaramy się skontaktować, gdy będę grał w Bakersfield w kwietniu. A jeżeli nie w Bakersfield, to tydzień później w Phoenix albo w San Diego w maju. Może odwiedzi mnie w domu, kiedy znowu zawita do nas lato i Czarny Kocur znowu będzie się wylegiwać na ganku, zanim słońce stanie w zenicie. Powiedziałem jej, że lato to wspaniały czas na odwiedziny, że wtedy nocny wiatr przywieje do nas aż z Montany i załopoce błękitnymi firankami, które zawieszę w kuchni.

Potem zacząłem się zastanawiać nad tym, że kochamy tak nieśmiało, z wyjątkiem tych Wigilii Bożego Narodzenia, gdy wielki grom zatrzymuje się na godzinę lub dwie zawieszony w przestrzeni głosem kobiety, która także podróżuje sama i słyszy szum fal na plaży w Meksyku. Kobiety, która szepcze twoje imię w ciemnościach i tuli się do ciebie mocno i tak gorąco, że zaczynasz mieć nadzieję, że huk gromu i szum oceanu mogą zostać odłożone na później, przynajmniej przez jakiś czas; kobiety imieniem Elena, która rozumie słodki smutny zwitek starych lamentów płynący z zimowego serca, która ma szczupłe, brązowe dłonie i przed kochaniem się czyni nimi znak krzyża.

Przez jakiś czas dałem sobie spokój z myśleniem i skupiłem się na prowadzeniu samochodu. Zmieniłem bieg i skręciłem na zachód w Oklahoma City... przede mną leżało Amarillo. Słuchałem Guya Clarka śpiewającego w radiu „...dostałem zmarszczek na twarzy, kiedy starałem się wyprasować fałdki na życiu...” i wierzyłem, że to właśnie tak jest. Nadepnąłem mocno na pedał gazu, pogłaskałem Czarnego Kocura i popędziłem w stronę Teksasu. Chciałem odszukać Jacka Carmine'a, który przez całe życie słyszał huk gromu znacznie głośniejszy niż inni ludzie i który popychał swoją błyskawicę ku ziemi, podczas gdy my usiłujemy zwolnić jej lot choćby na godzinę.

Chciałem odnaleźć Teksas Jacka Carmine'a, pojechać znowu do Meksyku i posłuchać muzyki pogranicza. Poleżeć na plaży... kupić buty ze skóry aligatora i kilka marynarek z drugiej ręki, włożyć czarny stetson i pogadać z żartownisiem wspartym o glinianą ścianę budynku... wypalić cienkie cygaro i poprzekomarzać się z senioritami. Pstryknąć choćby kilka zdjęć tylko po to, by udowodnić, że zrobiliśmy to jeszcze raz, zanim staliśmy się na to za

starzy. Pokazać zdjęcia wnukom, gdybyśmy je kiedykolwiek mieli, gdybyśmy je kiedykolwiek zobaczyli, nawet je mając. Trochę się poprzehwalać, opowiedzieć, że naprawdę to zrobiliśmy... że razem z Jackiem Carmine'em raz jeszcze pojechaliśmy do Meksyku i rozmawialiśmy o tym, gdzie odchodzi księżyc, zanim znowu pojawi się na niebie.

Może nawet napisać o tym piosenkę.